

Grobowy zmysł

Harris Charlaine

Książka I z Harper Connelly



calibre 0.9.27

HARRIS CHARLAINE
Grobowy zmysł

Grave SightTłumaczyła: Dominika Schimscheiner

Ta książka jest fikcją literacką. Imiona, postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki lub zostały wykorzystane na potrzeby zmyślonej fabuły. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących czy martwych, faktów, realnych firm czy lokalizacji jest całkowicie przypadkowe.

Niemi świadkowie są wszędzie. Z czasem ich pierwotna postać ulega przemianie, materia przybiera inną formę, aż w końcu stają się nierozpoznawalni dla swych bliskich i ukochanych. Zwłoki leżące w rowach, zamknięte w bagażnikach porzuconych aut, obciążone blokami cementu i zatopione w jeziorach. Te, których pozbyto się w większym pośpiechu, spychane są na pobocza autostrad, byle pędzące naprzód życie mogło przemknąć obok, nie zwalniając biegu.

Czasami śnię, że jestem orłem. Płynę w powietrzu, dostrzegając szczątki, dowody ich zguby. Wyławiam wzrokiem człowieka, który wybrał się na polowanie ze swoim wrogiem – leży tam, pod tym drzewem, w zaroślach. Widzę kości kelnerki – obsługiwała niewłaściwą osobę i teraz spoczywa tam, pod zawalonym dachem starej chałupy. Odkrywam, co los zgotował nastolatkowi, który wypił za dużo w nieodpowiednim towarzystwie – płytki grób w sośniaku. Dusze tych osób uparcie czepiają się ziemskich skorup, kiedyś będących ich domem. Nie przemieniają się w anioły. Ludzie ci za życia nie byli wierzący, czemu więc po śmierci mieliby stać się aniołami? Nawet przeciętny człowiek, powszechnie uważany za „dobrego” może być głupi, skorumpowany czy zawistny.

Gdzieś pośród nich jest także moja siostra, Cameron. W jakiejś rurze odpływowej albo fundamentach, sprasowane w przerdzewiałym bagażniku porzuconego samochodu lub rozwleczone po ściółce leśnej, spoczywa ciało Cameron. Może i jej duch tkwi przy resztkach doczesnej powłoki, czekając aż zostaną odkryte, pragnąc, by ktoś poznał jej historię.

Może tego właśnie oczekują wszyscy niemi świadkowie.

Rozdział pierwszy

Szeryf nie był zachwycony moim przyjazdem. Ciekawe, kto w takim razie wpadł na pomysł, żeby odszukać mnie i zaprosić do Sarne. Pewnie któryś z tych zakłopotanych cywilów znajdujących się teraz w jego biurze. Każdy z nich, niezłe ubrany, dobrze odżywiony, wyraźnie należał do osób nawykłych do budzenia szacunku samą swą obecnością. Przyjrzałam się im kolejno. Szeryf, Harvey Branscom, siwy, krótko ostrzyżony mężczyzna, którego czerwone, poorane zmarszczkami oblicze przedzielała linia białych wąsów. Miał co najmniej pięćdziesiąt kilka lat, może więcej. Odziany w obcisły zielonkawy mundur siedział na obrotowym fotelu za biurkiem. Sprawiał wrażenie zniesmaczonego całą sytuacją. Drugi mężczyzna był dużo szczuplejszy i na oko młodszy od niego o jakieś dziesięć lat. Miał ciemniejsze włosy oraz starannie ogoloną pociągłą twarz. Paul Edwards – prawnik. Sprzeczał się właśnie z nieco młodszą od siebie blondynką. Kobieta, która jasny kolor swych włosów zawdzięczała zapewne jakiemuś drogiemu stylisście, była

Sybil Teague. Wedle informacji zebranych przez mojego brata – wdowa, dziedziczka fortuny, obejmującej niemal połowę miasteczka. Obok niej stał Terence Vale, mężczyzna o okrągłej głowie porośniętej na czubku rzadkimi kosmykami nieokreślonej barwy. Nosił okulary w drucianych oprawkach, a na piersi samoprzylepny identyfikator z napisem: „Cześć! Jestem TERRY, BURMISTRZ”. Zresztą, wpadając do biura, nie omieszkał głośno oznajmić, że ledwie wyrwał się z magistratu, bo ma teraz godziny przyjęć petentów.

Skoro więc burmistrzowi i szeryfowi nie w smak była moja obecność, doszłam do wniosku, że znalazłam się tu za sprawą Edwardsa lub Teague. Powiodłam wzrokiem od jednego do drugiego. Teague, zadecydowałam. Założyłam nogę na nogę i zsunęłam się nieco z siedziska niewygodnego krzesła. Zakołysałam nogą, obserwując jak czubek mego czarnego skózanego mokasy na przybliża się coraz bardziej do ścianki frontowej biurka. Wyklócali się, jakby nie było mnie w pokoju. Ciekawe, czy Tolliver słyszy ich w poczekalni.

–To może wy się tu spierajcie, a my tymczasem pójdziemy do hotelu? – wtrąciłam głośno.

Zamilkli, kierując na mnie spojrzenia.

–Obawiam się, że ściągnęliśmy tu panią na podstawie mylnych przesłanek – oznajmił Branscom, starając się nadać głosowi uprzejmy ton, choć jego mina mówiła, że najchętniej posłałby mnie w diabły. Spoczywające na blacie dłonie zaciskał w pięści.

–A te mylne przesłanki to...? – Potarłam oczy. Przyjechałam do Sarne natychmiast po ukończeniu innego zlecenia i byłam zmęczona.

–Terry wprowadził nas w błąd, referując pani kwalifikacje.

–W takim razie podyskutujcie sobie, a ja się zdrzemnę – dałam za wygraną. Wstając, poczułam się niemal jak matuzalem, a już na pewno ktoś dużo starszy niż dwudziestoczterolatka. – Czekają na mnie w Ashdown. Wyjadę zaraz z rana. Wystarczy, że zwrócicie nam koszty podróży. Przyjechaliśmy z Tulsy. Mój brat poda wam konkretną kwotę.

Nie czekając na ich reakcję, opuściłam biuro Branscoma. Pokonałam korytarz prowadzący do holu, gdzie znajdowała się recepcja. Zignorowałam ciekawskie spojrzenie siedzącej za biurkiem dyspozytorki. Pewnie zanim mnie zobaczyła, jej zainteresowanie skupiało się na Tolliverze.

Tolliver porzucił starą gazetę, którą przeglądał i podniósł się z obitego sztuczną skórą fotela. Mój dwudziestosiedmioletni brat ma włosy tak samo czarne jak ja, ale w jego wąsach czają się rudawe refleksy.

–Gotowa?

Pewnie wyczuł moją irytację, bo uniósł brwi. Patrzył na mnie nieco z góry, ale to dlatego, że jest ode mnie przynajmniej dziesięć centymetrów wyższy – choć i ja, przy wzroście metr siedemdziesiąt, nie jestem wcale niska. Potrząsnęłam głową na znak, że opowiem mu wszystko później. Przytrzymał przeszkłone drzwi, puszczając mnie przodem. Chłód nocnego powietrza przeniknął mnie do szpiku kości. Nie chcąc tracić czasu na zmianę ustawienia fotela po ostatnim odcinku drogi, siadłam za

kierownicą.

Posterunek policji mieścił się przy placu głównym. Na środku ryneczku królował wielki budynek sądu. Jego masywna bryła wskazywała, że został wzniesiony w latach dwudziestych. Jak w większości budowli z tamtego okresu, we wnętrzu znajdowały się zapewne wysoko sklepione, wyłożone marmurem pomieszczenia – zbyt przestronne jak na dzisiejsze standardy – trudne do ogrzania czy ochłodzenia, choć niewątpliwie imponujące. Świetnie utrzymany skwer robił wrażenie nawet o tej porze roku, gdy liście już opadały. Wokół stały zaparkowane samochody turystów. Na jesieni miasteczko odwiedzali przeważnie biali turyści, w średnim wieku lub starsi, w nieodłącznych tenisówkach i wiatrówkach. Spacerowali niespiesznie, ostrożnie, zatrzymując się obowiązkowo przed każdym przejściem dla pieszych. Dokładnie w ten sam sposób jeździli samochodami.

Dwukrotnie okrążyłam plac, zanim udało mi się skręcić w ulicę prowadzącą do motelu. Miałam wrażenie, że wszystkie ulice w Sarne prowadzą do rynku. Ścisłe centrum, z mnóstwem eleganckich sklepików, stanowiło reprezentacyjną część miasta, nastawioną na masowego konsumenta. Nawet latarnie wokół placu były malownicze – wygięte, pomalowane na kolor ciemnej zieleni, przyozdobione akantem z kutego żelaza. Wzdłuż szerokich, równych chodników, przystosowanych do jazdy na wózkach inwalidzkich, stały rzędy koszy na śmieci w kształcie małych domków. Witryny sklepów przy samym placu ujednolicono stylistycznie – wszystkie miały drewniane fasady z

ozdobnymi szyldami, na których widniały nazwy: Aunt Hattie's Ice Cream Parlor, Jeb's Sita-Spell, Jn. Banks Dry Goods and General Store, czy Ozark Annie's Candy. Przed każdym wejściem stała drewniana ławeczka. Przez okna wystawowe dało się dojrzeć sprzedawców ubranych w stroje z przełomu wieków.

Z ryneczku wyjechaliśmy po siedemnastej. W październiku zmrok zapadał wcześniej; niebo pociemniało już niemal całkowicie.

Jednak gdy tylko wyjeżdżało się z nastawionego na turystów centrum, Sarne okazywało się brzydkim miasteczkiem. Firmy takie jak Mountain Karl's

Kountry Krafts* [*„U Karla – wyroby rękodzielnictwa ludowego”]. Coś w rodzaju Cepelii. (przyp. tłum.)]

ustępowały miejsca bardziej przyziemnym instytucjom jak First National Bank czy Reynolds Appliances. Im dalej od centrum, tym częściej mijaliśmy puste witryny. Jedna czy dwie miały nawet rozbite szyby. Ruch samochodowy niemal nie istniał. Mijaliśmy dzielnice zamieszkałe przez tubylców. Burmistrz wspomniał, że sezon turystyczny skończy się, gdy opadną liście. Wtedy zapewne Sarne zwija swoje czerwone dywany i chowa je – wraz z gościnnością – aż do wiosny.

Choć byłam zła, że zmarnowaliśmy tyle czasu i na próżno przejechaliśmy taki kawał drogi, nie traciłam nadziei, a gdy stając na skrzyżowaniu pięć przecznic od rynku, poczułam to szczególne szarpnięcie, prawie się ucieszyłam. Jego źródło leżało po lewej, około pięć metrów dalej.

–Świeży? – spytał Tolliver widząc, że drgnęłam gwałtownie, odwracając głowę. Zawsze spoglądałam na takie miejsca, nawet jeśli to, co wyczuwam intuicją, jest

niedostrzegalne dla moich oczu.

–Bardzo.

Nie przejeżdżaliśmy obok cmentarza, a nie odbierałam wibracji od zabalsamowanego ciała, które mogłoby sugerować domową ceremonię pogrzebową. Szarpnięcie było zbyt silne, wrażenie zbyt wyraźne.

Oni chcą, by ktoś ich odnalazł...

Zamiast jechać prosto drogą do motelu, zboczyłam w lewo, kierując się metafizycznym „węchem”. Zaparkowałam przy małej stacji benzynowej. Raptownie zwróciłam głowę w stronę zaniedbanej parceli, skąd słyszałam wołanie. Używam słów „węch” i „słuch”, ale nie opisują one precyzyjnie doznań, których doświadczam.

Około trzech metrów od granicy parceli znajdowała się fasada budynku z dyndającym nad wejściem osmalonym szyldem pralni samoobsługowej o nazwie „Evercleen Laundromat”. Wnioskując ze stanu pogorzelniska, budynek spalił się prawie całkowicie kilka lat temu.

–Tam, w tych ruinach – wskazałam.

–Mam iść sprawdzić?

–Nie. Jak zainstalujemy się w pokoju, zadzwonię do Branscoma. –

Wymieniliśmy uśmiechy. Nie ma jak konkretny dowód potwierdzający moją wiarygodność. Tolliver przytaknął skinieniem.

Wyjechałam z powrotem na ulicę. Już bez przeszkód dotarliśmy do motelu i wzięliśmy klucze do pokoi. Po długiej drodze potrzebujemy trochę od siebie odpocząć, dlatego właśnie wynajęliśmy osobne pokoje, bo tak naprawdę nie krępuje nas obecność drugiego.

Mój pokój nie różnił się niczym od tych, w jakich pomieszkiwałam przez ostatnie kilka lat. Łóżko zaścielała zielona, gładka pikowana narzuta, a na ścianie wisiał obrazek przedstawiający jakiś most, prawdopodobnie w Europie. Pomijając te drobiazgi, równie dobrze mogłam znajdować się w jakimkolwiek tanim motelu gdziekolwiek w Ameryce. Ten przynajmniej pachniał czystością. Torbę z kosmetykami i lekami umieściłam w małej łazience, a potem przysiadłam na łóżku, wczytując się w instrukcję wybierania numeru zewnętrznego na archaicznym telefonie. Znalazłam odpowiedni numer w cienkiej lokalnej książce telefonicznej i zadzwoniłam na posterunek, prosząc szeryfa. Branscom odezwał się po chwili, najwyraźniej niezbyt szczęśliwy, że znowu musi ze mną rozmawiać. Zaczął ponownie tłumaczyć, że zostali wprowadzeni w błąd co do moich kwalifikacji – tak jakbym miała z tym coś wspólnego – ale przerwałam mu szybko.

–Pomyślałam, że chciałby pan wiedzieć o zwłokach jakiegoś Chessa czy Chestera, które leżą w ruinach spalonej pralni przy Florida Street, jakieś pięć przecznic od głównego placu.

–Co? – W słuchawce zapadła długa chwila ciszy, podczas której szeryf przyswajał informację. – Darryl Chesswood? Mieszka w domu u córki. W zeszłym roku, gdy zaczął mieć kłopoty z pamięcią, dobudowali dla niego pokój. Jak pani śmie sugerować, że nie żyje? – Kipiał szczerym świętym oburzeniem.

–Na tym polega moja praca – oświadczyłam i spokojnie odłożyłam słuchawkę.

Miasto Sarne właśnie dostało ode mnie gratis.

Położyłam się na zielonej kapie, krzyżując ramiona na piersiach. Nie trzeba zdolności jasnowidzenia, aby prognozować rozwój wypadków. Szeryf zadzwoni do córki Chesswooda, a ona sprawdzi, czy ojciec jest w domu i odkryje, że zniknął. Szeryf pojedzie na posesję prawdopodobnie sam, wstydząc się zlecać to współpracownikom. I znajdzie zwłoki Darryla Chesswooda.

Staruszek zmarł z przyczyn naturalnych – chyba na skutek udaru mózgu. Dobrze czasem dla odmiany znaleźć kogoś, kto nie padł ofiarą mordu.

Następnego ranka, gdy weszliśmy z Tolliverem do pobliskiego baru (Kountry Good Eats) szeryf, wraz z resztą uczestników wczorajszego spotkania, siedział w bocznej salce. Drzwi pozostawili otwarte, żeby nie przegapić naszego przybycia. Brudne naczynia, dwa puste krzesła oraz dzbanek z kawą

wskazywały, że czekali na nas już jakiś czas. Tolliver trącił mnie łokciem; wymieniliśmy spojrzenia.

Byłam zadowolona, że zdążyłam zrobić makijaż. Zwykle nie maluję się przed wypiciem kawy.

Wybór innego stolika byłby wyrazem fałszywej nieśmiałości, ruszyłam więc wprost do salki, trzymając pod pachą gazetę, którą kupiłam w automacie na zewnątrz. Niewielki pokój prawie w całości wypełniał duży okrągły stół. Zebrany przy nim Sarnecki establishment siedział, wlepiając w nas wzrok. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy rano się czesałam, ale doszłam do wniosku, że Tolliver powiedziałby mi, gdybym była rozczochrana. Strzygłam się na krótko, bo przy gęstych kręconych włosach unikałam w ten sposób długiego porannego zmagania się z czarną strzechą. Tolliver ma szczęście – jego włosy są proste, więc może je hodować, dopóki nie będą na tyle długie, żeby dało się je związać w kucyk. Kiedy taka fryzura mu się znudzi, obcina je. Teraz miał krótkie.

Przywitałam się kolejno ze wszystkimi.

–Jak tam nastroje o poranku? – spytałam, siadając na odsuniętym przez Tollivera krześle. To była wyjątkowa kurtuazja, na pokaz. Twierdził, że jeśli będzie traktował mnie publicznie z atencją, ludzie nabiorą przekonania, iż mi się ona należy. Na niektórych to działa.

Kelnerka nalala mi kawy. Zdążyłam upić łyk, zanim szeryf zaczął mówić. Oderwałam wzrok od leżącej przy moim nakryciu złożonej gazety. Bardzo lubię czytać przy porannej kawie.

–Był tam – oznajmił Branscom poważnie. Wyglądał tak, jakby postarzał się od wczoraj; jego twarz pokrywał szron białego zarostu.

–Pan Chesswood, tak?

Zamówiłam talerz owoców i jogurt, co kelnerka przyjęła z wyraźnym zdziwieniem. Tolliver poprosił o francuskie tosty oraz bekon, rzucając przy tym dziewczynie filuterne spojrzenie. Tolliver to pies na kelnerki.

–Tak – potwierdził szeryf. – Pan Chesswood. Darryl Chesswood. Przyjaźnił się z moim ojcem. – Wypowiedział to zdanie z emfazą, jakby fakt, że wskazałam gdzie leży ciało, obarczał mnie winą za śmierć tego człowieka.

–Wyrazy współczucia. – Tolliver wygłosił oficjalną formułkę, a ja przytaknęłam. Nie starałam się przerwać milczenia, które po tym zapadło. Tolliver uniósł dzbanek, zerkając na mnie pytająco, ale powstrzymałam go dłonią, chcąc pokazać, że dzisiaj nie drży. Z rozkoszą wypilałam duży łyk kawy, po czym sama dopełniłam naczynie. Przeniosłam dzbanek nad kubek Tollivera, ale potrząsnął głową odmownie.

Ostrzeliwana badawczymi spojrzeniami obecnych, nie mogłam sięgnąć po gazetę. Musiałam poczekać, aż te bambry przyznają się do tego, co już wcześniej zdecydowali. Widok tej grupki przy stole nappełnił mnie otuchą, ale z każdą chwilą mój optymizm malał.

Pomiędzy sarneczanami (sarnewicznymi?) odbywała się gwałtowna wymiana spojrzeń. W końcu Paul Edwards pochylił się, aby oznajmić rezultat tej niemej narady. Ten przystojny mężczyzna był zapewne przyzwyczajony do tego, że skupiano na nim uwagę.

–Jak zmarł pan Chesswood? – rzucił tak, jakby odpowiedź miała być premiowana.

–Z powodu udaru mózgu. – Ech, ci ludzie! Zerknęłam tęsknie na gazetę.

Edwards odchylił się gwałtownie, jakbym uderzyła go w twarz. Nastąpiła kolejna runda porozumiewawczych spojrzeń. Dostarczono moje owoce – plastry twardego, mdłego melona, krążki ananasa z puszki, banana i trochę winogron. No cóż, to w końcu jesień. Gdy Tolliver dostał swój talerz, zabraliśmy się do jedzenia.

–Proszę wybaczyć nam wczorajsze niezdecydowanie – odezwała się Sybil Teague. – Szczególnie, że mogła je pani odebrać jako, hm, chęć wycofania się z umowy.

–Owszem, tak właśnie to odebrałam. Tolliver? – Ja podobnie – zgodził się ze mną brat. Cerę Tollivera znaczyły blizny po zaniedbanym trądziku, miał ciemne poważne oczy, a dzięki głębokiemu głosowi wszystko, co mówił, brzmiało znacząco.

–Chyba po prostu stchórzyłam. – Sybil udała urocze zakłopotanie, ale nie dałam się nabrać. – Gdy Terry powiedział, co o pani słyszał, a Harvey zgodził się z panią skontaktować, nie mieliśmy pojęcia, że robi to pani w ten sposób. Nie zatrudniałam wcześniej nikogo takiego.

–Nie ma nikogo takiego jak Harper – oświadczył Tolliver kategorycznie, spoglądając na nią znad talerza.

Wytrącił tym Sybil z rytmu. Potrzebowała chwili, aby się pozbierać.

–Nie wątpię, że ma pan rację – zgodziła się nieszczercze. – Wracając do zlecenia, panno Connelly, mamy nadzieję, że się go pani podejmie.

–Po pierwsze – zaczął Tolliver, ocierając brodę serwetką. – Kto będzie płacił? Patrzyli na niego, jakby była to dla nich obca myśl.

–Pracujecie dla miasta, to wiem, ale nie wiem dokładnie, czym zajmuje się pan Edwards. Pani Teague, zatrudni pani Harper prywatnie czy zapłaci jej miasto?

–Ja zapłacę. – Gdy doszło do rozmowy o pieniądzach, ton Sybil zabrzmiał oficjalnie. – Paul jest moim prawnikiem. Harvey to mój brat. – Najwidoczniej Terry Vale był jej nikim. – A teraz, pozwoli pani, że powiem, czego oczekuję – zwróciła się wprost do mnie.

Popatrzyłam na talerz i zaczęłam odrywać winogrona od łyżki.

–Chce pani, abym zlokalizowała zaginioną osobę – powiedziałam beznamieńnie. – Bo tym właśnie się zajmuję.

Klienci lepiej się czują, gdy używa się określenia „zaginiona osoba” zamiast bardziej precyzyjnego „nieodnaleziona zwłoka”.

–Tak, ale wie pani, to nieobliczalna dziewczyna. Może uciekła. Nie jesteśmy pewni... nie wszyscy uważamy... że nie żyje.

Nieraz już to słyszałam.

–No to mamy problem.

–To znaczy? – Sybil zaczynała się niecierpliwić. Pewnie nie przywykła do poddawania jej zdania pod dyskusję.

–Potrafię odnaleźć tylko martwych.

–Wiedzieli o tym – rzekłam cicho do Tollivera, gdy wracaliśmy do pokoi. – Bardzo dobrze wiedzieli. Nie szukam żywych. Nie umiem ich znaleźć.

Denerwowałam się niepotrzebnie.

–Oczywiście, że o tym wiedzą, Harper – uspokajał mnie brat. – Może po prostu nie chcą uznać, że jest martwa. Ludzie tak reagują. Tak jakby sądzili, że... wmawiając sobie, że jest nadzieja, ta nadzieja się urzeczywistni.

–Nadzieja to marnowanie mojego czasu – powiedziałam.

–Wiem, ale nie potrafią się przemóc.

Runda trzecia.

Najkrótszą zapalną wyciągnął Paul Edwards, prawnik Sybil Teague. Tak więc to on stanął w progu mojego pokoju. Przypuszczałam, że reszta towarzystwa udała się do swoich codziennych zajęć.

Siedzieliśmy z Tolliverem w fotelikach przy tanim, typowo motelowym stoliku. Nareszcie zabrałam się za czytanie gazety. Brat wczytywał się w jakąś książeczkę z rodzaju „Magia i Miecz”, którą ktoś zostawił w naszym poprzednim motelu. Słyszając pukanie, spojrzeliśmy po sobie.

–Stawiam na Edwardsa – powiedziałam.

–Branscom – rzucił Tolliver. Wyszczrzyłam się do brata, wpuszczając prawnika do środka.

–Jeśli przyjmiecie zlecenie, pomimo tamtej rozmowy... – zaczął przeproszająco nasz gość. – Poproszono mnie, bym zaprowadził was na miejsce.

Zerknęłam na zegarek. Była dziewiąta. Osiągnięcie konsensusu zajęło im trzy kwadranse.

–Czyli...? – zawiesiłam głos.

–Chodzi o przypuszczalne morderstwo Teenie... Monteen Hopkins. I morderstwo albo samobójstwo Della Teague, syna Sybil.

–Mam odnaleźć jedno czy dwa ciała? – Dwa kosztowałyby ich więcej.

–Nie, Dell spoczywa na cmentarzu – odparł prawnik, zaskoczony. – Ma pani znaleźć Teenie.

–Mówimy o lesie? Jaki rodzaj terenu? – spytał Tolliver praktycznie.

–Gęsto zalesiony. Miejscami stromizny. Zatrzymaliśmy się tu po drodze do Ozark, więc mieliśmy ze sobą odpowiedni sprzęt. Włożyłam traperki, błękitną ocieplaną

kurtkę, wsadziłam do kieszeni batonik czekoladowy, kompas, małą butelkę wody i komórkę z naładowaną baterią. Tolliver wyszedł przez łączące nasze pokoje drzwi i wrócił po chwili podobnie wyposażony. Edwards przyglądał nam się z fascynacją. Był tak zaciekawiony, że chyba na chwilę zapomniał jaki jest przystojny.

–Pewnie często to robicie? – zagaik. Zasznurowałam mocno buty, wiążąc sznurówki na podwójny węzeł i wzięłam rękawiczki.

–Owszem – odpowiedziałam. – Tym się właśnie zajmuję. – Zarzuciłam na szyję jaskrawoczerwony szalik. Okutam się nim, gdy naprawdę zmarznę. Szalik był nie tylko ciepły, ale także widoczny z daleka. Spojrzałam w lustro. Może być.

–To chyba przygnębiające? – wysnęło się Edwardsowi. Spoglądał na mnie z zainteresowaniem. Wcześniej tak na mnie nie patrzył. Widać przypomniał sobie, że jest przystojnym mężczyzną, a ja młodą kobietą.

„Wcale, dobrze na tym zarabiam” – powstrzymałam się w ostatniej chwili. Wiem, że mój sposób zarabkowania budzi w ludziach wstręt, a poza tym odpowiedź taka nie byłaby całą prawdą.

–W ten sposób mogę przysłużyć się zmarłym – powiedziałam w końcu. To również było częścią prawdy.

Edwards skinął głową, jakbym powiedziała coś bardzo głębokiego. Proponował, żebyśmy pojechali jego subaru outbackiem, ale wzięliśmy nasz samochód. Zawsze tak robiliśmy. (W każdym razie odkąd pewien klient, rozgoryczony moją porażką w odnalezieniu ciała jego brata, zostawił nas w lesie, trzydzieści kilometrów od miasta. Byłam przekonana, że zwłoki leżą gdzieś na zachód od miejsca, które wskazał, ale nie chciał zapłacić za dalsze poszukiwania. Nie moja wina, że jego brat żył na tyle długo, by dowiec się do strumienia. W każdym razie mieliśmy wtedy bardzo, bardzo długi spacer do miasta.)

Podczas jazdy na północny zachód, w kierunku Ozark, wyciszyłam umysł. Piękno lasów w jesiennej szacie przyciągało wielu turystów. Pobocza wijącej się w górę drogi upstrzone były billboardami, zachwalającymi lokalne produkty i pamiątki – kamienie, minerały, „autentyczne ozarskie wyroby”, a także domowe przetwory. Każda reklama była jakąś wariacją na temat folkmenów – strategia marketingowa, której nie mogłam pojąć. „Byliśmy ciemni, bezzębni i rustykalni! Sprawdź czy nadal tacy jesteśmy!”

Wpatrywałam się w mijane lasy, chłodne, wspaniałe gęstwiny drzew. Całą drogę bombardowały mnie doznania o różnej intensywności.

Martwi ludzie leżą wszędzie. Im dawniej umarli, tym słabsze wibracje odbieram.

Trudno opisać uczucie – a właśnie o to wszyscy zawsze pytają – jak to jest wyczuwać zmarłego. To tak jakby w głowie bzycała pszczoła, albo trzeszczał licznik Geigera – nieustanny, nieregularny dźwięk, przybierający na sile w miarę jak zbliżam się do ciała. Trochę przypomina prąd; drgania te przenikają całe moje ciało. Jeśli o to chodzi, w sumie nie ma się czemu dziwić.

Przejeżdżaliśmy obok trzech cmentarzy (w tym jednego małego, bardzo starego) oraz miejsca pochówku Indian – kopiec lub kurhan, który z biegiem czasu zmieniał

kształt, aż wtopił się w okoliczne wzniesienia. Dobiegały z niego słabiutkie sygnały, przypominające słyszana z oddali chmarę komarów.

Do czasu, gdy Edwards zjechał na pobocze, zestroiłam już umysł z lasem i ziemią. Drzewa rosły tak blisko drogi, że ledwie starczyło miejsca, by zaparkować, zostawiając swobodny przejazd dla samochodów. Tolliver martwił się pewnie, że jakiś wariat drogowy zahaczy o naszego chevroleta malibu, ale nic nie powiedział.

–Proszę opowiedzieć, co się stało – zagadnęłam naszego przewodnika.

–Nie może pani od razu zacząć szukać? Po co pani te informacje? – zapytał podejrzliwie.

–Łatwiej mi będzie ją znaleźć, znając okoliczności.

–No dobrze. Hm. Ostatniej wiosny Teenie przyjechała tu z synem pani Teague i jednocześnie siostrzeńcem szeryfa Branscoma: Sybil i Harvey są rodzeństwem. Dell Teague chodził z Teenie od dwóch lat, z przerwami. Oboje mieli po siedemnaście lat. Ciało Della odnalazł myśliwy. Chłopak został zastrzelony albo zastrzelił się sam. Teenie zniknęła.

–Jak zlokalizowano okolicę, gdzie zaginęli? – Tolliver zatoczył ręką krąg.

–W tym miejscu stał ich wóz. Widzicie tę pochyloną sosnę? Tę podtrzymywaną przez dwa inne drzewa? Łatwo rozpoznać to miejsce. Della nie było już od czterech godzin, gdy jedna z mieszkających w pobliżu rodzin zawiadomiła Sybil o samochodzie. Szybko rozpoczęto poszukiwania, w których wzięli udział miejscowi, ale ciało Della odnaleziono dopiero po kilku godzinach. Padał deszcz. Po jakimś czasie zmył jego zapach, więc nie dało się puścić ich tropem psów.

–Dlaczego nikt nie szukał Teenie?

–Bo nikt nie wiedział, że z nim była. Matka odkryła jej nieobecność mniej więcej po upływie doby. Nie wiedziała o Dellu, więc nie od razu zawiadomiła policję.

–Kiedy to było? – Jakieś pół roku temu. Hmm. Coś tu śmierdzi.

–Dlaczego wezwano nas właśnie teraz?

–Bo połowa miasta sądzi, że to Dell zabił Teenie, pochował ją gdzieś, a potem popełnił samobójstwo. To doprowadza Sybil do szału. Matka Teenie jest splukana. Nawet jeśli wpadłaby na pomysł ściągnięcia was tutaj, nie miałyby czym zapłacić. Więc Sybil zdecydowała się to sfinansować. Pomysł podsunął jej Terry, który na jakimś zjeździe burmistrzów słyszał o was od jakiejś szychy z miasteczka w Arklatex.

Spojrzałam na Tollivera.

–El Dorado – mruknął, a ja skinęłam głową, przypominając sobie tamto zlecenie.

–Sybil nie może znieść tej atmosfery podejrzeń – ciągnął prawnik. – Lubiła Teenie, mimo że dziewczyna była narwana. Zakładała, że w przyszłości będzie jej synową.

–Nie ma pana Teague? Sybil jest wdową, tak? – upewniłam się.

–Od niedawna. Ma także córkę. Mary Nell. Dziewczyna ma teraz siedemnaście lat.

–Dlaczego Dell i Teenie tu przyjechali? Wzruszył ramionami, uśmiechając się wymownie.

–Nikt nad tym nie deliberował. Wiecie, siedemnastolatki, wiosna, las... Wszyscy uznali, że to dość oczywiste.

–Ale zaparkowali przy drodze. – To było zdecydowanie bardziej oczywiste, ale widać nie dla Paula Edwardsa. – Dzieciaki, które wybierają się uprawiać seks, starają się lepiej ukryć samochód. Szczególnie te z małych miasteczek wiedzą, jak łatwo ktoś mógłby ich przyłapać.

Edwards wydawał się zaskoczony; jego pociągła twarz stężała, jakby przez głowę przemknęła mu nagle jakaś nieprzyjemna myśl.

–Nie ma tu dużego ruchu – rzekł bez przekonania.

Założyłam okulary słoneczne. Prawnik spojrzał na mnie nieufnie. Dzień był pochmurny. Dałam Tolliverowi znak, że jestem gotowa.

–Stawaj, Makduffie! – rzucił Tolliver ku konsternacji prawnika. Widocznie w liceum Edwardsa przerabiano „Juliusza Cezara” zamiast „Makbeta”. Dopiero gdy Tolliver poparł swoje słowa gestem, wskazując na las, na obliczu naszego przewodnika pojawił się wyraz zrozumienia, a zarazem ulgi. Podążyliśmy za nim zboczem w dół.

Tolliver szedł u mego boku, jak zawsze. Byłam rozkojarzona – wiedział, że łatwo mogę upaść na stromej skarpie. Zdarzało się to już wcześniej.

Po dwudziestu minutach powolnej, ostrożnej wędrówki, którą dodatkowo utrudniały śliskie liście i igły pokrywające zbocze, dotarliśmy do wielkiego przewróconego dębu, przy którym leżała sterta liści, gałęzi i innych śmieci. Obumarłe części roślin, zmyte ulewnymi deszczami z góry, zatrzymywały się i zbierały wzdłuż potężnego pnia.

–Tu właśnie znaleziono Della – Edwards wskazał na część pnia od strony spadku. Trudno się dziwić, że tak długo szukano ciała Della, nawet wiosną, ale zaskoczyło mnie miejsce odkrycia zwłok. Dobrze, że założyłam ciemne okulary.

–Po tej stronie pnia? – upewniłam się wskazując punkt poniżej pnia.

–Tak – potwierdził Edwards.

–I miał broń? Leżała gdzieś tutaj?

–No... nie.

–Ale przyjęto teorię, że się sam postrzelił?

–Tak, tak mówili w biurze szeryfa.

–To dziwne, nie sądzi pan?

–Szeryf uważał, że myśliwy mógł zabrać broń i nie poinformować o tym policji. Albo zabrał ją któryś z tych, co przyszli tu później. Broń jest droga, a każdy tu jej używa – Edwards wzruszył ramionami. – Albo, jeśli Dell postrzelił się sam, stojąc ponad pniem, przewrócił się na drugą stronę, wypuszczając z ręki broń, która zsunęła się dużo niżej i wpadła gdzieś w podobną stertę śmiecia.

–A rany? Ile ich miał?

–Dwie. Jedną, draśnięcie z boku głowy uznano za... swego rodzaju nieudaną próbę. Drugi pocisk trafił w oko.

–A więc mamy dwie rany, z tego jedną powierzchowną oraz brak broni. I uznano to za samobójstwo. A ciało znaleziono po dolnej stronie pnia.

–Tak, proszę pani. – Prawnik zdjął kapelusz i strzepnął go o nogę.

Nic tu nie grało. A może jeśli...

–W jakiej pozycji leżał?

–Co? Chce pani, żebym zademonstrował?

–Tak. Widział go pan?

–Jasne. Przybyłem tu, żeby go zidentyfikować. Nie chciałem, żeby Sybil oglądała syna w takim stanie. Przyjaźnię się z nią od lat.

–Więc proszę pokazać, jak leżał.

Edwards wyglądał, jakby dał wszystko, żeby być daleko stąd. Ukląkł na ziemi, a niechęć dosłownie promieniowała z każdej komórki jego ciała. Podparł się ręką i opuścił na ziemię, twarzą do pnia. Leżał na prawym boku z podkurczonymi nogami.

Tolliver poruszył się za mną niespokojnie.

–Nie pasuje – szepnął mi do ucha. Kiwnęłam głową.

–Dobra, dzięki – zwróciłam się do prawnika, który błyskawicznie wstał.

–Dlaczego chciała pani wiedzieć, gdzie leżał Dell? – Starał się nie mówić Oskarżycielskim tonem. – Przecież szukamy Teenie?

–Jak miała na nazwisko? – Nie żeby było mi to potrzebne, ale zapomniałam, a wypadło znać jej pełne dane.

–Teenie Hopkins. Monteen Hopkins. Nadal znajdowałam się powyżej pnia. Ruszyłam w prawo. Ten kierunek wydawał się odpowiedni, a przynajmniej tak dobry jak każdy inny.

–Może pan wracać do auta. – Usłyszałam jak Tolliver mówi do naszego nieochotniczego towarzysza.

–Możecie potrzebować pomocy – zauważył Edwards.

–Wtedy po pana przyjdziemy.

Nie bałam się, że zabłądzimy. Tolliver zawsze tego pilnował i nigdy mnie nie zawiódł. Chociaż nie. Raz zgubiliśmy się na pustyni. Dokuczałam mu potem tak długo, że doprowadziłam go tym niemal do obłądu. Oczywiście należało mu się, bo mało brakło, a byłoby po nas.

Wolałabym iść z zamkniętymi oczami, ale w takim terenie było to zbyt niebezpieczne. Ciemne okulary trochę pomagały, tłumiąc kolory i odgradzając mnie od świata wokół.

W ciągu pierwszej półgodziny wędrówki stromym zboczem odbierałam słabe sygnały ludzi już od bardzo dawna nieżyjących. Świat jest naprawdę pełen zmarłych.

Upewniwszy się, że bez względu na to jak cicho nie potrafiłby się poruszać, prawnik nas nie śledzi, przystanąłam wreszcie przy wychodni skalnej*

[*(geol.) Miejsce w terenie, w którym warstwa skalna wychodzi na powierzchnię ziemi. (przyp. red.)] i

zdjęłam okulary. Popatrzyłam na Tollivera.

–Pieprzenie w bambus – skwitował.

–Co ty powiesz?

–Nie ma broni i samobójstwo? Dwukrotny postrzał i samobójstwo? Może lyknałbym jedno, ale oba? Ktoś, kto zamierza się zabić, siądzie raczej na pniu, aby o tym pomyśleć. Nie stałby na stromym zboczu poniżej, twarzą ku wzniesieniu. Samobójcy i tak mają pod górkę.

Mieliśmy doświadczenie w tych kwestiach.

–Poza tym upadł na rękę, w której trzymałby broń. Nawet jeśli dziwnym przypadkiem odbyłoby się to tak, jak mówią, jestem przekonana, że nikt nie sięgałby pod ciało, aby ją ukraść.

–Chyba że ktoś o stalowych nerwach i mocnym żołądku.

–I w oko! Słyszałeś, żeby ktoś popełnił samobójstwo, strzelając sobie w oko?

Tolliver pokręcił głową.

–Któs chłopoka zamordował. – Czasami bywa bardziej wieśniacki od wieśniaka.

–Bez wątpienia – zgodziłam się. Dumaliśmy nad tym przez moment.

–Lepiej szukajmy tej dziewczyny – powiedziałam, bo Tolliver pewnie czekał na moją decyzję.

–Też jest gdzieś tutaj – powiedział tonem między pytaniem a stwierdzeniem.

–Najprawdopodobniej. – W zamyśleniu przechyliłam głowę. – Chyba że Dell został zabity, próbując zapobiec jej porwaniu.

Ruszyliśmy dalej. Szło się dużo łatwiej, co prawda teren nie był całkiem płaski, ale przynajmniej nie tak stromy jak na początku.

Są gorsze sposoby spędzania jesiennego dnia niż spacer po lesie pośród wielobarwnych liści i jasnych plam przedzierającego się przez chmury słońca.

Badalam otoczenie wszystkimi zmysłami. Namierzyliśmy zwłoki, jednak leżały tu już zbyt długo, żeby mogły należeć do dziewczyny. Stojąc metr od nich, odkryłam, że jest to ciało czarnego mężczyzny, który zmarł z wychłodzenia. Leżał pogrzebany pod liśćmi, gałkzkami i ziemią, która tyle lat osuwała się ze zbocza. Z tej naturalnej mogiły wystawały fragmenty poczerńiałych żeber, na których widniały strzępy tkaniny i resztki tkanek.

Dobylaam z kieszeni czerwony strzępek materiału, zaś Tolliver kawałek drutu, który nosił zawsze ze sobą. Przywiązałam szmatkę do jednego końca, a Tolliver zatknął pałak w ziemi. Znajdowaliśmy się może z pół kilometra na południowy zachód od powalonego dębu. Zaznaczyłam miejsce na mapie.

–Wypadek podczas polowania? – zasugerował Tolliver. Przytaknęłam. Nie zawsze udaje mi się ściśle określić przyczynę zgonu, ale uczucia towarzyszące tej śmierci wskazywały właśnie na coś takiego – strach, osamotnienie. Długotrwałe cierpienie. Przypuszczałam, że spadł z ambony myśliwskiej, łamiąc sobie kark. Na drzewie pozostały jeszcze resztki zbutwiałych desek. Leżał tu, dopóki nie pokonały go siły przyrody. Nazywał się Bright? Mark Bright? Jakoś tak.

Cóż, nie był częścią mojej umowy. Sarne dostanie ode mnie kolejny prezent. Czas coś zarobić.

Ruszyliśmy dalej. Kierowana uczuciem niepokoju, skręciłam na wschód. Około dwudziestu metrów od ciała myśliwego poczułam znajome, wyraźne brzęczenie dochodzące z północy. Początkowo zdziwiłam się, że jego źródło znajduje się na górze, ale uświadomiłam sobie, że właśnie tam jest droga. Im wyżej wychodziliśmy, tym bardziej zbliżaliśmy się do zwłok Teenie Hopkins lub jakiejś innej młodej białej dziewczyny. Brzęczenie przerodziło się w głośny terkot. Opadłam na kolana. Była tam. Nie w całości, ledwie jej szczątki, ale była. Przykryto ją świeżymi gałkzkami, ale liście już obumarły i poodpadały. Teenie Hopkins przeleżała pod nimi całe gorące

lato. Jednak mimo działalności owadów, zwierząt i pogody, jej zwłoki były w lepszym stanie niż te należące do myśliwego.

Tolliver ukląkł obok, otaczając mnie ramieniem.

–Tak źle? – zapytał. Pomimo zaciśniętych powiek czułam, że rozgląda się wkoło. Pewnego razu zostaliśmy zaskoczeni przez mordercę, zamierzającego ukryć w tym samym miejscu kolejną ofiarę. Ironia losu.

Ta część była najgorsza. Najtrudniejsza dla mnie. Zwykle odnalezienie ciała oznaczało sukces. To jak zwłoki stawały się zwłokami, szczególnie mnie nie szokowało. Przywykłam – taką miałam pracę. Ludzie umierają – w ten czy inny sposób. Ale ta gnijąca rzecz pod liśćmi... Uciekała; biegła ciężko dysząc, odarta z człowieczeństwa, sprowadzona do poziomu przerażonej istoty, która walczy o przetrwanie; kula przeszła jej plecy, potem druga...

Zemdlałam.

Leżałam z głową opartą na kolanach Tollivera. Wokół rozciągał się dywan liści – dębu, kłazy, sassafrasu i klonu – barwny kobierzec złota, czerwieni i brązów. Brat opierał się o wysoką starą kłazę. Na pewno uwierały go twarde, kuliste owoce, które zaścielały podszyt.

–No, dalej, kochanie, ocknij się. – Sądząc z intonacji, powtarzał to już od jakiegoś czasu.

–Jestem przytomna – powiedziałam zniesmaczona słabością dźwięku, jaki z siebie wydałam.

–Boże, Harper, nie rób mi tak.

–Przepraszam.

Wtuliłam na chwilę twarz w jego pierś. W końcu westchnęłam, wyprostowałam się i wstałam. Przez moment chwiałam się lekko, nim całkowicie odzyskałam równowagę.

–Jak zginęła? – zapytał Tolliver.

–Dwa strzały w plecy. Czekaj, aż dodam coś więcej.

–Uciekała – wyjaśniłam, żeby lepiej zrozumiał rozpacz i przerażenie, towarzyszące ostatnim jej chwilom.

Koniec rzadko bywa aż tak straszny. Oczywiście mierzyłam te kwestie prawdopodobnie inną miarą niż większość ludzi.

Paul Edwards czekał na nas w swoim lśniącym srebrzystym outbacku. W oczach miał znaki zapytania, ale w pierwszej kolejności musieliśmy zdać sprawozdanie naszej klientce. Przed wyruszeniem do miasta Tolliver poprosił prawnika, by zaraz po przyjeździe zebrał zainteresowanych, oczywiście jeśli Sybil życzy sobie ich obecności. Droga powrotna upłynęła nam w milczeniu. Zatrzymaliśmy się jedynie w sklepiku spożywczym, gdzie Tolliver kupił dla mnie colę, tę prawdziwą, nie ze słodzikiem. Po wysiłku towarzyszącym odczytowi potrzebowałam cukru.

–Powinnaś wypić ze cztery, żeby natrać trochę ciała – mruknął jak zwykle.

Zignorowałam jego uwagę, jak zwykle, wypijając napój duszkiem. Po kilku minutach poczułam się lepiej. Dopóki nie odkryliśmy zbawczego działania cukru, czasami musiałam leżeć cały następny dzień po odkryciu ciała.

Świadoma, że w biurze szeryfa czeka na mnie znajoma grupa osób, przez chwilę

siedziałam w aucie, wpatrując się w szklane drzwi. Nie spieszyło mi się do tej części zadania.

–Mam poczekać w holu?

–Nie, chodź ze mną – poprosiłam brata. – Nie spodoba im się to, co mam do powiedzenia.

Kiwnął głową.

Tym razem spotkanie odbywało się w salce konferencyjnej, ciasnawej jak na tłumek składający się z Branscoma, Edwardsa, Teague i Vale'a oraz nas dwojga.

–Podaj mi mapę – zwróciłam się do Tollivera. Rozpostarł płachtę na blacie.

Ułożyłam sobie w głowie wszystko, co chciałam powiedzieć, aby jak najszybciej osiągnąć cel, czyli opuścić ten budynek i wyjechać z miasta z cukiem w ręku.

–Zanim przejdę do najważniejszego – zaczęłam – pozwolę sobie wskazać lokalizację innych zwłok: czarnego mężczyzny nieżyjącego od około dziesięciu lat. Leży tu. – Pokazałam czerwony punkt. – Zmarł z wychłodzenia.

Szeryf najwyraźniej sięgał myślami w przeszłość.

–To może być Marcus Allbright – powiedział. – Zaginął mniej więcej w tym czasie. Byłam wtedy zastępcą szeryfa. Jego żona myślała, że uciekł. Wyślę kogoś po szczątki.

Wzruszyłam ramionami. To już nie była moja sprawa.

–A teraz, jeśli chodzi o Teenie Hopkins. – Zastygli z wyczekiwaniem. Edwards pochylony nieco nad stołem. – Została dwukrotnie postrzelona w plecy, jej ciało znajduje się tu. – Wskazałam palcem punkt.

Skupieni wokół stołu ludzie gwałtownie nabrali tchu.

–Widzieliście ją? – zapytał „Cześć, jestem Terry, burmistrz”. Jego oczy osłonięte okularami w drucianych oprawkach zrobiły się jak spodki i zaszklily lekko. Pan burmistrz był bliski płaczu.

–To co z niej zostało – powiedziałam i zaraz pomyślałam, że bardziej odpowiednie w tym miejscu byłoby zwykłe skinienie.

–To znaczy – zaczęła Teague z niedowierzaniem – że ją tam zostawiliście?

Bransom popatrzył na nią z niebotycznym zdumieniem. Przyglądałam jej się mniej więcej z taką samą miną.

–To miejsce zbrodni – przypominałam. – Poza tym ja nie zabieram zwłok. Pozostawiam to specjalistom. Jeśli pani nie chce, żeby szeryf wszczął śledztwo, niech sobie je pani sama zabierze – warknęłam i umilkłam. Odetchnęłam głęboko. W końcu to klientka. – Dwa strzały w plecy, więc nadal nie wiemy, jak to się stało. Jeśli pani syn zginął pierwszy, Teenie została zamordowana przez tego samego sprawcę. Oczywiście, nie można wykluczyć, że to Dell ją zastrzelił, a potem popełnił samobójstwo. Ale raczej mało prawdopodobne, że sam się zabił. Oniemiała, przynajmniej na chwilę. Wszyscy obecni wpatrywali się we mnie z natężeniem.

–Mój Boże – jęknęła Sybil, odzyskując głos.

–Skąd pani wie? – zapytał szeryf.

–Tak jak odnajduję ciała. Po prostu. Podobnie jak diagnozuję przyczynę zgonu. Możecie mi wierzyć albo nie, wasza sprawa. Miałam odnaleźć Teenie

Hopkins i odnalazłam, w każdym razie to, co z niej zostało. Być może brakuje jednej czy dwóch kości. Rozumiecie, zwierzęta.

Sybil pochłaniała mnie wzrokiem z dziwnym wyrazem twarzy, jakby nie była pewna, czy czuje wobec mnie podziw, czy odrazę. Ale ostatecznie, byłam kimś, kto wierzył, że jej syn nie popełnił samobójstwa. Machinalnie przesuwała dłońmi po klapach żakietu, wygładzając złotobrazowy materiał, a potem kilkakrotnie przejechała nimi po opinających uda spodniach.

–Zawołaj Hollisa – powiedział szeryf do interkomu. Siedzieliśmy w milczeniu, dopóki do pokoju nie wszedł umundurowany zastępca szeryfa. Niebieskooki krzepki blondyn pod trzydziestkę wyraźnie umierał z ciekawości, co dzieje się w gabinecie szefa. Całkiem nieźle wyglądał w mundurze. Zmierzył mnie i Tollivera od stóp do głów. Następnym razem nas rozpozna.

–Pani Connelly – odezwał się szeryf. – Pokaże pani Hollisowi miejsce, gdzie leżą zwłoki.

Zastępca osłupiał, gdy dotarł do niego sens tego rozkazu raczej, niż prośby.

–Które? – zapytałam. Hollis wytrzeszczył oczy.

–Ja pojedę – oświadczył Tolliver. – Harper powinna odpocząć.

–Nie, to pani Connelly odnalazła zwłoki i to ona musi tam pojechać.

Tolliver i szeryf skrzyżowali groźne spojrzenia. Mogłam się założyć, że szeryf chce dopilnować, abym musiała ciężko zapracować na każdego centa, którego dostanę. Wstałam.

–Pojadę. – Dotknęłam ramienia Tollivera. – Dam radę. – Na moment zacisnęłam palce na jego kurtce, po czym rozprostowałam je i kiwnęłam głową na zastępcę. – Zaraz mnie odwiezie. – Rzuciłam bratu spojrzenie przez ramię, dając do zrozumienia, żeby został na miejscu. Widziałam jeszcze, że skinął lekko, a potem drzwi do salki zamknęły się za mną i Hollisem.

–Nazywam się Hollis Boxleitner – przedstawił się zastępca w drodze do radiowozu.

–Harper Connelly.

–To pani mąż?

–Brat. Tolliver Lang.

–Inne nazwiska.

–Owszem.

–Gdzie jedziemy?

–Dziewiętnastką na północ.

–Tam gdzie...

–Został zastrzelony chłopak.

–Gdzie się zastrzelił – poprawił Boxleitner bez przekonania.

W odpowiedzi tylko prychnęłam pogardliwie. – Jak pani ich znajduje?

–Szeryf mówił panu, że przyjadę?

–Słyszałem jego rozmowy telefoniczne. Oświadczył Sybil, że zwariowała, ściągając tu panią. Wściekał się na Terry'ego Vale'a, że jej o pani powiedział.

–Zostałam porażona piorunem. Miałam wtedy piętnaście lat.

Chyba zbiłam go z tropu, bo wyraźnie nie wiedział, o co zapytać.

–Była pani wtedy w domu?

–Tak. Ja, Tolliver, moja siostra, Cameron... Byliśmy wtedy sami. Dwie młodsze siostry miały przedstawienie w przedszkolu i matka poszła je zobaczyć. – Niesamowite, że w ogóle pamiętała o posiadaniu dzieci, biorąc pod uwagę stan, w jakim się wtedy znajdowała. – Burza przyszła po południu, około czwartej. Byłam wtedy w łazience, układałam włosy na lokówce. Umywalka i lustro znajdowały się przy oknie, wtedy otwartym. Piorun wpadł przez okno, a następne co pamiętam, to że leżałam na podłodze i patrzyłam w sufit. Z włosów mi się dymiło, a moje buty leżały nieopodal. Tolliver reanimował mnie, dopóki nie przyjechała karetka.

Strasznie się rozgadałam. Postanowiłam przystopować.

Najwyraźniej Hollis nie miał już więcej pytań. Z jednej strony ucieszyło mnie to, a z drugiej zdziwiło. Dla większości osób tych kilka zdań stanowiło dopiero wstęp do tego, czego później chcieli się dowiedzieć. Opatuliłam się szczelniej kurtką, marząc o motelowym łóżku. Zakopię się pod kocami. Zjem gorącą zupę. Przymknęłam oczy, a gdy otworzyłam je po kilku minutach, czułam się znacznie lepiej. Dojeżdżaliśmy do celu.

Orientując się po natężeniu wibracji, kazałam zastępcy zaparkować samochód dużo bliżej celu niż ostatnio. Wiedząc już gdzie jest ciało, znacznie łatwiej odnajdywałam drogę. W tym miejscu stok był łagodniejszy niż ten z powalonym dębem, ale i tak musieliśmy poruszać się ostrożnie.

–A więc teraz zarabia pani na życie, szukając martwych? – zapytał Boxleitner w pewnej chwili.

–Tak. Taki mam zawód. – Mam także bardzo silne bóle głowy, dziwny ślad w kształcie pajęczyny na prawej nodze, wyraźnie słabszej, i drżą mi ręce. Mimo że biegam regularnie, aby wzmocnić mięśnie, takie wędrówki w górę i w dół bardzo mnie męczą. Oparłam się o drzewo, wskazując na stertę gałęzi, pod którymi kryło się to, co zostało z Teenie Hopkins.

Boxleitner zajrzał pod nie i zwymiotował. Był zakłopotany swoją reakcją, ale mnie ona nie dziwiła. Trzeba sporo czasu, aby przyzwyczać się do widoku co czas oraz przyroda mogą zrobić z ludzkim ciałem. Policjant z małego miasteczka nieczęsto zapewne widywał zwłoki w takim stopniu rozkładu. Poza tym, prawdopodobnie znał tę dziewczynę.

–Jak są w trakcie, wyglądają najgorzej – pocieszyłam go.

Zrozumiał, o co mi chodzi i przytaknął. Ruszyłam do samochodu, zostawiając go, żeby się pozbierał i zrobił, co tam miał zrobić.

Niedługo wychynął spomiędzy drzew, ocierając usta wierzchem dłoni. Obwiązał pomarańczową taśmą drzewo rosnące najbliżej drogi i bez słowa wskazał na samochód. Podczas jazdy powrotnej w aucie panowało posępne milczenie. Odezwał się dopiero podczas parkowania.

–Teenie Hopkins była moją szwagierką.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Pozwoliłam mu się odprowadzić na posterunek. Od naszego wyjścia nie minęło

więcej niż trzy kwadranse, więc zastaliśmy jeszcze wszystkich w salce. Tolliver mocno zaciskał szczęki, więc wywnioskowałam, że pewnie nieźle go wymaglowali. Prawdopodobnie pytali o wcześniejsze zlecenia, więc musiał im coś nieco o mnie powiedzieć. Nie znosił tego robić.

Gdy weszliśmy, twarze obecnych zwróciły się w naszą stronę. Na obliczu burmistrza malowało się zaciekawienie, prawnika – rozważa, szeryfa – gniew, a Tollivera – ulga. Sybil zastygła napięta, zrozpaczona.

–Ciało tam jest – oznajmił Hollis zwięźle.

–To na pewno Teenie? – spytała Sybil oszołomiona, pogrążona w żalu.

–Nie, proszę pani. Nie mam pojęcia czy to ona. Dentysta będzie mógł ją zidentyfikować. Zadzwońię do doktora Kerry’ego. Wystarczy, żeby nieoficjalnie potwierdzić tożsamość. Potem wyślemy szczątki do Little Rock.

Miałam stuprocentową pewność, że to Teenie, ale Sybil nie byłaby zachwycona moim kolejnym zapewnieniem. Właściwie patrzyła na mnie z niechęcią. Nie pierwszy raz stykałam się z taką reakcją. Zatrudniła mnie, płaciła za moje usługi okrągłą sumkę, ale nie chciała mi wierzyć. Co więcej, ucieszyłaby się z mojej omyłki. Z pewnością także nie pałała do mnie sympatią, pomimo że dostarczyłam jej informacji, o które prosiła... Informacji, w celu zdobycia których zadała sobie sporo trudu, aby ściągnąć mnie do Sarne.

Początkowo potrafiłam wczuć się w położenie klienta i zrozumieć tę dziwną postawę, ale to było dawno temu. Teraz już tylko mnie nużyła.

Rozdział drugi

Nikt nie chciał już z nami rozmawiać, nikomu nie było to potrzebne. Śmiem twierdzić, że burmistrz Terry Vale, patrząc na mnie, dostawał gęziej skórki. Cała sprawa dotyczyła go w niewielkim stopniu, właściwie nie rozumiałam jego obecności na tych spotkaniach, ale reszcie chyba leżał na sercu spokój jego umysłu, więc postanowiliśmy ich zostawić. Po kilku telefonach okazało się, że doktor Kerry wyjechał z miasta i wróci dopiero za cztery dni. Jediną możliwością zidentyfikowania ciała, było wysłanie go do Little Rock. Branscom skontaktował się z laboratorium stanowym, gdzie obiecali mu zająć się tą sprawą w pierwszej kolejności, zaraz jak tylko zwłoki znajdą się u nich. Tym samym poszli mu bardzo na rękę, bo laboratorium kryminalistyczne Arkansas jest wiecznie zawałone pracą i ma duże opóźnienia. Branscom posiadał kopię dokumentacji dentystycznej Teenie, więc mógł wysłać ją wraz ze szczątkami.

Sybil nie zamierzała nam zapłacić, zanim tożsamość zwłok nie zostanie potwierdzona. Wyglądało więc na to, że utknęliśmy w Sarne na co najmniej dobę. Dwadzieścia cztery godziny kompletnej bezczynności. Wiele czasu spędziliśmy na oczekiwaniu, ale nie było to dla nas łatwe.

–W motelu jest HBO – zauważył Tolliver. – Może puszczają coś, czego jeszcze nie widzieliśmy?

Jednak po przejrzaniu programu wyszło na jaw, że widzieliśmy już wszystko, co było warte zobaczenia. Tolliver gdzieś poszedł. Domyśliłam się, że zapolować na kelnerkę, która nas obsługiwała.

Byłam zbyt podminowana, by czytać, ale ożywiona na tyle, że zaniechałam myśli o zagrzebaniu się w łóżku. Aby zająć czymś ręce, postanowiłam sobie zrobić pedicure. Wyjęłam z kosmetyczki potrzebne utensylia i zajęłam się swymi stopami. Właśnie kładłam na paznokcie warstwę czerwonego lakieru, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

–Mogę na chwilę? – zapytał stojący w progu Hollis Boxleitner. Wychyliłam się, żeby zerknąć, czy na parkingu stoi jego wóz policyjny. Nie. Mimo że był w mundurze, przyjechał jaskrawo-niebieskim fordem pickupem.

–Proszę – zgodziłam się, choć bez zachwyty. Ponieważ pogoda naprawdę była piękna, drzwi zostawiłam otwarte, a krzepki zastępca nie protestował. Usiadł w fotelu, a ja, zaproponowawszy mu zimną, pokrytą kropelkami puszkę frescy, zajęłam drugi. Otworzył napój z psyknięciem i pociągnął duży łyk.

Ja tymczasem oparłam stopę o kant blatu i wróciłam do malowania paznokci.

–Ma pani ochotę iść do baru? Może na stek z frytkami? – zaproponował.

–Nie, dzięki. – Było po pierwszej i rzeczywiście powinnam coś zjeść, ale nie czułam głodu.

–Kalorie, tak? Powinna pani nabrać trochę ciała.

–Owszem, kalorie – odrzekłam, przeciągając uważnie pędzelkiem po paznokciu dużego palca.

–Pani brat tam siedzi. Rozmawia z Janine. Wzruszyłam ramionami.

–A może do Sonica? – Zerknęłam na niego spod oka, ale patrzył tylko pytająco.

–Czego pan chce? – Nie lubiłam, jak ktoś mną manipulował.

Odstawił puszkę na stół i spojrzał na mnie.

–Chciałbym pogadać trochę o Monteen Hopkins. Mojej szwagierce. Tej, której ciało, jak pani twierdzi, odnalazła pani dzisiaj.

–Nie muszę jej lepiej poznawać. – Nie lubiłam tego. I tak wiedziałam aż za dużo. Miałam świadomość, co czuła na kilka minut przed śmiercią. Trudno mieć z kimś jeszcze bliższy kontakt. – I gwarantuję – dodałam z zawodową dumą – że to na pewno ciało Monteen Hopkins.

Spuścił oczy, wpatrując się w duże dłonie porośnięte z wierzchu złotymi włoskami.

–Obawiałem się, że to pani powie. – Urwał i milczał przez moment. – Chodźmy, postawię pani koktajl mleczny. To ja miałem kłopoty z żołądkiem, a i tak czuję, że powinienem coś wrzucić na ruszt. Więc z pewnością pani tym bardziej.

Przyglądałam mu się przez dłuższą chwilę, usiłując go rozgryźć, ale żywi ludzie stanowili dla mnie zagadkę. W końcu kiwnęłam głową na znak zgody.

Paznokcie nie zdążyły mi jeszcze wyschnąć, więc pomimo chłodu, wsiadłam do jego auta na bosaka, co go rozbawiło. Hollis Boxleitner był dobrze zbudowanym mężczyzną o szerokiej twarzy, orlim nosie i białych zębach, które prawdopodobnie często odsłaniał w uśmiechu. Teraz jednak miał poważną minę. Jego proste, jasne włosy lśniły w jesiennym słońcu.

–Zawsze mieszkał pan w Sarne? – zapytałam, gdy przystanął przy okienku i zamówił dwa czekoladowe koktajle.

–Od dziesięciu lat. Chodziłem tu do dwóch ostatnich klas liceum, a potem zostałem. Skończyłem uczelnię państwową, ale po pierwszym roku dojeżdżałem na zajęcia stąd.

–Żonaty? Wspomniał pan, że Teenie była pana szwagierką.

–Tak.

–Ma pan dzieci? – Nie.

Może małżeństwo nie trwało zbyt długo.

–Moja żona była starszą siostrą Monteen. Nie żyje.

Zaskoczył mnie. Westchnęłam. Doszłam do wniosku, że skoro Hollis zapłacił za koktajl, chcąc nie chcąc, będę musiała jednak posłuchać o Teenie.

–Zetknąłem się z Monteen, gdy miała trzynaście lat. Podczas patrolu zgarnąłem ją z przydrożnej spelunki przy wyjeździe z hrabstwa. Nie miałem wątpliwości, że jest nieletnia i nie powinna szwendać się po takich miejscach. W wozie urwał jej się film. Była kompletnie zalana. Tej nocy, gdy odstawiłem ją do domu, poznałem Sally. – Przez chwilę milczał, zatopiony w myślach. – Sally spodobała mi się od pierwszego wejrzenia. W przeciwieństwie do siostry, była normalną dziewczyną, pełną słodyczy. Teenie była zwariowana jak dzika świnia.

–Pewnie Sybil nie zachwycało, że syn się z nią spotyka?

–Można tak powiedzieć. Teenie brała przykład z matki. W tym czasie Helen dużo piła i szczególnie zwracała uwagę, kogo sprowadza do domu. Ale Helen udało się zmienić; w końcu rzuciła picie. A gdy matka się ustatkowała, Teenie również.

Nie tak przedstawiła nam to Sybil. Postanowiłam zapamiętać ten fakt, tak na przyszłość.

–Jak dostajesz zlecenia?

Pociągnęłam napój przez słomkę, rozważając przyczynę tak nagłej zmiany tematu. Koktajl mi smakował, ale picie czegoś zimnego w chłodny dzień, kiedy siedziało się bez butów, było głupim pomysłem. Zadrżałam.

–Ludzie dowiadują się o mnie pocztą pantoflową. Tak jak tutaj. Terry Vale usłyszał o mnie na jakiejś konferencji ludzi z magistratu. W kręgach ludzi związanych z prawem, przekazują sobie o mnie wiadomości przy okazji, telefonicznie albo mailem.

Pojawił się też jeden czy dwa artykuły w prasie branżowej.

–Pewnie się nie ogłaszacie?

–Czasami. Ale trudno odpowiednio sformułować takie ogłoszenie.

–Nie wątpię. – Uśmiechnął się z przymusem, ale zaraz znów spoważniał, a na jego twarzy odmalowało się skupienie. – Pani ich... wyczuwa?

Kiwnęłam głową.

–Ostatnie chwile ich życia. Jakby króciutki film. Może pan włączyć ogrzewanie?

–Oczywiście, przejedziemy się. Opuściliśmy parking Sonica, ruszając na przejażdżkę po Sarne.

–Ilu macie pracowników w biurze? – Staralam się być uprzejma. Wyczuwałam drugie dno i wiedziałam, że zbliżamy się do niego coraz szybciej.

–Etatowych? Poza mną jest szeryf i jeszcze dwóch zastępców.

–Skromna obsada.

–Wystarczająca na tę porę roku. Teraz mamy tu tylko liściowców. Przyjeżdżają podziwiać jesienną szatę lasów. Są raczej spokojni. – Hollis pokręcił głową nad ludźmi, którzy marnują czas na oglądanie kupy liści. – Z początkiem sezonu turystycznego zatrudniamy dodatkowych sześciu ludzi. Kierują ruchem i takie tam.

Pensja Hollisa była prawdopodobnie niewielka. Co w takim razie trzymało tego młodego, na oko kompetentnego oraz bystrego mężczyznę w Sarne?

Dobra, nie moja sprawa; ale jednak mnie to intrygowało.

–Odziedziczyłem tu dom po rodzicach – odpowiedział na moje niezadane pytanie. – Zginęli w wypadku samochodowym. Najechała na nich ciężarówka z balami. –

Kiwnął lekko głową, gdy wyraziłam współczucie. Nie chciał rozmawiać o ich śmierci, to dobrze. – Lubię wędkowanie, polowanie i ogólnie ludzi. W sezonie, po godzinach, pomagam szwagrowi. Ma wypożyczalnię pontonów. Latem pracuję niemal na okrągło, ale za to jest co odłożyć na konto. Czym zajmuje się pani brat, gdy nie jeździ z panią?

–Zawsze ze mną jeździ.

Wyglądał, jakby tylko z grzeczności hamował pogardliwą minę. – I to wszystko?

–To wystarczająco dużo. – Na myśl, że miałabym zajmować się finansową stroną interesu, przeszły mnie ciarki po plecach.

–Ile pani sobie liczy? – zapytał, koncentrując wzrok na drodze.

Miałam nadzieję, że nie ma w tym jakiegoś podtekstu. Milczałam.

W końcu cisza zaczęła ciążyć Hollisowi, choć wytrzymał dłużej, niż udawało się to innym.

–Chciałbym panią zatrudnić – powiedział tonem wyjaśnienia.

Tego się nie spodziewałam.

–Biorę pięć tysięcy od zlecenia. Płatne po pozytywnym potwierdzeniu tożsamości zwłok.

–A jeśli lokalizacja ciała jest znana? Diagnozuje pani także przyczynę śmierci, prawda?

–Tak. Oczywiście to kosztuje mniej. – Czasem rodziny chciały niezależnej opinii na temat przyczyny zgonu.

–Czy kiedykolwiek się pani omyliła?

–Z tego co wiem, nigdy. – Obserwowałam przez okno jak mijamy centrum. – To znaczy, jeśli znajduję ciało. A nie zawsze mi się to udaje. Czasami mam za mało informacji, żeby zawęzić teren poszukiwań. Tak było w przypadku córki Morgensternów. – Mówiłam o sprawie, o której pisano w gazetach rok wcześniej. Tabitha Morgenstern została porwana sprzed domu na przedmieściach Nashville. Od tamtej pory nikt jej nie widział. – Nie wystarczy znać miejsce, skąd ktoś zniknął. Mogła zostać porzucona gdziekolwiek, w Tennessee, Mississippi czy Kentucky. Miałam za mało danych. Musiałam powiedzieć rodzicom, że nie jestem w stanie jej odnaleźć.

Wiedziałam, że zbliżamy się do cmentarza, choć nie było go jeszcze widać. Czulałam wibracje przez skórę.

–Jak dawno założono ten cmentarz? – zapytałam. – Mam wrażenie, że jest dość nowy?

–Jakim cudem, do diabła... Przejeżdżaliście tędy z bratem?

–Nie. – Znajdowaliśmy się w sporej odległości od miejsc, które odwiedzają przyjezdni, nieco poza miastem, z dala od atrakcji turystycznych. – Na tym polega moja praca.

–To nowy cmentarz – odparł Hollis nieco drżącym głosem. – Stary leży...

–Na południowym zachodzie. Jakies sześć kilometrów stąd.

–Boże, przerażasz mnie, kobieto. Wzruszyłam ramionami. Nie wydawało mi się to przerażające.

–Zapłacę trzy tysiące. Zrobi pani coś dla mnie?

–Tak. Ale gotówką, bo nie wiem jaki jest faktyczny stan pańskiego konta.

–Prawdziwa kobieta interesu z pani – stwierdził bez podziwu.

–Wprost przeciwnie. Dlatego tymi sprawami zajmuje się Tolliver. – Z głośnym siorbnięciem skończyłam koktajl.

Hollis zawrócił do banku. Zatrzymaliśmy się przy okienku dla kierowców. Pracowniczka starała się nie robić zdziwionej miny, gdy zastępca szeryfa podał jej polecenie wypłaty gotówki, próbowała także nie zerkać na mnie zbyt jawnie. Miałam ochotę wytknąć Hollisowi, że gdybym pracowała w innej branży, pewnie by się tak nie nabzdyczał. Gdybym była sprzątaczką, nie zaproponowałby, że mam mu posprzątać dom za darmo, prawda? Już otwierałam usta, ale zrezygnowałam. Nie miałam zamiaru się usprawiedliwiać.

Wetknął mi do ręki bankową kopertę. Bez słowa wsunęłam ją do kieszeni. Wróciliśmy do przecznicy prowadzącej na cmentarz. Na miejscu Hollis zaparkował w alejce pomiędzy grobami.

–Chodźmy – odezwał się. – Mogiła jest tam dalej.

Dzień był piękny. Z przyjemnością obserwowałam, jak poruszane wiatrem wielkie liście płatana koziołkują po spłowiałej trawie.

–Balsamowanie powoduje zakłócenia w odbiorze – ostrzegłam.

Zabłyśły mu oczy. Pewnie myślał, że popełniałam błędy i będzie mnie mógł teraz zdemaskować. I odzyska pieniądze. Ugiął się wprost pod ciężarem ambiwalentnych uczuć.

Ruszyłam ostrożnie ku najbliższemu z grobowców, stąpając po wychłodzonej ziemi. Miałam kłopot ze skupieniem się na jednym zmarłym, gdy wokół leżało ich tak wielu. W efekcie nakładania się emanacji z innych mogił, a dodatkowo faktu, że ciało było zabalsamowane, musiałam znaleźć się jak najbliżej źródła.

–Biały mężczyzna średnim wieku... Zmarł na rozległy zawał serca – stwierdziłam z zamkniętymi oczami. – Nazywał się Matthews, lub podobnie.

Zapadło milczenie, gdy Hollis odczytywał napis na nagrobku.

–Tak – wychrypiał niemal bez tchu. – Teraz dalej. Nie otwieraj oczu. –

Poczułam, jak jego duża dłoń zamyka się namojej. Powiódł mnie ostrożnie do następnego grobu. Sięgnęłam w głąb moim szóstym zmysłem, który jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

–Bardzo wiekowy mężczyzna. – Potrząsnęłam głową. – Umarł chyba ze starości. – Zostałam zaprowadzona do kolejnej mogiły, tym razem nieco dalej. – Kobieta koło sześćdziesiątki, wypadek samochodowy. Turner, Turnage? Prawdopodobnie była pijana. Zawróciliśmy. Wyczuwałam jego napięcie -kierowaliśmy się teraz tam, gdzie zmierzał od początku. Uklęklam na mogile, przy której przystanęliśmy. Z miejsca wiedziałam, że ktoś, kto tu leżał, zmarł gwałtowną śmiercią. Zaczerpnęłam tchu i sięgnęłam pod ziemię.

–Och! – jęknęłam, zaskoczona. Hollis myślał o pochowanej osobie tak intensywnie, że ułatwiał mi dotarcie do niej. Słyszałam lejącą się do wanny wodę. W domu było gorąco, okna pootwierane. Przez łazienkowe wpadało chłodniejsze powietrze. Nagle... – Puść mnie! – krzyknęła, a ja razem z nią. Byłyśmy teraz jednością. A potem jej... moja głowa znalazła się pod wodą i patrzyliśmy w tepowany sufit, nie mogłyśmy oddychać, tonęłyśmy.

–Ktoś chwycił ją za kostki – powiedziałam. Znowu byłam sobą i żyłam. – Ktoś wciągnął ją pod wodę.

Dopiero po dłuższej chwili rozwarłam powieki i spojrzałam na stelę. Sally Boxleitner, głosił napis. Ukochana żona.

–Koroner nie mógł tego pojąć. Wysłałem jej ciało na autopsję – rzekł Hollis. – Wyniki były niejednoznaczne. Mogła zemdleć i osunąć się pod wodę, zasnąć w wannie albo coś w tym stylu. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie próbowała się wydostać. Ale nie było dowodów wskazujących na co innego. Obserwowałam go w milczeniu. Pograżeni w żalu są nieprzewidywalni.

–Wstrząs wagalny – mruknęłam. – Albo nagłe pobudzenie układu parasympatycznego czy jakoś tak. Gdy coś zdarza się niespodziewanie, człowiek nie jest w stanie zareagować.

–Widziała pani coś takiego? – W oczach błysnęły mu łzy; łzy bezsilnego gniewu.

–Widziałam już wszystko.

–Ktoś ją zamordował. – Tak.

–Nie wie pani kto?

–Nie. Nie widzę sprawcy. Wiem tylko, jak to się stało. I wiem, że to nie pan. Gdyby znajdował się pan w pobliżu ciała, a byłby pan mordercą, wiedziałabym o tym. – Nie zamierzałam tego powiedzieć. Właśnie dlatego tak potrzebowałam Tollivera, żeby za mnie mówił. Zatęskniłam za bratem równie nagle, co absurdalnie. – Może mnie pan już odwieźć do motelu?

Boxleitner skinął głową, nadal pogrążony w myślach. Zaczęliśmy iść pomiędzy stelami. Słońce świeciło nadal, liście tańczyły na żółknących

trawnikach, ale piękno dnia odeszło. Trzęsłam się, stawiając bose stopy na zimnej trawie. Po drodze do niebieskiego samochodu zatrzymałam się, by odczytać napis na wyróżniającym się okazałością pomniku. Przynajmniej osiem grobów znajdowało się w kwaterze oznaczonej nazwiskiem „Teague”.

Dobrze się składa. Wstąpiłam na mogiłę z imieniem Dell. Był tam. Leżał niezbyt głęboko, pochowany w kamienistej ziemi ozarskiej. Mignęła mi myśl, że kontakt z zabalsamowanym ciałem, na szczęście, nigdy nie jest tak wstrząsający jak z

niespreparowanymi zwłokami – Hollisowi nie przyszłoby do głowy, by otoczyć mnie taką troską, jaką wykazywał się Tolliver. Zastanawiając się, co zobaczę, zajrzałam „trzecim okiem” w głąb mogiły. Mój wzbudzony iskrą z pioruna dar dotknął szczątków Della Teague. Samobójstwo, jasne, pomyślałam natychmiast. Czemu Sybil nie zleciła mi odczytania tego grobu, zamiast wysłać mnie na poszukiwania Teenie? Oczywiście, że ten chłopiec nie zastrzelił się sam. Dell Teague został zamordowany, podobnie jak jego narwana dziewczyna. Otworzyłam oczy. Hollis Boxleitner przystanął, odwracając się, żeby sprawdzić, co robię. Spojrzałam w skupione oblicze zastępcy szeryfa.

–Żadnego samobójstwa – oświadczyłam.

Przedłużając się chwilę milczenia wykorzystałam na zerknięcie na wschodni horyzont. W szybkim tempie sunął ku nam kłęb ciemnych chmur. Koniec ładnej pogody. Hollis również podniósł wzrok na niebo. W masie ołowianych chmur pojawiła się szczelina, przez którą przedarły się promienie.

–Wracajmy – powiedział Hollis – przynosi pani ze sobą pecha.

Wsiedliśmy do pickupa. W drodze do Sarne żadne z nas nie przerwało milczenia. Gdy Hollis wpatrywał się w drogę, wyciągnęłam z kieszeni kopertę, kładąc ją na siedzeniu pomiędzy nami. Pod motelem błyskawicznie wyskoczyłam z samochodu, trzasnęłam drzwiczkami i czym prędzej otworzyłam drzwi do pokoju. Hollis odjechał bez słowa. Niewątpliwie miał dużo do przemyślenia.

Przyłożyłam ucho do ściany i usłyszałam głosy. Tolliver był w pokoju i pewnie miał włączony telewizor. Ale przezornie słuchałam jeszcze przez chwilę. Już raz poczyniłam podobne założenie i w efekcie zafundowałam sobie bardzo krępującą sytuację. Tym razem dobrze postąpiłam, wstrzymując się z wejściem, bo szybko zorientowałam się, że Tolliver ma towarzystwo. Mogłam się założyć, że to ta Janine, kelnerka z baru. Wszystko wskazywało na to, że Tolliver cieszył się znacznie większym powodzeniem u płci przeciwnej niż ja. Czasami strasznie mnie to wkurzało. Sądziłam, że ta różnica w atrakcyjności nie jest kwestią aparycji, że tkwi raczej w odmiennym podejściu do życia. Westchnęłam. Miałam ochotę wywalić język albo kopnąć w ścianę lub zachować się równie dziecinnie.

Przez moment odniosłam wrażenie, że faktycznie podobam się Hollisowi Boxleitnerowi, ale tak naprawdę interesował się mną jako fachowcem, nie kobietą.

Nadchodziła burza.

Wzięłam książkę i usiłowałam czytać. Ciemność na zewnątrz gęstniała szybko, więc po chwili musiałam zapalić światło. Gdzieś niedaleko rozległo się głuche dudnienie grzmotu.

Zmusiłam się do przeczytania kilku linijek. Naprawdę bardzo, bardzo chciałam się odciąć od świata tu i teraz. Najlepszą metodą na to było zagłębienie się w lekturze.

Na tylnym siedzeniu samochodu zawsze woziliśmy karton z czytałkami. Po przeczytaniu zostawialiśmy książki w miejscu, skąd mógł je ktoś zabrać. Te w bardzo dobrym stanie zatrzymywaliśmy na sprzedaż. Przystawialiśmy u różnych bukinistów, żeby uzupełnić pudło nowymi pozycjami. Z powodu ograniczonego wyboru w takich

miejscach zapoznałam się z wieloma książkami, których czytać nie planowałam. I z wieloma bestsellerami sprzed lat. Nie przeszkadzało mi, że nie są już nowościami.

Tolliver nie jest aż tak niewybrednym pożeraczem literatury jak ja. Nie tyka romansów (uważa, że są zbyt przewidywalne) ani powieści szpiegowskich (są według niego niedorzeczne), ale czyta wszystko inne. Historie o Dzikim Zachodzie, kryminały, fantastykę, a nawet literaturę faktu – niemal każda pozycja zawiera coś, co może nam się kiedyś przydać. Teraz czytałam obszarpany egzemplarz „Strefy skażenia” Richarda Prestona. Jedną z najbardziej przerażających powieści, jaką dotąd czytałam – ale wolałam bać się, zgłębiając Prestonowe wyjaśnienia dotyczące wybuchu i rozprzestrzeniania się eboli, niż myśleć o grzmotach.

Zanim jednak wróciłam do poszukiwań źródeł zarazy w afrykańskiej jaskini, spojrzałam na zegar. Oceeniłam, że kelnerka nie będzie siedziała dłużej niż godzinę. Może zdąży wyjść, zanim burza tu dotrze.

Rozłożyłam książkę na stoliku i włączyłam bezprzewodową lokówkę. Zakręciłam włosy i uczesałam się, zerkając od czasu do czasu w lusterko. Nieźle, oceeniłam efekt. W każdym razie nie najgorzej. Chociaż wyglądałam blado i słabowicie.

Moje i Tollivera podobieństwo kończyło się na ogólnej kolorystyce – oboje mieliśmy czarne włosy i ciemne oczy. Tolliver wyglądał na twardziela, tajemniczego, trochę groźnego. Blizny na policzkach i szerokie kwadratowe barki dodawały mu męskości.

Ale to ja wzbudzałam z ludziami strach.

Grzmot rozbrzmiał ponownie, tym razem bliżej. Nawet ebola nie była już w stanie odwrócić mojej uwagi od burzy. Staralam się skoncentrować się na czymś innym. Szeryf prawdopodobnie zabrał już szczątki Teenie z lasu i wysłał do Little Rock. Pewnie cieszył się, że zdążył przed deszczem. Nie trwało to długo, bo nie musiał zabezpieczać miejsca zbrodni. Oczywiście nawet

najbardziej niedbały policjant przeszukałby okolicę. Ciekawe czy Hollis brał w tym udział. I czy coś znaleźli. Szkoda, że nie zapytałam go o to podczas przejażdżki. Może właśnie teraz krążył po lesie, szukając jakichś śladów?

A właściwie co mnie to obchodzi? Wyjadę stąd, zanim zdołają znaleźć sprawcę. Zabębniłam nerwowo palcami w blat, wybijając nogą podobny rytm. Pogasiłam światła w pokoju oraz łazience.

Pokonam to. Tym razem nie stracę panowania nad sobą.

Hukowi grzmotu towarzyszył flesz błyskawicy. Podskoczyłam chyba na stopę. Na wszelki wypadek wyłączyłam lokówkę, chociaż była na baterie. Wyciągnęłam z gniazdka wtyczkę telewizora i usiadłam w nogach łóżka na śliskiej zielonej narzucie. Zadrzałam, trzymając na brzuchu splecione dłonie. Na zewnątrz padał deszcz, bębniąc w dach naszego samochodu, rozbryzgując się na chodniku. Kolejny grom. Pisnęłam mimowolnie.

Drzwi pomiędzy pokojami otworzyły się nagle, a w progu stanął Tolliver, w rękawiku na biodrach, z włosami mokrymi od prysznica. Za jego plecami dostrzegłam ruch – kelnerka ubierała się z rozgniewaną miną.

Tolliver usiadł obok, otaczając mnie ramieniem. Nie odezwał się ani słowem. Ja

również milczałam. Podrywałam się i trzęsłam, dopóki grzmoty nie ustały.

Rozdział trzeci

Sarne wydawało się małym miasteczkiem, pełnym zawirowań. Wyjazd stąd byłby dla nas wielką ulgą. Niedługo powinniśmy znaleźć się w Ashdown, a chciałam dotrzymać terminu. Staralam się być profesjonalistką, przynajmniej na tyle, na ile pozwalało mi na to wykonywanie tak niecodziennego zawodu. Czasami, w przerwach pomiędzy zleceniami, spędzaliśmy tydzień lub dwa w naszym mieszkaniu w St. Louis. Telefon dzwonił wtedy bez przerwy. Nie mogłam zaplanować sobie pracy z dużym wyprzedzeniem, w każdej chwili musieliśmy być gotowi do wyjazdu. Martwi mogli czekać wieczność, ale żywym zawsze się spieszyło.

Szeryf zadzwonił następnego ranka tuż przed siódmą. Zwykle o tej porze właśnie bym biegła, ale po przejściach poprzedniego dnia – odnalezieniu ciała i burzy – musiałam trochę zwolnić tempo. Zanim podniosłam słuchawkę, zerknęłam na zegar.

–Laboratorium potwierdziło, że to Teenie – poinformował mnie szeryf. Głos miał zmęczony, choć o tak wczesnej porze powinien być albo jeszcze zaspany albo rześki i wypoczęty. – Niech pani odbierze czek w biurze Paula Edwardsa. – Zakończył połączenie. Nie dodał: „i nigdy więcej tu nie wraca”, choć słowa te zawisły w powietrzu.

Tolliver wszedł do pokoju, ubrany, gotowy na śniadanie – jego ulubiony posiłek. Zauważył moją minę, gdy odkładałam słuchawkę.

–Ciężki jest los posłańca – podsumował. – Domyślam się, że potwierdzili tożsamość.

Przytaknęłam.

–Nigdy tego nie zrozumiem. Proszę, żebym znalazła ciało. Znajduję je. A wtedy są na mnie źli i wręczają mi czek z taką miną, jakby mieli pretensję, że nie robię tego za darmo.

–Pewnie nie bralibyśmy pieniędzy, gdybyśmy mieli jakiś rządowy grant albo coś w tym rodzaju.

–Och, tak. Bo rząd mnie kocha miłością wielką i dozgonną. – Płacenie podatków w moim przypadku było czystym koszmarem. Nie żebym wzbraniała się oddawać cesarzowi co cesarskie, po prostu miałam trudność ze wskazaniem źródła dochodów. Określałam się mianem konsultanta. Na razie udawało mi się jakoś unikać fiskusowego radaru, ale szczęście mogło mnie lada dzień opuścić.

Tolliver uśmiechnął się wesoło, wciągając sweter. Ruszaliśmy dzisiaj w dalszą drogę, więc założyłam džinsy. Nie przywiązuję szczególnej wagi do ubrań, mam tylko słabość do niebieskich džinsów. A parę, którą miałam na sobie, lubiłam wyjątkowo. Od częstego noszenia były już miejscami przetarte.

–Po drodze wstąpimy po czek do Edwardsa.

–I lepiej szybko go zrealizujmy – powiedziałam nauczona przykrym doświadczeniem.

Znowu zadzwonił telefon. Spojrzeliśmy po sobie.

–Panna Connelly? – odezwał się kobiecy głos, gdy podniosłam słuchawkę. – Harper Connelly?

–Tak, słucham?

–Tu Helen Hopkins. Matka Sally i Teenie. Mogłybyśmy się spotkać? – Teściowa Hollisa, ciekawe czy powiedział jej, co odkryłam na cmentarzu.

Przymknęłam oczy. Było mi to strasznie nie na rękę. Ale ta kobieta była matką dwóch zamordowanych córek.

–Dobrze, proszę pani.

Podawała mi adres, pytając, czy mogłabym przyjechać za pół godziny. Odparłam, że będziemy u niej za godzinę.

Potrzebowaliśmy więcej niż godziny. Po wymeldowaniu się z motelu i zapakowaniu bagaży do auta, poszliśmy do baru. Do stolika przywlokła się Janine – kelnerka, z którą Tolliver spędził wczorajsze popołudnie. Spojrzała na mnie wrogo, wzrokiem mówiącym „nie waż się go tknąć”. Spektakl równie przejrzysty, co bolesny. Sądziła, że zmuszam go do czegoś? Że nie pozwalam mu odejść i ciągam ze sobą po całych Stanach? Że jeśli wypuszczę go z garści, to zostanie w Sarne, zatrudni się w spożywcza i uczyni ją przyzwoitą mężatką?

Czasem droczyłam się z Tolliverem o te jego podboje, ale nie tym razem. Gdy wyszliśmy, nadal miał zaczerwienione policzki i milczał przez całą drogę do biura Edwardsa. Kancelaria mieściła się w starym domu tuż przy placu głównym. Budynek pomalowano w żółtozielone i niebieskie pasy – dziwaczny dobór kolorów, który architekci domu zapewne by potępili. Paul Edwards w ten sposób przyczynił się do stworzenia obrazu Sarne, który usiłowano tu sprzedać turystom – lunaparkowej atrakcji w formie maleńkiego miasteczka w dawnym stylu, gdzie za każdym rogiem czeka jakaś ciekawostka.

–Zaczekam w samochodzie – oświadczył Tolliver.

Myślałam, że Edwards zostawi kopertę z czekiem w recepcji, ale pojawił się osobiście, gdy tylko wymieniłam nazwisko. Sucha, tleniona blondynka śledziła z fascynacją każdy jego gest, gdy podawał mi rękę. Nie było się czemu dziwić. Paul Edwards miał w sobie dużo męskiego uroku.

Zaprosił mnie do gabinetu.

–Co mogę dla pana zrobić? – spytałam niechętnie. Marzyłam o wyjeździe. Usiadłam w skórzanym fotelu dla klientów, zaś prawnik oparł się o brzeg biurka.

–Jest pani niezwykłą kobietą – rzekł, kręcąc głową nad moim fenomenem. Nie wiedziałam, czy mam zaśmiać się ironicznie, czy zarumienić.

Poprzestałam na uniesieniu brwi, zachowując milczenie w oczekiwaniu na jego kolejny ruch.

–Jednego dnia całkowicie odmienia pani życie dwóch moich klientów.

–Nie rozumiem.

–Helen Hopkins jest szczęśliwa, że odnaleziono ciało jej córki. Odzyskała spokój, po tylu miesiącach strasznej niepewności. A Sybil ulżyło, że ludzie w końcu przestaną rzucać na jej zmarłego syna te głupie, fałszywe oskarżenia. Zmagala się z tym od czasu zniknięcia Teenie.

Nie odzywałam się nadal, rozważając, o co tak naprawdę może mu chodzić.

–Jeśli zostaje pani jeszcze trochę w Sarne, chciałbym zaprosić panią na kolację i

poznać bliżej – powiedział. Przesunęłam wzrokiem po jego porządnym garniturze, białej koszuli i lśniących butach. Miał świetnie ostrzyżone, ułożone włosy, gładko ogoloną twarz, a jego brązowe oczy błyszcząły szczerością.

–Prawdę mówiąc – zaczęłam powoli – zaraz wyjeżdżamy. Zahaczymy jeszcze tylko o Helen Hopkins. Dzwoniła z prośbą o rozmowę.

–Och, jaka szkoda. Straciłem okazję. Może jeśli będziecie w okolicy, zadzwoni pani do mnie? – Wetknął mi do ręki wizytówkę.

–Dziękuję – rzekłam wymijająco i po kolejnej porcji uścisków dłoni oraz wymownych spojrzeń, opuściłam biuro z czekiem w ręku.

Próbowałam zdać Tolliverowi relację z dziwnej rozmowy, jaką właśnie odbyłam, ale brat był chyba trochę obrażony, że tak długo musiał czekać pod biurem prawnika. Właściwie całą drogę do pani Hopkins był niezwykle mało mówny. Naszym celem okazał się niepozorny klockowaty budynek przy niepozornej uliczce.

Hollis Boxleitner wyrażał się niepocholebnie o przeszłości teściowej, więc w moim umyśle ukształtował się raczej negatywny wizerunek Helen. Zaskoczona, ujrzałam w progu schludną, szczupłą kobietę o rzadkich brązowych włosach i wypukłych niebieskich oczach. Kiedyś musiała być ładną dziewczyną w trochę suchotniczym typie. Teraz przypominała wyschniętą skorupę z twarzą tak wąską, jak moja drobna dłoń. Miała na sobie kwiecisty T-shirt i płócienne spodnie.

–Dzień dobry, jestem Harper Connelly – przedstawiłam się. – A to mój brat, Tolliver Lang.

–Helen Hopkins. Niech was Bóg błogosławi, że przyszliście do mnie – powiedziała szybko. – Proszę, wejdźcie, rozgośćcie się. – Wskazała maleńki salonik. Pomieszczenie było tak ciasne i zagracone, że dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z panującej w nim wręcz klinicznej czystości. Na ściennej półce tłoczyły się kolorowe szklane ozdoby z Avonu, a na taniutkiej ławie królowała Biblia, oflankowana dwiema wykrochmalonymi szydełkowymi serwetkami, z ustawionymi dokładnie pośrodku szklanymi lichtarzami, w których tkwiły białe świece.

Nietrudno było rozpoznać ołtarzyk. Pomieszczenie kipiało od zdjęć dwóch dziewczynek. Te z najmłodszych lat wisiały na północnej ścianie. Sally i Teenie zaraz po urodzeniu, potem w podstawówce, przebrane na Halloween, tańczące na przedstawieniu szkolnym, podczas wręczania świadectw, rozpoczynające gimnazjum, przed balami szkolnymi i w przypadku Sally fotografie ślubne. Pokój ten pokazywał przekrojową historię życia dwóch dziewcząt. Dziewcząt, które zostały zamordowane. Ostatnie w kolejności zdjęcie – z pogrzebu Sally – przedstawiało stojącą na katafalku przed kościołem trumnę przykrytą całunem goździków. Obok niego widniało puste miejsce, gdzie pewnie zawiśnie fotografia trumny Teenie. Z trudem przełknęłam ślinę.

–Jestem trzeźwa od trzydziestu dwóch miesięcy – pochwaliła się Helen, wskazując dwa fotele stojące naprzeciw sofy, na której przycupnęła.

–Gratuluję, to wspaniale – odparłam. – Jeżeli byliście tu dłużej niż dziesięć minut, na pewno słyszeliście o mnie złe rzeczy. Wiele lat piłam i cudzołożyłam. Ale teraz,

dzięki łasce Pana i własnej ciężkiej pracy, trwam w trzeźwości. Tolliver skinął głową.

–Obie moje dziewczynki nie żyją – ciągnęła Helen głosem równym i szorstkim, choć napięte mięśnie szczęk ujawniały, jak bardzo cierpi. – Od lat nie mam męża. Nie pomaga mi nikt, prócz mnie samej i tylko mnie. Chciałabym wiedzieć kim pani jest, kto panią tu sprowadził i jak pani odnalazła w lesie moją córeczkę. Nie wiedziałam o niczym aż do wczoraj, kiedy zadzwonił do mnie Hollis.

Nie dało się powiedzieć tego wszystkiego bardziej bezpośrednio. Wymieniliśmy z Tolliverem pytające spojrzenia. Ta kobieta przypominała naszą matkę – a raczej moją, bo Tolliver był jej pasierbem – tyle że moja ukończyła szkołę prawniczą i nigdy nie zerwała z nałogiem. Tolliver wzruszył ramionami tak lekko, że tylko ja mogłam to zauważyć. Odpowiedziałam niemal niedostrzegalnym kiwnięciem.

–Odnajduję zwłoki, pani Hopkins. Kiedy byłam nastolatką, poraził mnie piorun i wtedy wszystko się zaczęło. Okazało się, że gdy jestem dostatecznie blisko, wiem, gdzie leży ktoś martwy. I wiem też, co go zabiło, ale nie kto, jeśli osoba ta jest ofiarą morderstwa. – Chciałam, żeby dobrze wszystko zrozumiała. – Wiem tylko w jaki sposób umarła.

–Wynajęła panią Sybil Teague? – Tak.

–Jak się o pani dowiedziała?

–Chyba za pośrednictwem Terry’ego Vale’a.

–Nigdy się pani nie myli?

–Nigdy.

–Myśli pani, że Bogu podoba się to, co pani robi?

–Nie wiem, ciągle się nad tym zastanawiam.

–A więc Sybil ściągnęła tu panią, aby odnaleźć Monteen. Mówiła dlaczego?

–Szeryf wspomniał, że ludzie obwiniają jej syna za śmierć Teenie. Chciała odnaleźć pani córkę i udowodnić, że to nieprawda.

–I odnalazła pani Teenie.

–Tak, szeryf Branscom potwierdził to dzisiaj rano. Bardzo mi przykro z powodu pani córki.

–Wiedziałam, że ona nie żyje – rzekła Helen, a w jej oczach nie zaszklila się ani jedna łza. – Od zniknięcia wiedziałam, że odeszła na zawsze.

–Jak? – Idąc za jej przykładem, zapytałam wprost.

–Inaczej wróciłyby do domu.

Według Hollisa Teenie nie kontrolowała się, podobnie jak kiedyś jej matka. Doszłam do wniosku, że Helen Hopkins chyba nie wie, co mówi. Jej kolejne słowa odzwierciedliły moje wątpliwości tak dokładnie, że w głowie mignęła mi myśl, czy ta kobieta nie jest przypadkiem jasnowidzem.

–Była postrzelona – powiedziała Helen. – Zachowywała się tak, bo uchodziło jej to na sucho, kiedy piłam. Ale kiedy przestałam, ona też się zmieniła.

Uśmiechnęła się oszczędnie; zrewanżowałam się tym samym. Ta wysuszona łupina kobiety, jeszcze niedawno musiała posiadać swego rodzaju zuchwały urok. Można było domyślać się tego z rysów jej twarzy oraz postawy.

–Nawet lubiłam Della. – Teraz Helen mówiła ostrożnie, ważąc każde słowo. –

Nigdy nie uważałam, że to on zabił moją córkę. Lubiłam go, Sybil też nie mam nic do zarzucenia. Ale dzieciaki chciały się pobrać, a ja nie chciałam, żeby Teenie wychodziła za męża tak wcześnie jak Sally. Nie, małżeństwo Sally nie było nieszczęśliwe. Hollis to porządny człowiek i nie mam pretensji o to, że się mną nie zajmuje. Ma wiele powodów. Ale Teenie... Nie musiała wiązać się z Dellem tak ostatecznie, nie tak wcześnie. Chciałam, żeby dorosła i wtedy zdecydowała. To miło, że Sybil zapłaciła za poszukiwanie mojej dziewczynki, chociaż...

–Czy Hollis mówił pani, że byliśmy na cmentarzu? – Chciałam wydobyć jakiś sens z tej powodzi wspomnień.

–Tak. Przyszedł tu wczoraj. Rozmawialiśmy po raz pierwszy od tak dawna. Podobno powiedziała pani, że Sally została zamordowana, że to nie był wypadek.

Zauważyłam, że Tolliver zeszywniał. Rzucił mi ostre spojrzenie. Nie był zachwycony, jak z kimś wychodziłam, nie podobało mu się, jak pracowałam za darmo, i nie lubił, jak mu o tym nie mówiłam.

–Jak pani to robi? – zapytała. – Skąd pani wie? Jak mogę pani wierzyć? Dobre pytania – pytania, które słyszałam już tyle razy.

–Nie musi pani wierzyć w ani jedno moje słowo – odparłam. – Widzę to, co widzę.

–Myśli pani, że to dar od Boga? Czy od diabła? Nie miałam zamiaru zdradzać tej kobiecie, co naprawdę o tym sędzę.

–Może pani myśleć, co chce.

–Wierzę, że widziała pani, jak obie moje córki ktoś morduje – oświadczyła Helen Hopkins. Jej wielkie niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe i bardziej okrągłe. – Wierzę, że Bóg panią przysłał, aby dowiedziała się pani, kto im to zrobił.

–Nie – zaprotestowałam natychmiast. – Nie jestem wykrywaczem kłamstw. Potrafię tylko odnajdywać zwłoki. Mogę określić przyczynę ich śmierci. Ale nie umiem powiedzieć, dlaczego zostały zamordowane, ani kto był sprawcą zabójstwa. – Jak zginęły?

–Nie chce pani wiedzieć – odezwał się Tolliver.

–Proszę milczeć, młody człowieku. Mam prawo to usłyszeć.

Była drobna, ale nieustępliwa. Jak komar, pomyślałam.

–Sally została utopiona w wannie. Ktoś złapał ją za kostki i wciągnął pod wodę. Teenie postrzelono w plecy.

Obserwowaliśmy jak opanowanie i siła uchodzą z Helen.

–Moje dziewczynki – szepnęła. – Moje biedne córeczki. – Patrzyła na nas niewidzącym wzrokiem.

–Dziękuję, że państwo do mnie przyszli – rzekła sztywno. – Bardzo wam dziękuję. Winna wam jestem wdzięczność. Przekażę ojcom dziewczynek, co pani mi powiedziała.

Wstaliśmy. Helen nie odezwała się, gdy opuszczaliśmy jej dom.

–Teraz naprawdę jedziemy – stwierdził Tolliver po wyjściu od Helen Hopkins. Po drodze zatrzymaliśmy się, aby zrealizować czek od Sybil Teague, po czym ruszyliśmy napółudnie.

Do motelu w Ashdown dotarliśmy po kilku godzinach jazdy w milczeniu. Po kolacji Tolliver rozsiadł się w fotelu, ja zaś przycupnęłam na łóżku.

–Opowiedz o tym wypadzie z policjantem – zaczął łagodnie, ale wiedziałam, że to zwodnicza łagodność. Cały dzień czekałam, aż ta bańka wreszcie pęknie.

–Wpadł, jak wyszedłeś flirtować z tą kelnereczką – powiedziałam. – Zaproponował mi przejażdżkę. – Tolliver prychnął, ale nie zareagowałam. – Cały czas mówił i mówił, zaprosił mnie na koktajl, a potem okazało się, że od początku chciał mnie zabrać na cmentarz, żebym powiedziała, jak zginęła jego żona.

Nie odważyłam się spojrzeć Tolliverowi prosto w twarz, ale zaryzykowałam ukradkowe zerknięcie. Ku mojej uldze, nie był zły. Nie znosił, gdy ludzie mnie wykorzystywali, a tym bardziej, jeśli robił to mężczyzna. Ale nie chciał, żeby było mi przykro.

–A nie sądzisz, że odwiedził cię, bo mu się spodobałaś?

Spuściłam głowę i poczułam, jak dłoń Tollivera gładzi mnie po włosach.

–Nie – zaprzeczyłam. – Sądzę, że zrobił to tylko po to, żebym pojechała z nim na grób żony. Tolliver, powiedziałam, że musi zapłacić. Zabrał mnie do banku i wziął gotówkę. – Pominęłam fakt, że nie zażądałam pełnej kwoty. – Ale zostawiłam pieniądze w jego aucie, bo strasznie się czułam przez to wszystko.

Zła, smutna, winna i zraniona.

–Dobrze zrobiłaś – odezwał się Tolliver po chwili. – Ale następnym razem powiedz, że wychodzisz, dobrze?

–A co, chcesz mnie kontrolować? – spytałam trochę zirytowana. – A co ja miałabym robić, kiedy ty wychodzisz? Zobowiązać dziewczynę, żeby odstawiła cię przed dziesiątą? Zrobić jej zdjęcie, żebym mogła ją znaleźć, jak się będziesz spóźniał?

Wiedziałam, że Tolliver liczy do dziesięciu. Zorientowałam się po nieznaczących ruchach głowy.

–Nie – powiedział. – Po prostu się o ciebie martwię. Wiem, że jesteś silną kobietą, ale nawet silne kobiety są słabsze od mężczyzn. – Ta prosta prawda o prawach natury spowodowała, że zachnęłam się na Boga. – Pojechaliście na cmentarz, dobrze, ale przecież mógł cię wywieźć gdziekolwiek. A ja musiałabym szukać cię tak, jak teraz szukamy innych.

–Jeśli ktokolwiek na tym świecie żyje w ciągłej świadomości, że w każdej chwili może zostać zamordowany, to tą osobą jestem ja, Tolliverze Lang – Dziobnęłam się palcem w pierś. – O dziwo, miliony kobiet codziennie wychodzą z mężczyznami, którzy nie mają wobec nich żadnych zbrodniczych zamiarów. I co ciekawe, prawie wszystkie wracają do domu całe i zdrowe!

–Nie obchodzą mnie miliony kobiet. Boję się o ciebie. Jak w ogóle możesz zaufać komukolwiek po tym, co widzimy niemal codziennie...

–Ale jakoś nie przeszkadza ci to sprowadzać do pokoju niemal obce kobiety?! Podniósł ręce do góry w geście poddania.

–Dobra, dobra, zapomnij! Zapomnij, że w ogóle zacząłem ten temat! Jeśli chcę wiedzieć, gdzie jesteś, to dla twojego własnego bezpieczeństwa! – Wstał raptownie i

wyszedł na zewnątrz, bo w tym tanim hoteliku nie było połączonych pokoi.

Zza ściany dobiegły mnie odgłosy telewizora. O co się pokłóciliśmy? Czy Tolliver naprawdę chciał, żebym gniła w pokoju, podczas gdy on się zabawia? Czy naprawdę chciał, żebym w imię bezpieczeństwa odrzucała wszelkie zaproszenia?

Nie miałam raczej wątpliwości, że odpowiedziałaby na te pytania twierdząco.

W nocy usłyszałam, jak w jego pokoju dzwoni telefon. W motelu były naprawdę cienkie ściany. Po chwili dzwonek umilkł. Zaczęłam rozważać, kto mógłby wiedzieć, gdzie jesteśmy i w trakcie tych rozmyślań usnęłam. Rano poszłam pobiegać. Ruch na zimnym górskim powietrzu wspaniale na mnie podziałał. A po gorącym prysznicu poczułam się jeszcze lepiej. Ubierałam się, gdy Tolliver zapukał. Wpuściłam go, zapinając bluzkę. Tym razem mój strój był bardziej oficjalny, bo mieliśmy dzisiaj pierwsze spotkanie z nowym klientem. Zlecenie dotyczyło ciała pogrzebanego na cmentarzu, więc nie musiałam wracać później do motelu, aby się przebrać. Czysta robota, szybka zapłata.

–W nocy miałem telefon – oznajmił.

–No, słyszałam. Kto dzwonił?

–Policja z Sarne.

–A konkretnie?

–Szeryf, Harvey Branscom. Zastygłam ze szczotką w ręku.

–Musimy wracać.

–O nie, najpierw skończymy tutaj. Ale czemu? Co się stało?

–W nocy ktoś włamał się do domu Helen Hopkins i pobił ją na śmierć.

Wpatrywałam się przez chwilę w Tollivera. Tak przywykłam do śmierci, że nie potrafiłam zareagować normalnie na takie wieści.

–Cóż – odzyskałam wreszcie mowę. – Mam nadzieję, że śmierć nadeszła szybko.

–Powiedziałem, że przyjedziemy zaraz, jak wykonamy zlecenie tutaj.

–Możemy iść. – Wsadziłam bluzkę do szarych spodni i włożyłam pasujący do nich żakiet.

–Ej, ta marynarka ma taki kolor jak twoje oczy – zauważył Tolliver.

–O to mi chodziło – odrzekłam oschle. Tolliver zawsze komplementował mnie takim tonem, jakby uważał, że jeśli wyglądam ładnie, to tylko przez przypadek. Do szarego garnituru dobrałam jasnozieloną bluzkę we wzór przypominający bambusowe zarośla. Zapięłam na szyi złoty łańcuszek, który dostałam od Tollivera w zeszłym roku na gwiazdkę, i wsunęłam stopy w czarne czółenka. Nastroszyłam trochę włosy, sprawdziłam makijaż i oświadczyłam, że jestem gotowa. Tolliver miał na sobie bawełniany ciemnoczerwony pulower z długim rękawem. Musiałam przyznać, że dobrze się w nim prezentuje.

Z klientką i jej prawnikiem spotkaliśmy się od razu na cmentarzu – jednym z tych nowoczesnych, z poziomymi, płaskimi nagrobkami. Są tańsze i łatwiejsze do koszenia. Nie mają oczywiście tej specyficznej atmosfery, ale dzięki takiej „stadionowej” konwencji łatwiej się po nich poruszać.

Prawnik, kobieta po pięćdziesiątce, jasno dała do zrozumienia, że jej zdaniem zajmujemy się naciąganiem zrozpaczonych, pogrążonych w żałobie ludzi.

Wyczytałam dużo sygnałów ostrzegawczych, nie tylko z zachowania prawniczka, ale także zdenerwowanej klientki. Jak zwykle, gdy atmosfera jest taka gęsta, wręczyłam czek Tolliverowi, żeby pojechał do banku, kiedy ja będę

realizowała zadanie. Wszystko wskazywało, że transakcja nie będzie przyjemna.

Klientka – masywna, nerwowa kobieta po czterdziestce – uważała, że ze śmiercią męża wiążą się bardziej dramatyczne okoliczności niż sam upadek radia do wanny.

(Wanny były przebojem tego miesiąca. Czasami taka seria podobnych przyczyn zgonu nawet mnie wytrąca z równowagi. W zeszłym roku były to przypadkowe utonięcia – aż pięć po kolei. Przez kilka miesięcy bałam się później pływać.) Geneva Roller miała własną teorię spiskową na temat tego, jak radio znalazło się w wodzie. Teoria ta dotyczyła pierwszej żony pana Rollera oraz jego najlepszego przyjaciela.

Uwielbiam zlecenia, gdy znana jest lokalizacja ciała, jednak droga do mogiły nie była przyjemna. Geneva Roller szła bardzo szybko, a mnie przy każdym kroku obcasy zapadały się w miękką ziemię. Prawniczka, Patsy Bolton, podążała zaraz za mną, jakby podejrzewała, że zechcę zwiać, jeśli nie odetnie mi drogi ucieczki.

Zatrzymaliśmy się przy płycie z napisem Farley Roller. Postanowiłam dowieść Genevie, że nie na darmo mi płaci. Przykucnęłam na mogile, kładąc rękę od strony głowy zmarłego. Farley, pomyślałam, co tam się, u diabła, stało? A potem zobaczyłam to, jak zwykle.

–Leży w wannie – powiedziałam, żeby Geneva wiedziała, co się dzieje. – Ma... umm... Jest obrzezany.

Nic szczególnego, ale wystarczyło, by przekonać klientkę. Geneva Roller jęknęła, łapiąc się za gors, a jej jasnoczerwone usta utworzyły kształt litery O. Prawnica prychnęła niecierpliwie.

–Každy mógł się tego dowiedzieć, Genevo. Pewnie, bo to pierwsza rzecz, o którą pytam facetów.

–Gwiżdże... – Niestety, nie rozpoznawałam melodii. Ujrzałam szafkę łazienkową. – Radio stoi na szafce. Chyba pogwizduje w takt muzyki. – To był jeden z tych nielicznych przypadków, kiedy widziałam więcej niż sam tylko moment śmierci.

–Zawsze tak robił podczas kąpieli – wykrztusiła Geneva. – Naprawdę, Patsy! – Sceptycyzm prawniczka ustępował na rzecz lęku.

–Kot. Na szafce siedzi kot. Rudy, pręgowany.

–Tuptuś – rzekła Geneva tkliwie. Prawniczka zapewne się nie uśmiechała.

–Kot przymierza się do skoku nad wanną, do otwartego okna.

–Okno było otwarte – głos Genevy spoważniał.

–Kot strącił radio do wody – oświadczyłam. Kot wyskoczył na podwórze w chwili, gdy pan Roller dokonał żywota. Wanna była starego typu, w oryginalnym odcieniu awokado.

–Zielona wanna. – Potrząsnęłam głową ze zdumienia. – Macie zieloną wannę?

Patsy wpatrywała się we mnie oczami jak spodki.

–Pani naprawdę potrafi... – zaczęła. – Wierzę pani. Ich wanna ma kolor awokado.

Podniosłam się otrzepując spodnie. Zignorowałam Patsy Bolton, zwracając się do naszej chwilowo wspólnej klientki.

–Bardzo mi przykro, pani Roller. Kot zabił pani męża, przez przypadek – oświadczyłam, sądząc, że przekazuję dobre wieści.

–Nie! – krzyknęła Geneva Roller, wprawiając w zdumienie nawet prawniczkę.

–Genew, to racjonalne wytłumaczenie – zaczęła Patsy, patrząc na klientkę z ogromnym zdziwieniem. Ale pani Roller nie była powściągliwa w wyrażaniu uczuć.

–To jego pierwsza żona, Angela! To na pewno ona! Zakradła się do domu, kiedy wyszłam po zakupy i zamordowała go! Angela to zrobiła. Nie mój słodki Tuptuś!

Bywałam świadkiem różnych reakcji na moją diagnozę, choć zwykle te najbardziej histeryczne wywoływała informacja o samobójstwie. Nie po raz pierwszy więc przekonywałam się, jak bardzo ludzie wierzą we własne teorie. W pewnym momencie już otwierałam usta, chcąc wytknąć Genevie Roller, że po prostu nie może znieść prawdy.

–Żądam zwrotu czeku! Nie zapłacę pani złamanego centa – wysyczała.

Pogratulowałam sobie, że przezornie wysłałam Tollivera do banku.

Ponad ramieniem kobiety dostrzegłam dojeżdżającego do cmentarza chevroleta malibu. Bliskość brata dodała mi odwagi.

–Pani Roller, to kot spowodował wypadek, ale przecież nieświadomie. Pani mąż nie został zamordowany. Nikt tu nie zawinił.

Rzuciła się na mnie, ale w ostatniej chwili prawnik przytrzymała ją za ramiona.

–Genew, nie zapominaj o swojej pozycji – rzekła ostrzegawczo. Na policzkach Pat Bolton wykwitł rumieniec, a jej brązowo-siwe włosy zaczął targać wiatr, który się nagle zerwał. – Nie zachowuj się tak, narobisz sobie wstydu.

Tolliver idealnie wycyrklował moment zatrzymując się przy nas. Udawałam, że nie spieszę się, wsiadając do auta.

–Bardzo współczuję straty, pani Roller – rzuciłam na odchodnym. Opuściliśmy cmentarz błyskawicznie, żegnani wrzaskami Genevy Roller.

–Masz pieniądze? – zapytałam.

–Tak. Momenty były?

–Ta, nie chciała, żeby to był zwykły wypadek. Pewnie liczyła na sprawę dla reportera. „Morderstwo w Ashdown”. – Zmieniłam modulację głosu. – „Wdowa jednakże od samego początku podejrzewała, że ze śmiercią męża wiąże się tajemnica”. A tu nic z tych rzeczy. Wszystko przez głupiego kota. Straszny zawód.

–Znacznie ciekawiej być żoną ofiary morderstwa niż właścicielką kota-zabójcy – podsumował Tolliver, ale jak dla mnie nie było to takie oczywiste.

Rozdział czwarty

Z motelu wymeldowaliśmy się wcześniej, więc do Sarne wyruszyliśmy bezpośrednio z cmentarza. Tolliver podjechał prosto pod biuro szeryfa i już po chwili siedzieliśmy na krzesłach w jego gabinecie. Branscom wszedł niedługo po nas, zdzierając kapelusz i rzucając go na stolik. –Słyszałem, że byliście wczoraj u Helen Hopkins – rzekł bez wstępów, siadając za biurkiem. Pochylił się, naciskając guzik interkomu. – Reba, przyślij do mnie Hollisa – rzucił. Odpowiedziało mu trzeszczenie z głośnika, po którym niemal natychmiast wszedł zastępca, niosąc w rękach kubek

parującej kawy. Czułam jej zapach, ale nie poprosiłam o nic do picia, nawet na niego spojrzałam. Tolliver zeszywniał na jego widok.

–Panie Lang, proszę pójść z zastępcą Boxleitnerem. Chciałbym porozmawiać z panią Connelly.

Zerknęłam na Tollivera, starając się nie okazać niepokoju. Wiedział, że byłabym zła, gdyby zaczął mnie teraz uspokajać. Wolałam zachować swoje lęki dla siebie. Posłał mi więc tylko pokrzepiające spojrzenie i rzeczywiście, nieco się zrelaksowałam. Wstał bez słowa i opuścił pokój z Hollisem.

–Jak nawiązaliście kontakt z Helen? – zapytał szeryf ze srogą miną. Jego niedogolone policzki wyglądały jak przyprószone śniegiem, a brak snu pogłębił mu zmarszczki na czole.

–Zadzwoiła do nas – odparłam zwięźle. Tolliver zawsze radził, żebym rozmawiając z policją, nie dodawała nic z własnej inicjatywy.

–Czego chciała? – indagował z wytrwałą skrupulatnością.

–Żebyśmy do niej przyszli. – Poprawnie odczytałam wyraz twarzy Branscoma. – Chciała wiedzieć kto i po co mnie wynajął.

–Sybil nie powiedziała jej o niczym? – Branscom wydawał się mocno zdziwiony, mimo że przecież był jej bratem.

–Najwyraźniej nie.

–Była zła?

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

–Nie, raczej nie, z tego co mówiła – odrzekłam wreszcie.

–O czym jeszcze rozmawialiście? Zaczęłam ważyć słowa.

–Wspominała o nałogu i że jest trzeźwa od trzydziestu dwóch miesięcy.

Opowiadała o córkach. Była z nich dumna.

–A o ich śmierci?

–Pewnie. Chciała wiedzieć, skąd mam pewność, co do przyczyn ich zgonu. I mówiła, że przekaże to ich ojcom.

Gdy zaczynałam wypowiedź, Branscom unosił kubek do ust, teraz odstawił go na blat, w pół ruchu.

–Co proszę?

–Mówiła, że przekaże ojcom dziewczynek, to co jej powiedziałam.

–Ojcom dziewczynek. Obu. Liczba mnoga. Przytaknęłam.

–Nigdy nie chciała zdradzić, kto jest ojcem Teenie. Zawsze myślałem, że po prostu nie wie. A ojciec Sally, Jay, wyjechał całe lata temu, kiedy dostał sądowy zakaz zbliżania się do nich. Wymieniła jakieś nazwiska?

–Nie – odparłam zgodnie z prawdą.

–Mówiła coś jeszcze, poza tym? Proszę niczego nie pomijać.

–Pytała, czy uważam, że mój dar pochodzi od Boga czy diabła. Chciała się upewnić, czy wiem, co mówię.

–Co pani odpowiedziała? – Wydawał się szczerze zainteresowany.

–Tak naprawdę nic. Sama udzieliła sobie odpowiedzi, takiej, jakiej sobie życzyła. – Może wymówiłam to odrobinę oschle.

–O której opuściliście jej dom? Musiałam się oczywiście zastanowić.

–Okolo wpół do dziesiątej. Po drodze zatrzymaliśmy się w banku. W Ashdown zameldowaliśmy się o czternastej, może czternastej trzydzieści.

Zanotował sobie wszystko, a ja podałam mu rachunek, który miałam w portfelu. Skopiował go sobie i zapisał coś jeszcze.

–O której zginęła Helen Hopkins? – spytałam. Podniósł głowę znad notatnika.

–Gdzieś przed południem. Hollis wstąpił do niej w przerwie na lunch porozmawiać o pogrzebie Teenie. Dzień wcześniej odwiedził ją, żeby powiedzieć o Sally. Widział się z nią wtedy po raz pierwszy od długiego czasu. A przy okazji, nie wierzę w to o Sally. Według mnie próbuje tu pani zrobić sobie kopalnię złota, ale ostrzegam, Hollis nie jest bogaty.

–Dał mi pieniądze, ale zostawiłam je w jego aucie – wyjaśniłam zdumiona. – Nie mówił panu?

Może Hollis w ogóle nie chciał wspominać przełożonemu, że chciałam zapłaty, choć nie bardzo wiedziałam, dlaczego. Szeryf Branscom nie miał o mnie dobrego zdania, więc nie powinno go raczej dziwić, że zażądałam pieniędzy (za zrobienie czegoś, z czego żyję!). Potwierdziłoby to tylko jego niepocholebny opinię co do mnie.

Tak, wymagałam zapłaty za usługi nawet od ludzi biednych. Jak każdy.

–Nie – przyznał szeryf, odchylając się w swoim trzeszczącym krześle. Potarł ręką szczeciniastą żuchwę. – Nie mówił. Może wstydził się, że w ogóle był gotów zapłacić komuś takiemu jak pani.

Są tacy, co nie dają za wygraną. Szeryf Branscom nigdy nie przyłączy się do mojego fan klubu. Dobrze, że znałam ten typ ludzi, bo inaczej mogłabym stracić czujność i pozwolić im się zranić.

–Gdzie jest Tolliver? – Byłam u kresu wytrzymałości.

–Przyjdzie tutaj. Pewnie Hollis nie skończył jeszcze go przesłuchiwać.

Zaczęłam się niespokojnie wiercić.

–Chcę iść do motelu, muszę się położyć. Tolliver musi mnie zawieźć.

–Ma pani kluczyki – zauważył szeryf. – Hollis odwiezie go, jak skończy.

–Nie – zaprotestowałam. – Brat musi mnie zawieźć.

–Nie podnoś na mnie głosu, młoda damo. Będzie tu za minutę – zapewnił mnie, ale na jego okrągłej twarzy pojawił się cień niepokoju.

–Nie – upierałam się. – Teraz. Musi mnie zabrać natychmiast.

Otworzyłam oczy najszerszej jak mogłam, tak, by wokół tęczówek widać było białka i zaczęłam nerwowo wyłamywać palce.

–Sprawdzę. – Branscom zerwał się w pośpiechu z biurka.

Gdzie indziej pewnie wsadziliby mnie za kratki albo wezwali pogotowie, ale trafnie rozszyfrowałam tego mężczyznę. Po niespełna pięciu minutach, Tolliver zbliżał się do mnie szybkim krokiem. Na użytek Hollisa przyklęknął, ujmując mnie za rękę.

–Już jestem, słonko – uspokajał mnie z przejęciem. – Nie bój się, jestem przy tobie.

Wycisnęłam z siebie kilka łez, pozwalając im spłynąć po policzkach.

–Muszę do motelu – poskarżyłam się. – Zabierz mnie stąd. – Zarzuciłam mu rękę

na szyję. Lubiłam obejmować Tollivera, był taki swojsko kanciasty, silny i ciepły. Lubiłam słyszeć jego oddech i bicie serca.

Podźwignął mnie z krzesła i, podtrzymując ramieniem, wyprowadził na korytarz. Kilkoro osób w holu patrzyło za nami z zaciekawieniem.

–Dzięki – rzekł Tolliver, gdy siedzieliśmy już bezpiecznie w samochodzie.

–Bardzo cię męczył? – spytałam, odejmując dłonie od twarzy i prostując się na fotelu pasażera. – Szeryf uważa, że zmyślam, ale rachunek z motelu to rozstrzygający dowód.

–Hollis Boxleitner z pewnością coś do ciebie ma – oświadczył Tolliver. – Nie może tylko zdecydować, czy ma ochotę iść z tobą do łóżka, czy cię sprać. W efekcie kipi złością jak wulkan lawą.

–To przez to, że ktoś zamordował mu żonę. – Tak. Wierzy ci, i to też doprowadza go do szału.

–Zeżre go ta złość.

–Pewnie tak – zgodził się Tolliver.

–Mówił ci coś na temat zabójstwa Helen Hopkins?

–Tylko tyle, że ją znalazł, i że została pobita na śmierć.

–Czymś co tam było? Jakimś przedmiotem z domu?

–Lichtarzem.

Przed oczami stanął mi obraz stolika z Biblią i dwoma szklanymi świecznikami.

–Morderca ją przytrzymał?

–Chyba nie. Prawdopodobnie siedziała na kanapie, gdy otrzymała pierwszy cios.

–W takim razie stał przed nią. Tolliver zastanawiał się przez chwilę.

–Na to wygląda, ale Hollis nie podał szczegółów.

–Podejrzenie o morderstwo nie pomoże nam w interesach.

–Prawda, musimy się stąd jak najszybciej wydostać. – Tolliver zaparkował przed motelem i poszedł do recepcji.

Naprawdę chciałam się położyć. Ucieszyłam się, gdy Tolliver wszedł przez łączące nasze pokoje drzwi i włączył telewizor. Siadłam, podpierając się poduszkami, a on usadowił się w fotelu i zaczęliśmy oglądać kanał z teleturniejami. Pobił mnie w Vabank, a ja jego w Kole Fortuny. Oczywiście wolałabym wygrać z nim przy Vabanku, ale Tolliver zawsze lepiej niż ja zapamiętywał fakty.

Nasi rodzice byli inteligentnymi ludźmi – dawno, dawno temu, zanim zmienili się w uzależnionych od narkotyków i alkoholu prawników, którym odebrano uprawnienia. I zanim stwierdzili, że styl życia ich klientów jest barwniejszy i bardziej fascynujący niż ich własny. Moja matka i ojciec Tollivera odnaleźli się gdzieś w połowie tej równi pochyłej i porzucili pierwszych małżonków. Ja i moja siostra Cameron, wychowane na przedmieściach Memphis, w domu o czterech sypialniach, skończyłyśmy w czynszówce o dziurawej podłodze łazienkowej, w Texarkanie* [*Texarkana to miasto leżące częściowo w Teksasie, częściowo w Arkansas, (przyp. tłum.)], w Arkansas. Nie stało się to nagle – przeszłyśmy po kolei wszystkie etapy degradacji. Tolliver miał krótszą drogę, ale także on i jego brat przeżyli stopniowe staczanie się na dno wraz z ojcem. Właśnie w Texarkanie poraził mnie piorun.

Nasze połówki rodziców zafundowały sobie wspólne potomstwo – dwie córeczki, Mariellę i Gracie. Staraliśmy się opiekować młodszymi siostrzyczkami najlepiej, jak potrafiliśmy. W przeciwieństwie do nas, dziewczynki nie zaznały nigdy lepszego życia.

Co działo się z pozostałą dwójką naszych rodziców – matką Tollivera i moim ojcem? Dlaczego nie uchronili nas przed tym strasznym zwrotem w życiu? Cóż, nieco wcześniej mój prawdziwy ojciec poszedł do więzienia za serię przestępstw „biało-kołnierzykowych” [*Przestępstwa finansowe, kradzieże i oszustwa, bez użycia przemocy (przyp. red.)], zaś matka Tollivera zmarła na raka. Tym sposobem, spuszczone z małżeńskich smyczy, spółka Connelly-Lang senior stoczyła się do rynsztoka, pociągając za sobą własne dzieci i pasierbów.

Tak więc siedzieliśmy teraz z Tolliverem w tanim motelu w turystycznej dziurze ozarskiej, poza sezonem, z nadzieją, że unikniemy oskarżenia o morderstwo.

Ale fartem, mieliśmy nieco oleju w głowie.

Graliśmy w scrabble, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

–Kto tam? – zapytałam, bo to ja byłam gospodarzem w tym pokoju.

–Hollis. Otworzyłam.

–Mogę? – zapytał, widząc siedzącego Tollivera. Wzruszyłam ramionami, odsuwając się, by go wpuścić. Hollis wszedł tylko tyle, żebym mogła zamknąć za nim drzwi.

–Rozumiem, że przyszedł pan z przeprosinami? – Włożyłam w ton tyle chłodu, ile tylko byłam w stanie. Wyszło mi nieźle. Był lodowaty.

–Przeprosinami?! A niby za co? – zdumiał się szczerze.

–Powiedział pan szeryfowi, że wzięłam pieniądze. Insynuował pan, że go oszukałam.

–Wzięła pani pieniądze.

–Zostawiłam je na fotelu w pana samochodzie. Zrobiło mi się pana żal. – Byłam tak wściekła, że prawie plułam; lodowata furia, zamieniła się w białą gorączkę.

–Nie było ich na siedzeniu.

–Owszem, były. Sięgnął po kluczyki.

–Proszę mi pokazać.

–Niech sobie pan sam szuka, inaczej oskarży mnie pan, że je podrzuciłam.

Wyszliśmy za Hollisem na zewnątrz. Niebo zasnuwały ołowiane chmury, a korony drzew szumiały na wietrze. Marzłam bez kurtki, ale nie zamierzałam odpuścić, wracając do pokoju. Tolliver objął mnie ramieniem. Hollis otworzył drzwiczki od strony pasażera i zaczął szperać w szczelinie pomiędzy siedziskiem a oparciem. Po chwili wyłowił stamtąd grubą kopertę.

Patrzył na nią, na przemian blednąc i czerwieniejąc. Po chwili wziął się w garść i spojrzął mi w oczy.

–Powiedziała pani Harveyowi prawdę – powiedział cicho. – Bardzo przepraszam.

–No, to mam nadzieję, że wyjaśniliśmy sobie tę sprawę?

Skinął głową.

–W porządku – rzuciłam. Obróciłam się na pięcie i pomaszerowałam do pokoju.

Tolliver został jeszcze chwilę, po czym wrócił za mną.

Dokończyliśmy partię scrabbli. Wygrałam.

Na kolację pojechaliśmy do sąsiedniego miasteczka. Tolliver wyraźnie nie miał ochoty na wizytę w barze motelowym, ale nie skomentowałam tego. W knajpce, niemal bliźniaczej kopii „Kountry Good Eats” zjedliśmy kotlety panierowane z tłuczonymi ziemniakami i fasolką. Bardzo nam smakowało. Panowała tu swojska atmosfera – laminowane blaty, spękane linoleum, dwie zmęczone kelnerki i gospodarz za barem. Mrożona herbata też była dobra.

–Wiesz, że ktoś nas śledził? – odezwał się Tolliver, gdy kelnerka, zebrawszy naczynia, oddaliła się w stronę kuchni. Wyjął portfel, by zapłacić. –

Dziewczyna. W hondzie.

–Tak, pewnie inny zastępca szeryfa. Wygląda strasznie młodo. A może zatrudnili ją tylko do tego?

–Pewnie marznie w tej swojej hondzie.

–Cóż, taka praca.

Po uregulowaniu rachunku, opuściliśmy bar. Deszcz, na który zbierało się od dawna, zaczął w końcu padać. Pobiegliśmy do samochodu. Tolliver odblokował zamki jeszcze pod daszkiem, więc wskoczyłam do środka najszybciej jak mogłam. Nie cierpię moknąć. Nienawidzę burz. Nawet podczas samej tylko ulewy nie sięgnę po telefon.

Tym razem przynajmniej nie grzmiało.

–Nie rozumiem – powiedział kiedyś Tolliver, zirytowany, że nie mógł się do mnie dodzwonić. – Dlaczego? Przecież najgorsze, co mogło się stać, już się stało. Poraził cię piorun. Jakie są szanse, że zdarzy się to ponownie?

–A jakie były szanse, że w ogóle coś takiego mnie spotka? – odcięłam się, chociaż powody mojego zachowania nie pokrywały się prawdopodobnie z tym, co przypuszczał.

Jechaliśmy powoli, podczas gdy czerwona honda cały czas siedziała nam na ogonie. Drogi w Sarne były wąskie, po obu stronach znajdowały się strome spadki, a zawsze istniała szansa, że na jezdnię wyskoczy jeleni.

Po dotarciu do motelu, stoczyliśmy dyskusję, czy pozwolić dziewczynie poznać numery naszych pokoi (które oczywiście i tak знаła, jeśli była policjantką), czy też krążyć w kółko, aż się jej znudzi. Zgadaliśmy się co do tego, że wizyta na posterunku to nieco śmieszny pomysł. W końcu nie groziła nam, ani nie zrobiła nic złego, poza jeżdżeniem za nami.

Zadecydował za nas mój pęcherz. Zaparkowaliśmy i popędziłam do pokoju.

–Zastanawia się, czy podejść i zapukać – oznajmił Tolliver, gdy wyszłam z łazienki. Nie włączył światła i obserwował parking zza zasłony.

Dołączyłam do niego i razem patrzyliśmy na scenę za oknem. Latarnie oświetlały samochód dziewczyny na tyle dobrze, że mogłam dostrzec jej twarz. Mogłabym w każdej chwili rozpoznać ją w policyjnym szeregu, choć nie widziałam wyraźnie jej rysów. Miała krótkie brązowe włosy – dłuższą wersję fryzury na chłopaka, która pasowała do jej filigranowej figury. Mogła mieć siedemnaście lat, może mniej. Jej

makijażem można by spokojnie obdzielić trzy kobiety. Na drobnej buzi, o pełnej dolnej wardze, malował się wyraz charakterystyczny dla nastolatek z domów, gdzie nie dzieje się zbyt dobrze – nieco arogancki, nieco bezbronny, i zdecydowanie czujny.

Taką właśnie minę miewała Cameron, nazbyt często.

–O ile jesteś się gotowa założyć? Moim zdaniem odjedzie. Za bardzo się nas boi. – Tolliver ścisnął lekko moje ramię.

–Nie, stawiam, że przyjdzie – oświadczyłam z przekonaniem. – To byłyby zbyt łatwe pieniądze. Widzisz? Zebrała się na odwagę.

Deszcz zaczął padać mocniej, gdy dziewczyna zdecydowała się działać. Wskoczyła z auta i podbiegła do drzwi. Zastukała dwa razy.

Jakby w odpowiedzi na jej pukanie Tolliver włączył lampkę nocną. Otworzyłam drzwi.

–Ty jesteś tą kobietą, która znajduje trupy? – spytała, patrząc na mnie wilkiem.

–Wiesz, że tak, inaczej byś nas nie śledziła. Nazywam się Harper Connelly. Wejdz – zaprosiłam ją gestem. Wsunęła się do środka, nie spuszczając ze mnie podejrzliwego wzroku. Rozejrzała się ostrożnie. Tolliver siedział w fotelu, starając się wyglądać niegroźnie. – To mój brat, Tolliver Lang – przedstawiłam go. – Towarzyszy mi w drodze. Chcesz dietetyczną colę?

–Jasne – powiedziała, jakby odrzucenie takiej propozycji uważała za rzecz nie do pomyślenia. Tolliver podał jej wyjętą z przenośnej lodówki puszkę. Wzięła ją, wyciągając ramię najdalej jak się dało, żeby nie zbliżać się do niego za bardzo. Wskazałam jej drugi fotel, a sama siadłam na łóżku.

–Jak możemy ci pomóc? – zagałam.

–Powiedz, co się stało z moim bratem. Nie mówię przez to, że to, co robisz, jest moim zdaniem w porządku albo znajduje nawet jakiegokolwiek moralne usprawiedliwienie. – Spojrzała na mnie wrogo. – Ale chcę znać twoją opinię.

Pomyślałam, że musiała mieć dobrego nauczyciela od wiedzy o społeczeństwie.

–Dobrze – powiedziała powoli. – Ale może najpierw powiesz mi, kim jest twój brat?

Zaczerwieniła się mocno. Przywykła, że jest grubą rybą w tej małej sadzawce.

–Jestem Nell – wyjaśniła, połykając końcówki słów. – Mary Nell Teague. Dell był moim bratem.

–Chyba nie dzieliła was duża różnica wieku?

–Dziesięć miesięcy.

Popatrzyliśmy po sobie przelotnie z Tolliverem. Dziewczyna, nie dość że nieletnia, była siostrą ofiary. I mogłam się założyć, że nie wyjeżdżała z Sarne na dłużej niż dwutygodniowe wakacje.

–Moralne usprawiedliwienie – powtórzył Tolliver uderzony tym samym sformułowaniem, co i ja. Obracał te słowa na języku, jakby próbował ich smaku.

–Znaczy, uważam, że to złe, ok? Mówienie ludziom, co się stało ich zmarłym krewnym. Bez obrazy, ale przecież możecie to sobie zmyślać, nie?

„Bez obrazy”, a niech cię, smarkulo. Miałam dość ludzi, którzy powtarzali mi, że

jestem złem wcielonym.

–Słuchaj, Nell – zaczęłam, starając się panować nad głosem. – Żyję tak, jak potrafię najlepiej. I twoje posądzenie o oszustwo jest dla mnie obrazą. Nie mogłoby być inaczej.

Może nie przywykła, by jej słowa brano na poważnie.

–Umm, no dobra – wymamrotała, wyraźnie zaskoczona. – Ale powiesz mi? To, co mamie?

–Jesteś nieletnia. Nie chcę żadnych kłopotów – odparłam.

Tolliver sprawiał wrażenie, jakby myślał o tym samym.

–Słuchaj, może jestem dzieckiem, ale to był mój brat! Powinnam wiedzieć, co się stało mojemu bratu! – Przemawiał przez nią autentyczny ból.

Porozumieliśmy się z Tolliverem lekkimi skinieniami.

–Uważam, że nie popełnił samobójstwa – oświadczyłam.

–Wiedziałam! – krzyknęła. – Wiedziałam!

Jak na kogoś, kto uważał mnie za hochsztaplerkę, szybko zaakceptowała moje słowa. Nawet przez moment się nie zawahała.

–Więc skoro się nie zabił – mówiła coraz szybciej – nie zabił też Teenie, a skoro nie zabił Teenie, to nie... – urwała raptownie z wyrazem niemal komicznej paniki na twarzy: wytrzeszczonymi oczami i ustami zaciśniętymi tak mocno, by nie wyrwało jej się decydujące słowo, jakkolwiek miało ono brzmieć.

Walenie do drzwi zaskoczyło nas, wpatrzonych w Nell Teague, jakbyśmy oczami usiłowali wydrzeć z niej końcówkę zdania.

–Cudownie – stwierdziłam zerknąwszy przez wizjer. – To Sybil Teague.

–O, Boże... – jęknął nasz nastoletni gość, zmieniając się nagle w małe przestraszone dziecko.

Zakłęłam siarczyście w duchu, żałując, że Sybil nie pojawiła się pięć minut wcześniej. Przez głowę przemknęła mi myśl, że moglibyśmy wyprowadzić ukradkiem Nell przez pokój Tollivera, ale uznałam, że na pewno zostalibyśmy na tym przyłapani. A w końcu, nie zrobiliśmy przecież nic złego. Otworzyłam drzwi. Sybil wkroczyła do pokoju niczym wymuska bogini gniewu.

–Czy jest tu moje dziecko? – spytała oskarżycielsko, choć nie drgnęliśmy nawet, by zasłonić siedzącą na widoku Nell. Wyglądało to tak, jakby wyreżyserowała ten moment.

–Tutaj siedzi – odparł Tolliver uprzejmie, choć z nutką sarkazmu. Na twarz Sybil wystąpił rumieniec, rujnując kolorystyczny efekt pracowicie dobranych odcieni różu i kości słoniowej.

Sybil zarejestrowała obraz siedzącej w fotelu Nell, niemolestowanej, ściskającej w dłoni puszkę dietetycznej coli i jakby uszło z niej powietrze.

–Gdzie byłaś, młoda damo? – zapytała, z każdym słowem nabierając sił do ponownego ataku. – Miałaś być w domu dwie godziny temu!

Na szczęście dla nas, Nell postanowiła wyznać prawdę.

–Śledziłam ich. Pojechali na kolację do „Flo and Jo” – zaraportowała matce. – Nie spieszyło im się. Potem przyjechałam za nimi tutaj i zapytałam, czy mogę wejść.

–Jechałaś prawie po ciemku? W deszczu? Po śliskiej drodze? – Tym razem Sybil zbladła. – Dobrze, że nie miałam o tym pojęcia.

–Mamo, setki razy jeździłam w deszczu!

–O tak, setki razy. Dopiero od dwóch lat masz prawo jazdy! Niemal żadnego doświadczenia... – Sybil wzięła głęboki oddech, uspokajając się trochę. – No dobrze, Nell, wiem, że chciałaś się dowiedzieć, co stało się z twoim bratem. Bóg wie, jak bardzo pragnęłam tego samego. I myślałam, że ta kobieta udzieli mi odpowiedzi. A teraz mam jeszcze więcej pytań niż na początku.

„Ta kobieta” miała ochotę tupnąć ze złości. „Ta kobieta” nie znosiła, jak rozmawiano o niej tak, jakby jej przy tym nie było.

W progu pojawił się Paul Edwards, z włosami pociemniałymi od deszczu. Położył rękę na ramieniu Sybil. Pomyślałam, że chce ją popchnąć lekko, aby mógł skryć się przez deszczem. Pomyślałam także, że miło by było, gdyby zamknęli za sobą drzwi, bo do pokoju wdzierał się zimny wiatr. Sybil, choć opornie, faktycznie weszła dalej, ale jego dłoń pozostała na miejscu.

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że ich stosunki mogą nie ograniczać się tylko do kontaktów prawnik-klient. Nie posiadam takiego daru obserwacji w stosunku do żywych, jak do martwych.

Na widok Edwardsa Nell skurczyła się w sobie. Z jej oczu i ust zniknęła nagle cała młodzieńcza świeżość. Z ciężkim makijażem i w obcisłym ubraniu przypominała teraz młodocianą prostytutkę, a nie ledwo rozkwitłe dziecko, które eksperymentuje, szukając własnego stylu.

–Witam, panno Connelly, panie Lang – przywitał się Edwards. Przeniósł wzrok na Nell. – Dobrze, że cię znaleźliśmy, młoda damo.

Zastanawiałam się, czy Edwards był skoligacony z Sybil poprzez jej zmarłego męża. Nell miała podobny do jego kształt uszu, choć poza tym, przypominała raczej matkę.

–Tak – rzekła dziewczyna obojętnie, tak jak zachowywała się odkąd weszli. – Dziękuję, że zadał sobie pan tyle trudu, szukając mnie. – Tym razem sarkazm w jej tonie można było kroić piłą łańcuchową.

–Twoja matka ma wystarczająco dużo zmartwień, Nell – pouczył ją z tak subtelną naganą, że sama miałam ochotę go trzasnąć. Nie wątpiłam, że Sybil cierpiała z powodu utraty Della, ale byłam przekonana, że młodsza siostra przeżywała jego śmierć nie mniej intensywnie. Gdyby coś stało się Tolliverowi... Nie byłam w stanie nawet o tym myśleć.

W tym momencie wolałabym robić odczyt całego cmentarza niż stać w tym pokoju.

–Tak, no to żegnamy państwa – rzekłam, czyniąc uprzejmy gest w stronę drzwi. Co prawda wyrzucanie gości klóciło się z uprzejmością, ale to był mój pokój i mogłam się zachowywać według własnego uznania. Wszyscy, poza Tolliverem, który skwitował to lekkim uśmieszkiem, osłupieli. Ja także się uśmiechnęłam, a oni automatycznie odpowiedzieli tym samym, choć nieco niepewnie.

–Tak, oczywiście, pewnie jest pani zmęczona – ocknęła się Sybil. Prawdziwa dama, starała się usprawiedliwić czymś moją bezceremonialność.

Już otwierałam usta, żeby zaprzeczyć, ale Tolliver mnie ubiegł.

–Mieliśmy ciężki dzień – powiedział z uśmiechem. Mary Nell Teague spojrzała na niego z nagłym zainteresowaniem. Uśmiech Tollivera pojawia się tak niespodziewanie, że zawsze jest przyjemnym zaskoczeniem.

W ciągu minuty matka, córka oraz prawnik znaleźli się po drugiej stronie drzwi, czyli dokładnie tam, gdzie chciałam.

–Harper – zaczął Tolliver z wyrzutem.

–Wiem, wiem – powiedziałam bez skruchy. – Jak myślisz, po co ona tak naprawdę tu przysłała?

–Właśnie się zastanawiam. Zaraz, o której „onej” mówisz?

–O matce.

–Tak, ja też. Chciała się dowiedzieć, co Nell nam powiedziała? Czy powstrzymać nas przed udzieleniem córce informacji?

–Może raczej powinniśmy rozważyć, czemu Nell tak bardzo chciała z nami porozmawiać. Sądzisz, że wie coś na temat śmierci brata?

–Zaczynamy się w to za bardzo angażować. Musimy stąd jak najszybciej wyjechać.

–Masz rację. Ale wątpię, żeby szeryf nas puścił. – Opadłam na łóżko, próbując powstrzymać się przed ponownym zerknięciem w wiszące naprzeciw lustro. Byłam blada, nawet trochę mizerna. Wyglądałam jak ktoś, kto rozpaczliwie potrzebuje dużego kubka gorącej czekolady i co najmniej dziesięciu godzin snu.

Ale mogłam coś na to poradzić. Zawsze woziałam ze sobą czekoladę w proszku, a w pokoju był mały czajnik. Upewniwszy się, że Tolliver nie ma ochoty na czekoladę, usadowiłam się na łóżku z parującym kubkiem w dłoniach, oparta o stertę poduszek. Spojrzałam na brata, który rozłożył się wygodnie w fotelu, wyciągając przed siebie nogi.

–Co mamy w planach? – spytałam.

–Memphis. W przyszłym tygodniu. Zaproszenie na zajęcia z okultyzmu.

–Wykład... – Staralam się nie okazać przerażenia. Nie chciałam wracać do Memphis, miasta, w którym spędziłam szczęśliwe chwile mojego życia.

–Czytanie grobów na małym cmentarzu. Znają chyba przyczyny zgonu większości pochowanych tam ludzi. To test. Rozmawiałem z wykładowcą przez telefon. Zapewne chełpi się wszystkim naokoło, jak to cię zdemaskuje.

Protekcjonalny jak diabli. Heh, no to się zdziwi.

–Baran – prychnęłam pogardliwie. – Płacą nam?

–Symbolicznie. Ale powinniśmy przyjąć to zlecenie dla reklamy. To prywatna uczelnia, więc nadziani rodzice. No, a następnego dnia mamy spotkanie w Millington, to niedaleko.

Tolliver był świetnym organizatorem.

–Dzięki, braciszku – rzekłam z głębi serca. Zbył te wyrazy wdzięczności niedbałym machnięciem ręką.

–A cóż innego miałbym robić? Porządkować wózki w Wal-Marcie? Układać towary w jakiejś hurtowni?

„Ożenić się, spłodzić dzieci, a potem żyć długo i szczęśliwie w małym domku na prerii” – miałam powiedzieć, ale zmełam te słowa w zębach.

Są rzeczy, o których boję się mówić głośno.

Rozdział piąty

Nazajutrz poranek był rześki i słoneczny. Nie mieliśmy konkretnych planów, więc zaraz po przebudzeniu poszłam pobiegać. Wracając, dostrzegłam Tollivera, który truchtał po ulicy w przeciwną stronę. Wzięłam prysznic, a kiedy brat wrócił i także się przebrał, pojechaliśmy coś zjeść, tym razem w jeszcze innym barze. Około południa zaczęło mi się nudzić tak bardzo, że namówiłam Tollivera, aby zawiózł mnie na stary cmentarz, na który zwróciłam uwagę w dniu odnalezienia Teenie. Nie pytając nikogo o drogę, prowadziłam Tollivera, kierując się moim „grobowym zmysłem”. Na tym cmentarzu znajdowały się mogiły mające nawet po sto pięćdziesiąt lat, czyli bardzo stare jak na amerykańskie warunki. Ciało tak wielu dawno zmarłych osób były źródłem monotonnego, stonowanego pogłosu, niemal uspokajającego; jak jednostajny, odległy dźwięk wielkich pradawnych bębnow. Choć większość kwater była zadbana, w najstarszej części znajdowało się kilka przewróconych stel o zatartych z upływem czasu napisach. Groby te należały prawdopodobnie do rodzin, które wymarły w całości – nie było już komu zajmować się tymi mogiłami. Wypełniałam czas, chodząc od grobu do grobu, zaglądając nadprzyrodzonym wzrokiem pod ziemię i starając się uzyskać jak najwięcej informacji, których dostarczyć mi mogły kości. Obrazy twarzy były często zamglone, niewyraźne, jakby zmarli sami już zapomnieli, kim byli i jak wyglądali. Od czasu do czasu jednak widziałam ich rysy wyraźnie, słyszałam imiona, udawało mi się wychwycić dłuższe fragmenty przedśmiertnych chwil.

–Poród! – zawołałam do Tollivera, który siedział w otwartym samochodzie, rozwiązując krzyżówki.

–Kolejna – mruknął, ledwie zerknąwszy znad magazynu. Faktycznie, był to już trzeci wypadek śmierci przy porodzie, na jaki tu trafiłam.

–Przerażające.

Wstąpiłam na następną mogiłę. Nie ściągałam butów, bo robiłam to tylko dla zabicia nudy i treningu. Nie chciałam przeziębic się na chłodnym górskim powietrzu, skoro odczytami tymi uprzyjemniałam sobie tylko czas.

–Wiesz, Tolliver, kiedyś ludzie nie umierali tak często na zawały.

–Taa?

–Słyszałam tak w telewizji. Och! Tego przygniotło drzewo, które ścinał.

Tolliver nie raczył unieść głowy.

–Uhm – wymamrotał, więc doszłam do wniosku, że nie słuchał mnie zbyt uważnie. Ruszyłam na prawo.

–Atak astmy – powiedziałam do siebie. – Posocznica po zranieniu nożem.

Szkarlatyna. Ospa wietrzna. Grypa. Zapalenie płuc. – Potrząsnęłam głową. Tak wiele z tych chorób dało się wyleczyć, przynajmniej teraz. Nie mogłam

zrozumieć ludzi tęskniących za dawnymi czasami. Na pewno nie brali pod uwagę, że nie było wtedy antybiotyków.

Kolejny grób wydawał się najstarszy w okolicy. Płyta pękła na pół; ktoś próbował zsunąć części, ale nie mogłam odczytać nazwiska.

–Hej, tym razem postrzał! – krzyknęłam do Tollivera.

–To porucznik Pleasant Early – odezwał się Hollis Boxleitner gdzieś z metr za mną. – Dostał kulkę podczas wojny secesyjnej.

Gdyby w pobliżu znajdował się otwarty grób, pewnie bym do niego wskoczyła. Tolliver poderwał głowę, odkładając krzyżówkę.

–Skąd pan się tu wziął? – zapytał nieprzyjaźnie.

–Wyrywałem chwasty na grobie prababki, tam. – Hollis machnął w stronę północnej części cmentarza. Faktycznie, przy mogile z pochyloną stelą stało wiadro z chwastami oraz kopaczka.

–Mą pan czas na pielenie podczas śledztwa? – rzucił Tolliver ostrzej, niż należało.

–Taka praca pomaga mi się odprężyć. – Szeroka twarz Hollisa pozostała spokojna. – Poza tym przyjechali stanowi.

Poryw wiatru przepędził suche liście po mogiłach. Szeleściły przyjemnie, tocząc się po wyżwirowanej alei głównej. Lubiłam ten odgłos.

–A więc to dla pani coś w rodzaju... rozrywki? – zapytał Hollis zataczając ręką krąg.

–Nie chcę wyjść z wprawy.

Czemu ludzie zawsze uważali, że powinnam być zakłopotana, tym co robię?

–Była pani kiedyś na prawdziwie wiekowym cmentarzu? Takim jak w Anglii na przykład?

Pochyliłam głowę.

–Na niewielu. Są oczywiście miejsca pochówku Indian, a nawet jeszcze wcześniejszych mieszkańców Ameryki. I te są interesujące. Raz byliśmy na bardzo starym cmentarzu, w Massachusetts.

–Czy w takich miejscach jest tak samo? Czy to, że zostali pogrzebani tak dawno robi jakąś różnicę?

Jego pytania sprawiały mi przyjemność. Niewiele osób chce wiedzieć coś więcej o tym, czym się zajmuję.

–Owszem. Im dawniejszy grób, tym słabszy obraz i mniej informacji. Chciałabym kiedyś pojechać do Westminster Abbey. I Stonehenge. Tam na pewno leży wielu starożytnych.

–Czy mogłaby się pani dowiedzieć czegoś więcej w domu Helen Hopkins? – Policjant wrócił do rzeczywistości, ucinając poprzedni temat.

–Nie. Muszę być blisko ciała.

Ale nie chciałam przez to przechodzić, absolutnie. To okropne, obserwować śmierć kogoś, kogo się znało.

–Śledztwo przejęła policja stanowa – oznajmił Hollis, podnosząc wiaderko. – Odbieram tylko telefony. Założyli gorącą linię.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że został wyłączony poza nawias

śledztwa.

–To kijowo – stwierdziłam ze współczuciem. Poznałam wystarczająco wielu policjantów, by wiedzieć, że najlepsi z nich lubili rządzić. Ci najlepsi wierzyli we własne siły i chcieli wykorzystywać swoje umiejętności.

–W pewnym sensie. – Wzruszył ramionami. – Policjantem jestem tylko na pół etatu.

–Helen była twoją teściową.

–Tak – rzekł poważnie. – Czekają na ciebie.

Ze względu na miejsce, w którym się znajdowaliśmy, przez chwilę myślałam, że mówi o wszystkich tych zmarłych ludziach; wiedziałam, że to prawda. Ale zaraz uświadomiłam sobie, że chodzi mu o coś bardziej przyziemnego. Przy samochodzie Tolliver rozmawiał z Paulem Edwardsem oraz nieznaną mężczyzną w cywilu. Dobrze, że nie zdjęłam butów. Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam w ich kierunku.

–Powodzenia – rzucił Hollis, a ja kiwnęłam głową. Wiedziałam, że mnie obserwuje i dostrzeże ten gest.

Pobył na posterunku był fatalnym doświadczeniem. Stanowi policjanci traktowali mnie jak hienę – nomen omen – cmentarną. Odgadłam ich nastawienie już w drodze do miasta, ale mimo tej wiedzy i tak mnie wykończyli. Twarze mężczyzn pojawiały się przed moimi oczami jedna za drugą. Pociągłe, nalane, białe, czarne, inteligentne, tępe. Wszyscy ci ludzie podzielali opinię co do mnie i nie zadawali sobie trudu ukrywania jej. Jeśli chodzi o Tollivera, uważali chyba, że jest opiekunem tej hieny.

Nie lubię być traktowana jak hochsztaplerka, a Tolliver chyba jeszcze bardziej. Odizolowałam się od nich murem obojętności, żeby nie mogli zranić moich uczuć. Tolliver stara się w takich sytuacjach postępować podobnie, ale z gorszym skutkiem. Bardzo się irytuje, gdy ktoś kwestionuje naszą uczciwość.

–Czytaliście wasze akta – zaczął mężczyzna o twarzy charta i zimnych, wąskich oczach. Na jego identyfikatorze widniało nazwisko Green. Pokój, w którym siedzieliśmy był mały, pomalowany na beżowo. Tollivera zaprowadzono do pomieszczenia obok.

Nabrałam powietrza do płuc, wypuściłam je i wbiłam wzrok w ścianę za policjantem.

–Oboje z bratem byliście wielokrotnie przesłuchiwani. – Poczekał chwilę, upewniając się, że zauważyłam wielki cudzysłów przy słowie „brat”.

Ponieważ nie było to pytanie, też się nie odzywałam.

–Nikt nigdy nie wsadził was za kratki – ciągnął.

Kolejny bezdyskusyjny fakt, który skwitowałam milczeniem.

–A powinni.

Opinia. Nie wymagała odpowiedzi. Nie na darmo miałam rodziców prawników.

–Słyszała pani, co mówią o mieszkańcach tych lasów? – brnął dalej. – Że swoje żony poznają na imprezach rodzinnych?

Green najwyraźniej nie był z tych stron. Zsunęłam się trochę na plastikowym krzeselku.

–Wydaje mi się, że z panią i pani bratem jest podobnie – oświadczył z

obrzydliwym uśmiechem.

Kolejny osąd, w dodatku oparty na fałszywych przesłankach.

–Tak naprawdę nie jest pani prawdziwym bratem, nieprawdaż?

–Przybranym. To go zaskoczyło.

–Ale przedstawia go pani jako brata?

–Skrót myślowy. – Wyprostowałam się, zakładając nogę na nogę, tym razem na odwrót, dla odmiany. Poczulałam głód. Moglibyśmy iść z Tolliverem do baru na lunch albo kupić coś w sklepie i odgrzać w małej mikrofalówce, którą woziliśmy ze sobą, żeby podłączać ją w pokojach motelowych. Myśleliśmy u kupnie niewielkiego domku gdzieś pod Dallas. Wtedy kupilibyśmy większą kuchenkę mikrofalową albo nawet może nauczyłabym się gotować. Lubiłam sprzątać – no, nie sam proces, ale uwielbiałam efekty. Może zaprenumerowałabym gazetę, taką dla przyjemności. Na przykład „National Geographic”. W grudniu, po wprowadzeniu się do domu, kupilibyśmy choinkę. Ostatnią miałam dziesięć lat temu.

–...słyszała pani choć słowo z tego, co mówiłem? – Charcia twarz Greena ściągnęła się z gniewu.

–Nie, nie słyszałam. I raczej już pójdę. Wiecie, że nie zamordowałam tej biedaczki. Tolliver też nie. Nie mielibyśmy żadnego powodu, aby zrobić coś takiego. Nie lubi mnie pan, ale nie może mnie pan za to zamknąć.

–Żeruje pani na tragedii ludzkiej.

–To znaczy?

Spojrzał na mnie wilkiem.

–Są w żałobie, pragną spokoju, a pani pojawia się jak sęp czyhający na padlinę.

–Wcale nie – zaprotestowałam żywo. Znajdowałam się na pewnym gruncie. – Odnajduję ciała ich bliskich. Wtedy mogą pogodzić się ze stratą i odzyskać spokój. Dzięki mnie są szczęśliwsi. – Podniosłam się, czując mrowienie w nogach od długiego siedzenia na niewygodnym krześle. – Zostaniemy w mieście tak długo, jak uznacie to za konieczne. Ale nie mieliśmy

nic wspólnego ze śmiercią Helen Hopkins. I pan o tym wie.

Także wstał, wyraźnie próbując wymyślić coś, co powstrzymałoby mnie od wyjścia; oskarżyć mnie o jakąś zbrodnię. Ale nie znalazł żadnego pretekstu i musiał patrzeć bezsilnie, jak opuszczam pokój. Zapukałam do drzwi obok.

–Tolliver! – zawołałam. – Idziemy.

Po chwili drzwi otworzyły się i mój brat wyszedł na korytarz. Dostrzegłam gniew w jego oczach. Delikatnie pogładziłam go po policzku i po chwili rozluźnił się. Razem opuściliśmy maleńki posterunek w Sarne, kierując się do samochodu. Po brązowiejącym trawniku wokół gmachu sądu koziółkowały wielkie, srebrzyste liście klonu.

Sledziłam wzrokiem jeden z nich i w końcu moje oczy spoczęły na Mary Nell Teague. Czekwała na nas, wyraźnie podekscytowana. Nie, nie na nas... na Tollivera. Byłam dla niej jedynie towarzyszącym mu cieniem. Zaparkowała swój samochodek tuż przy naszym, co musiało być nie lada wyczynem. W sobotę w miasteczku panował tłok.

Przy pomniku wojennym zebrała się grupka nastolatków. Wyglądali jak chłopcy w każdym innym mieście – dżinsy, T-shirty, sportowe buty. Może ich fryzury nie były ostatnim krzykiem mody, ale tu nikt nie przejmował się takimi drobiazgami. Nie zwróciłabym na nich uwagi, gdyby ich wzrok nie był wyraźnie skupiony na nas. Nie mieli przyjaznych min. Najwyższy wodził gniewnym spojrzeniem od Nell do Tollivera.

–Hmm... – chrząknęłam, upewniając się, że Tolliver także ich dostrzeże.

–Jasnowidze to wariaci – powiedział chłopak na tyle głośno, że go usłyszeliśmy. O to właśnie mu chodziło. Prawdopodobnie należał do drużyny futbolowej i pewnie był przewodniczącym klasy. Basior alfa. Przystojny, dobrze umięśniony, w butach, które kosztowały więcej niż wszystkie moje ciuchy razem wzięte.

–Ludzie, którzy mówią, że potrafią gadać ze zmarłymi, są opętani przez diabła – dodał jeszcze głośniej. Nell stała za daleko, by go słyszeć, ale zerknęła to na chłopców, to na nas, a na jej twarzy kolejno dostrzegałam oburzenie, przerażenie i ekscytację. Pomyślałam, że mamy tu mały miłosny trójkącik: chłopiec alfa, Mary Nell i Tolliver. Z tym, że ten ostatni nie zdawał sobie z tego sprawy.

Zaczęłam się coraz bardziej denerwować. Chłopcy ruszyli spod pomnika, chcąc przeciąć nam drogę. Tolliver wyjął kluczyki i odblokował drzwi w samochodzie.

Mary Nell przyspieszyła, wyprzedzając chłopców.

–Cześć, Tolliver – powitała go radośnie, chwytając za rękę. – Ach... Witaj Harper.

Starłam się pohamować uśmiech na myśl o degradacji do osoby drugiej kategorii. Opanowanie wesołości przyszło dużo łatwiej na widok zbliżającej się grupki. Chłopak alfa położył rękę na ramieniu Nell, zatrzymując ją, a tym samym nas.

–Nie powinnaś się zadawać z tymi ludźmi – powiedział do dziewczyny. Z tonu poznałam, że znają się długo i że rości sobie wobec niej prawo własności.

Ale chłopiec alfa, choć może znał Nell od dawna, nie znał jej zbyt dobrze. Jej drobna twarzyczka wykrzywiła się z gniewu. Wprawił ją w zakłopotanie na oczach jej najnowszego bzika – egzotycznego, dojrzałego, „zamiastowego” mężczyzny.

–Nie wtrącaj się, Scotty! Moja rzecz co robię i z kim – prychnęła. – Chodźmy do Sonic na colę, Tolliver.

Biedny Tolliver znalazł się między młotem a kowadłem. Niecierpliwie czekałam, jak wybrnie z tej sytuacji. Kiedy przestępował z nogi na nogę, wodziłam wzrokiem po twarzach chłopców, starając się patrzeć im w oczy i przywołując na usta wyprany z podtekstów, prezenterki uśmiech. Tylko dwóch zdobyło się na kiwnięcie głową; inni uciekali wzrokiem lub spoglądali chmurnie.

–Z przyjemnością, Mary Nell, ale teraz musimy wracać z Harper do motelu. Mamy do załatwienia kilka ważnych telefonów – rzekł Tolliver. Widziałam jak szuka słów, które nie zraniłyby jej dumy, pozwalając jemu wyjść cało z opresji i jednocześnie uspokoić patrzący spode łba gejzer testosteronu. Niestety, nic nie spełniłoby wszystkich trzech funkcji.

–A może Nell miałyby ochotę zjeść dzisiaj z nami kolację? – zaproponowałam niechętnie. Nie zrobiłam tego z litości dla dziewczyny, jeśli rozzłościłaby się na nas, chłopcy wykorzystaliby to jako sygnał do ataku.

Przez oblicze Nell przemknęły sprzeczne emocje – to ja ją zaprosiłam, co deprecjonowało wartość oferty, ale równocześnie pozwalało jej zachować twarz.

–Świetnie – powiedziała, ledwie musnąwszy mnie spojrzeniem. – W takim razie zobaczymy się o szóstej w Zajeździe Ozark Valley.

Nie miałam pojęcia, gdzie to było, ale nie mrugnęłam nawet okiem.

–To do zobaczenia – powiedziałam. Nell odmaszerowała do samochodu szybkim krokiem, ale z dumnie uniesioną głową. My udaliśmy się do swojego równie pospiesznie, zapinając pasy dopiero na światłach.

Tolliver był zdeprymowany i zły.

–Może powinienesz założyć boys band? – rzekłam po chwili jazdy w milczeniu. – Niewątpliwie masz warunki.

–Daruj sobie! – fuknął. – A ty co? Zapiszesz się do zespołu cheerleaderek i będziesz machała pomponami drużynie stróżów prawa?

–No, Hollis przynajmniej jest pełnoletni... – zaczęłam, ale musiałam się uśmiechnąć.

Kąciki ust Tollivera także uniosły się ku górze.

–Gdzie, do diabła, jest ten Zajazd Ozark Valley?

–Nie mam pojęcia, ale do szóstej go znajdziemy. Rany, ale mnie boli głowa. Mam nadzieję, że nie będę musiała zrezygnować z tej kolacji...

–Spróbuj, a już nigdy nic cię nie zaboli.

Na lunch postanowiliśmy zjeść kupne sałatki. Ledwie rozsiedliśmy się, zamierzając poczytać, zadzwonił telefon. Ponieważ byliśmy u mnie, podniosłam słuchawkę.

–Tu Hollis. Co powiesz na wspólną kolację? Podwójna randka z Mary Nell i Tolliverem! To byłaby zabawa! Zagryzłam wargę, odsuwając od siebie ten pomysł.

–Mam już plany na kolację – odrzekłam z wahaniem. Choć wiedziałam, że powinnam go spuścić po brzytwie, kusiła mnie ta propozycja spotkania.

–Wieczorny drink?

–Tak – zgodziłam się ostrożnie, rozważywszy sprawę.

–Przyjadę po ciebie. O ósmej?

–Dobrze. To na razie.

–Fajnie. Do zobaczenia.

Tolliver z sardonicznym uśmieszkiem obserwował, jak odkładałam słuchawkę.

–Niech zgadnę, Chłopiec Pies? Przytaknęłam.

–Umówiliśmy się na ósmą, więc będziemy musieli skrócić nasze romantyczne rendez-vous z Nell. Chyba, że nie boisz się zostać bez przyzwoitki.

–Nie sądzę, żeby w okolicy było miejsce, w którym można by jeść przez dwie godziny – oświadczył Tolliver sucho.

Przyznałam mu rację, otwierając książkę. Ale przez pierwsze minuty kilka razy czytałam tę samą stronę.

Zatrzymawszy się w recepcji motelowej, by spytać o drogę do zajazdu, zauważyliśmy, że starszy mężczyzna, który tam pracował, niechętnie z nami rozmawiał. Nazywał się Vernon, chodził w ogrodniczkach i miał zniszczoną twarz,

pomarszczoną jak pysk basseta. Do tej pory zawsze był dla nas miły, choć nie mieliśmy z nim wiele do czynienia. A jednak tego popołudnia zachowywał dystans, spoglądając na nas z potępieniem.

–Chcecie się tam przenieść? – zapytał z nadzieją.

–Nie – zdziwiłam się. – Mamy się tylko z kimś spotkać w tamtejszej restauracji.

–No, bo miałem wam właśnie powiedzieć, że niedługo będziemy potrzebować tych pokoi. Mam nadzieję, że nie planujecie długiego pobytu?

–Nie wątpię, że niedługo będziecie mieć tu spory ruch – stwierdziłam, może nieco chłodno. – I zapewniam, że nie zamierzamy zostać tu sekundy dłużej niż to konieczne.

–To dobrze.

–Pewnie nikt nie będzie nas tu żegnał kwiatami – zauważyłam, gdy siedzieliśmy już w samochodzie.

Tolliver uśmiechnął się, ale dość blado.

–Im szybciej wyjedziemy z Sarne, tym lepiej – powiedział.

Zajazd znajdował się po drugiej stronie miasteczka. Nell zjawiła się kilka minut po nas, z zarumienioną twarzą i komórką w dłoni. Mogłam się założyć, że nakłamała matce o tym gdzie i z kim ma zamiar spędzić wieczór. Prawie znieubiłam dziewczynę, myśląc o tarapatach, w jakie mogła nas wpędzić.

–Przepraszam za spóźnienie – powiedziała, siadając. – Musiałam zrobić kilka rzeczy w domu. Mama dostaje świra.

–Straciła syna. Pewnie dlatego bardziej się teraz o ciebie boi. – Sądziłam, że nawet egocentryczna nastolatka powinna to zrozumieć.

Zaczerwieniła się mocno.

–Oczywiście – odparła sztywno. – Chodzi mi o to, że chyba nie wie, ile mam lat.

Nell wystroiła się z wielką dbałością w nowe biodrówki, obcisłą zieloną koszulkę, mechaty kardigan i kozaczki.

–To normalne u matek – zapewniłam ją. Moja zapomniała o wieku swych dzieci, gdy zaczęła zapijać narkotyki alkoholem. Tyle, że w drugą stronę. Uznała, że jestem wystarczająco dorosła na chłopaka. Wybrała dla mnie swojego dealera, który chciał dać kilka działek za przywilej pierwszej „randki”. Tolliver był wtedy na uczelni.

Spędziłam cały dzień zamknięta w swoim pokoju. Wiedziałam, że jak w końcu wszyscy usną, wydostanę się i ucieknę, ale siedziałam tam bez jedzenia, picia i dostępu do łazienki. Po tym wszystkim zaczęłam trzymać u siebie butelkę wody, paczkę ciastek i stary garnek.

–Zawsze tu mieszkałaś? – zagadnął dziewczynę Tolliver.

Spiekła raka, gdy zwrócił się do niej wprost.

–Tak. Rodzice taty też się tu urodzili. Tata zmarł niedługo przed Dellem.

Oślupiałam. Kiedy Edwards wspomniał, że Sybil jest wdową od niedawna, nie sądziłam, że aż tak niedawna.

–Dell bardzo tęsknił za tatą... Był z nim bliżej, niż ze mną – w głosie Nell zabrzmiała odrobina żalu.

–Chciałabym cię o coś spytać, Mary Nell – powiedziałam. – Nie chcę cię

denerwować, ale wczoraj zaczęłaś coś mówić i nagle urwałaś. Coś jak „wiedziałam, że nie zabiłby Teenie i...” wtedy zamilkłaś. Co chciałaś powiedzieć?

Nell zerknęła na mnie niepewnie. Widać było, że zmaga się ze sobą.

–Proszę, Nell, powiedz – zwrócił się do niej Tolliver. Złamała się, spojrzawszy w jego ciemnobrązowe oczy. Potraktował ją, jakby była kimś wyjątkowym.

–No dobrze – ustąpiła, pochylając się, żeby zdradzić nam sekret. –

Tydzień przed... śmiercią, Dell mi powiedział, że on i Teenie będą mieli dziecko. – Jej mocno podkreślone oczy były teraz wielkie i okrągłe jak ślepie szopa pracza. Nell była wyraźnie zszokowana, że jej brat uprawiał seks ze swoją dziewczyną, a wieść o ciąży uznawała widocznie za tajemnicę wagi państwowej.

–Ktoś o tym wiedział?

–Na pewno nie mama. Zabiłaby go. – Uświadomiwszy sobie, co właśnie powiedziała, poczerwieniała, a w oczach stanęły jej łzy.

–Spokojnie. Wiemy, że twoja mama nigdy by tego nie zrobiła – pospieszyłam z zapewnieniem.

–No, mama nie przepadała za Teenie. Nie wiem czemu. Pani Helen pracowała u nas kilka lat temu i bardzo ją lubiłam. Zawsze śpiewała.

Widać nagle przypomniała sobie, że Helen Hopkins także została zamordowana. Na jej twarzy pojawił się wyraz zagubienia, jakby tonęła.

–Gdybym zabijał każdego, kogo nie lubię, mógłbym sobie zrobić płaszcz z ich skalpów – oświadczył Tolliver.

Nell zachichotała, zakrywając usta drobną dłonią.

Czy po tak długim czasie autopsja Teenie mogłaby wykazać ciążę?

–Dell powiedział o tym tylko tobie, tak? – upewniłam się.

–Tylko mnie – potwierdziła dumnie.

Mary Nell była przekonana, że brat nie podzielił się tym sekretem z nikim innym, ale co z Teenie? Czy ona zdradziła komuś ich tajemnicę? Może matce?

Matce, która... ojej, niech pomyślę... była martwa.

Rozdział szósty

Po krótkiej wymianie spojrzeń, przestaliśmy z Tolliverem drążyć ten temat.

Smutna, płaczliwa mina Nell i tak przyciągała już uwagę nielicznej klienteli.

Dziewczynie powoli wróciły kolory na twarz, kiedy zaczęła mówić na radośniejsze tematy, kierując swoje wypowiedzi niemal wyłącznie do Tollivera. Tak więc mój brat dowiedział się, że Nell planuje zacząć w przyszłym roku studia na Uniwersytecie Arkansas, że chce zostać fizjoterapeutką, by pomagać ludziom, oraz że jest cheerleaderką i nie lubi algebry. No i że opiekunka ich drużyny pomponowej jest totalnie odlotowa. Zwolniona z obowiązków konwersacyjnych, mogłam pograć się we własnych myślach. Nelly nie różniła się od dziewcząt, które znałam ze swojej szkoły – tych z trzeźwymi rodzicami. Pochodziła z rodziny dobrze sytuowanej, więc żadne poważne troski czy wizje bezdomności nie spędzały jej snu z powiek. Była rozgarnięta, choć nieszczególnie bystra, niewinna, lecz nie święta. Utrata brata zawiesiła ją w próżni, zmusiła do poszukiwań nowej tożsamości, bo jej dawny świat nagle się zawalił. Nie wątpiłam, że wiedza o alkowianych sekretach brata i jego

dziewczyny poruszyła ją głęboko, ale uczucie to przyćmił wstrząs na wieść o śmierci Della. Podzielenie się tajemnicą ulżyło jej bardzo. Najwyraźniej Nell nie przeszkadzało, że ludzie, którym ją wyjawiała, są jej obcy.

Tolliver fascynował dziewczynę, a ponieważ była ładną, popularną nastolatką, żywiła niezachwiane przekonanie, że jej zainteresowanie zostanie odwzajemnione. Nell przeskakiwała z tematu na temat, starając się znaleźć klucz do serca Tollivera, sprawić, aby zauważył w niej kobietę. Zaczęła opowiadać anegdotę o wychowawcy, po czym zdając sobie sprawę, że to trochę dziecinne, z wielkim wysiłkiem przeskoczyła na kwestię, która według niej mogła zainteresować dojrzałego mężczyznę.

–Studiowałaś?

–Dwa lata – odparł. – Potem trochę pracowałem i w końcu zaczęliśmy z Harper jeździć.

–Czemu nie znajdziesz sobie stałej pracy i gdzieś nie osiądziesz? – Jak normalny człowiek.

Tolliver spojrzał na mnie.

–Dobre pytanie – powiedział.

Skrzywiłam się lekko – nie zamierzałam odpowiadać. W końcu to nie mnie zapytała.

–Harper pomaga ludziom – rzekł w końcu. – Jest jedyna w swoim rodzaju.

–Ale bierze za to pieniądze – oburzyła się Nell.

–Jasne. Czemu nie? Jak będziesz fizjoterapeutką, też będziesz brała pieniądze.

Po królewsku zignorowała porównanie.

–I nie może tego robić sama? Potrzebuje pomocy?

Hej! Ja tu siedzę. Słucham! Rozprostowałam dłonie. Tylko brat dostrzegł ten gest.

–Nie potrzebuje. Ale ja chcę jej pomagać – wyjaśnił łagodnie. Patrzyłam w talerz.

Mary przeprosiła nas nagle, wychodząc do toalety. Nie miałam zamiaru jej towarzyszyć, nie byłabym mile widziana, więc podczas jej nieobecności rozgrzebywaliśmy resztki naszych potraw. Wreszcie pojawiła się, z zaczerwienionymi oczyma i wysoko uniesioną głową.

–Dzięki za kolację – rzekła sztywno. Nalegaliśmy, że zapłacimy za całość sami. – Było bardzo miło. – Potem z szeroko otwartymi oczami, nie mrugając, wyszła z restauracji.

Obserwowałam, jak wyjeżdża z parkingu. Zaskoczyło mnie, że trochę się o nią martwię. Jej życie rozpadało się na kawałki, mogła przez to być nieostrożna. Różne rzeczy mogą przytrafić się dziewczynie, która nie myśli, co robi. Rokrocznie znajdowałam ciała takich nastolatek.

Po powrocie do motelu miałam sporo czasu na przygotowania do mojej randki, które ograniczały się do poprawienia fryzury i skropienia się perfumami. Tolliver obserwował mnie z ponurą miną, której surowość podkreślało mdłe światło lampy.

–Masz komórkę? – upewnił się. – Zostawię swoją włączoną.

–Mam. W porządku – powiedziałam. Wycofał się do swojego pokoju, cicho

zamykając za sobą drzwi.

Hollis zapukał do drzwi o czasie.

–Ładnie wyglądasz – powiedział, gdy otworzyłam. Zaskoczenie w jego głosie nie zabrzmiało zbyt pochlebnie. Miałam na sobie dżinsy, czarną bluzkę oraz czarne szpilki. Założyłam też nefrytowy wisiołek, który kupiłam sobie w nagrodę za dodatkowe pieniądze otrzymane od zrozpaczonego męża, przez cztery lata szukającego ciała swojej żony.

Hollis też wyglądał dobrze w nowych dżinsach i miodowej koszulce w brązową kratkę. Ogolił się dokładnie i pachniał wodą kolońską. Postarał się. Może ta randka będzie bardziej randkowata, niż się spodziewałam.

Pojechaliśmy do małej knajpki nieco na północ od miasta. Przed budynkiem z ciemnego drewna rozpościerał się wyżwirowany parking, okolony słupami z latarniami, a od dachu do pobliskich drzew ciągnęła się linka z plastikowymi chorągiewkami. Efekt byłby zapewne radośniejszy, gdyby barwne trójkąty powiewały na wietrze. W chłodnym, nieruchomym powietrzu zwiślały posępnie jak żalosne wspomnienie nieudanej fety.

Wnętrze przedstawiało się lepiej, niż wyobrażałam sobie, sądząc po wyglądzie podwórza. Bar zrobiono z lakierowanego drewna, a podłogę

odnowiono niedawno, kładąc dębopodobne panele, które wyglądają zupełnie nieźle. Stoły i przepierzenia pomiędzy boksami były czyste, a całość urządzono w stylu chaty myśliwskiej. Na ścianach wisiały łby jeleni i wielkie wypchane ryby, a gdzieś lustra oraz stare tablice rejestracyjne. Z szafy grającej dobiegała muzyka country.

Podobało mi się to miejsce.

Hollis zapytał, gdzie wolę usiąść – wybrałam boks. Zdecydowałam się na Coorsa i po chwili Hollis wrócił od baru, dzierżąc dwa piwa w butelkach o długich szyjkach. Przyniósł także serwetki. Jedną rozłożył przede mną i dopiero na niej postawił kufel. Stłumiłam uśmiech.

Tyle zabiegów tytułem przygrywki.

–Co lubisz robić? – zapytał. – Jak jeździsz po kraju?

Nie spodziewałam się takiego wstępu.

–Dużo czytam. Czasami chodzimy do kina. Biegam. Oglądam telewizję. Lubię mecze WNBA, sama grałam w kosza w szkole. I wyobrażam sobie mój domek marzeń.

–Opowiedz mi o nim – uśmiechnął się ciepło.

–No, dobrze. – Nieczęsto o tym mówiłam. – Będzie stał na uboczu. Chciałabym, żeby wyglądał jak dom letniskowy z drewnianych bali, ale żeby nie miał tych niedogodności. Kupiłam gotowy projekt w Internecie. Oczywiście, chciałabym go trochę przerobić.

–Jasne. – Łyknął piwa.

–Dwie sypialnie, gabinet i salonik. Tutaj kuchnia z umywalnią – rysowałam palcem po stole. – A z tyłu zadaszony podjazd, żeby w razie deszczu nie moknąć, niosąc zakupy. Tu, z prawej strony, taras, widzisz? Albo może umieszczę go przy salonie?

Tu będzie kominek, a na tarasie miejsce na drewno. I na grilla. Żeby piec steki.

–Z kim będziesz w nim mieszkała? Podniosłam głowę, zaskoczona.

–No, oczywiście z... – zaczęłam i umilkłam.

–Twój brat w końcu pewnie się ożeni? – rzekł Hollis łagodnie, patrząc na mnie ze spokojem. – Ty pewnie też zdecydujesz się założyć rodzinę. Gdy zmęczy cię podróżowanie.

–Hm, niewykluczone – zgodziłam się po chwili. – A ty?

–Zostanę tutaj – powiedział niemal z żalem. – Kto wie, może okrzepnę i spróbuję jeszcze raz. Od śmierci Sally nie jestem już tym samym człowiekiem. A zanim ją spotkałem, jako dzieciak byłem żonaty przez jakieś dziesięć minut. Trudno mi pewnie będzie znaleźć kobietę.

–Nie sądzę, żeby to stanowiło jakiś problem. – Niektóre kobiety może odstraszać ta historia, ale przecież w śmierci Sally nie było jego winy. – Czy małżeństwo... Jak to jest? Być z kimś przez cały czas?

Namyślał się przez chwilę, wpatrując się w piwo. Potem podniósł na mnie wzrok.

–Za pierwszym razem, przez dwa miesiące było jak w raju. A potem jak w piekle – uśmiechnął się cierpko. – Kompletna pomyłka. Jedyne co mogę powiedzieć, to że byliśmy tak samo chętni ją popełnić. Pragnęliśmy się tak mocno, że nie mogłem nawet spać. Na akt ślubu patrzyliśmy jak na papier, który pozwoli nam się legalnie pieprzyć. I fakt, wykorzystywaliśmy to, ile się dało. Nie przyszło nam do głowy, że małżeństwo to coś więcej. Ale ta wiedza przyszła bardzo szybko. Nie wiadomo komu bardziej ulżyło, gdy się rozeszliśmy.

Uniósł brew, zerkając na mnie i zamówił kolejne piwa.

–Sally była inna – ciągnął. – Była równie słodka, jak jej matka i siostra nieobliczalne. Chciała od nich uciec, ale czuła się odpowiedzialna za siostrę. Nie chciała, żeby dziewczynkę wychowywała matka pijaczka. Ale potem Helen otrząsnęła się i wyszła z nałogu. – Pokręcił głową. – Teraz wszystkie odeszły, więc w sumie nie ma to znaczenia. Równie dobrze mogłaby pić nadal.

–Przyszły już wyniki autopsji Teenie?

Na jego twarzy pojawił się wyraz czujności.

–Nie mogę o tym mówić. – Przyglądał mi się dłużej. – Czemu pytasz?

Nie miałam prawa wyjawiać sekretu pary. I nagle pomyślałam, że w ogóle nie powinno mnie to wszystko obchodzić. Odnajduję ciała i odchodzę. Ludzie umierają; umierają przez cały czas – w łóżku, lesie, niektórzy z lufą w ustach. Rezultat ostateczny jest zawsze ten sam. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

–Jaki miałaś najgorszy przypadek? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

Zastanawiałam się, czy pytanie to wywołane zostało jakąś emocją, która mignęła mi na twarzy.

–Tornado – odparłam bez namysłu.

–Gdzie?

–W Teksasie. Przeszło główną ulicą małego miasteczka. Nie pamiętam czy alarm nie działał, czy po prostu pojawiło się tak nagle, że nie zdążyli włączyć syren. W każdym razie kobieta – nazywała się Molly Mathers – biegła do auta z tym

plastikowym nosidełkiem, w którym leżało dziecko. Małe dziecko.

–Trąba zabrała dziecko? Przytaknęłam.

–Wyrwała jej nosidełko z ręki. Milczeliśmy przez chwilę.

–Wszyscy byli pewni, że niemowlę nie przeżyło, ale matkę prześladowała myśl, że leży gdzieś w nosidełku na jakimś polu i jest głodne. – Mówiłam jednostajnie, beznamiętnym głosem, bo było to dla mnie naprawdę straszne wspomnienie.

–Znalazłaś to dziecko? Kiwnęłam głową, zaciskając usta.

–Nieżywe?

–Jasne. Na drzewie. Nadal było w nosidełku.

–Boże...

Skinęłam ponownie głową. Niewiele dało się powiedzieć o czymś takim.

–Ale zwykle nie jest tak źle – rzekłam po chwili, gdy wspomnienia zbladły. –

Najczęściej to dziewczęta, które nie wróciły do domu, lub starsi ludzie, którzy wyszli na spacer. Czasami porwane dzieci, niezbyt często, bo jeśli wywieziono je samochodem, nie wiadomo nawet, gdzie szukać.

–A więc bierzesz zlecenia, jeśli znana jest lokalizacja?

–Teren poszukiwań musi być zawężony do jakiegoś rozsądnego obszaru. Nie można spodziewać się, że znajdę kogoś na podstawie informacji: „Wędrowała gdzieś po pustyni Mojave.” Chyba, że ma się na tyle pieniędzy, żeby płacić mi do skutku.

–Jak to jest? – Co?

–Uzucie, gdy jesteś blisko ciała.

–Jak brzęczenie. Wibracje. W kościach, w umyśle. Czasem to niemal bolesne. Im bliżej, tym są intensywniejsze. A gdy jestem na miejscu, w obecności zwłok, widzę śmierć.

–Ile?

–Kilka sekund, czasem minut przed. Ale widzę tylko zmarłego. Żadnych innych ludzi. Jestem w ciele tego, kto umiera, czuję to. Więc to raczej... nieprzyjemne.

–Mało powiedziane. – Hollis upił piwa. Przytaknęłam.

–Chciałabym widzieć twarze morderców, ale niestety.

–I tak nie można by ich było oskarżyć na podstawie twoich zeznań.

–Wiem, ale jednak mogłabym być bardziej użyteczna.

–Uważasz, że to co robisz jest użyteczne?

–Pewnie. Przecież każdy potrzebuje zakończyć żałobę i pogodzić się ze śmiercią bliskiego. Najgorsza jest niepewność. Zżera cię po kawałku. „Ciebie” w sensie ogólnym, ale powiedz, czy nie ulżyło ci, jak dowiedziałaś się, co naprawdę stało się z twoją żoną? Poza tym, jeśli ludzie mi wierzą, mogą dzięki mnie zaoszczędzić wiele pieniędzy. Na przykład gdy mówię: „Nie warto osuszać tego stawu czy zatrudniać nurków, ciała tam nie ma” albo: „Nie ma sensu przeszukiwać tego wysypiska”. I tak dalej. – Jeśli ci wierzą.

–Tak. Wielu nie wierzy. – Jak to znosisz?

–Odpuszczam i odchodzę.

–Musi być ciężko.

–Było, na początku. Ale już się nauczyłam z tym radzić. A twoja praca?

–Nic szczególnego. Najczęściej pijani kierowcy. Klótnie sąsiedzkie. Czasem jakaś kradzież w sklepie lub włamanie. Żadnych tajemniczych czy poważnych spraw. Od czasu do czasu jakiś męski bokser albo sobotni

wymachiwacz bronią. Nic szczególnego. – Rzucił mi krzywy uśmiezek.

Zastanawiałam się, jakie jeszcze tematy moglibyśmy poruszyć, ale kolejne godziny minęły niespodziewanie szybko. Rozmawialiśmy o polowaniach. Hollis spadł kiedyś z ambony, podobnie jak Marcus Allbright – na szczęście zwichnął sobie tylko kostkę. On także należał do szkolnej drużyny koszykarskiej. Dobrze wspominał czasy szkolne, ale nigdy nie chciałby wrócić do tamtych dni. Ja również. Przez całą szkołę starałam się być niewidzialna i uważałam na to co mówię, żeby nikt nie zorientował się, w jakich warunkach żyjemy. Ze względu na rodziców nie zapraszałam do siebie koleżanek. Udawało się nam, dopóki nie zniknęła Cameron. Sprawa okazała się spektakularna, więc naturalnie rozdmuchały ją media, i w ten sposób zwróciły na nas uwagę.

–Chyba to pamiętam – rzekł Hollis zamyślony. Pił trzecie piwo, podczas gdy ja nadal sączyłam drugie. – Czy nie została przypadkiem uprowadzona przez mężczyznę w niebieskim pickupie?

–Tak. Wracała wtedy ze szkoły. Dekorowała salę na tańce. Ja skończyłam wcześniej, więc szła sama. Facet porwał ją z ulicy. Byli świadkowie. Ale nie została odnaleziona.

–Współczuję.

–Kiedyś ją znajdę – powiedziałam z mocą. – Kiedyś, gdy poczuję to brzęczenie, to będzie ona. Wtedy poznamy prawdę o tym, co jej się stało.

–Twoi rodzice żyją?

–Ojciec chyba tak. Matka zmarła w zeszłym roku.

Powalił ją nałóg.

–Jakie jest pokrewieństwo między tobą a Tolliverem?

–Ojciec Tollivera poślubił moją matkę. Zostaliśmy wychowani jak rodzeństwo.

O ile w ogóle można mówić o wychowywaniu w tym przypadku, dodałam w duchu. Po pewnym czasie zostaliśmy mistrzami w udawaniu przed ludźmi, którzy mogli nas rozdzielić. Tolliver opiekował się mną i Cameron, a my z kolei Gracie i Mariellą. Starszy brat Tollivera wpadał upewnić się, czy mamy co jeść. Jeśli nie, robił zakupy. Gdy Tolliver osiągnął odpowiedni wiek, zaczął pracować w restauracji. Przynosił stamtąd tyle jedzenia, ile mógł.

Rodzice czasami pracowali, a od czasu do czasu dostawaliśmy zapomogi. Ale większość pieniędzy zniknęła w ich gardłach i żyłach.

Nauczyliśmy się żyć skromnie – jeść byle co, a ubrania kupować w szmateksach oraz na wyprzedażach garażowych i to takie, które nie zdradzałyby naszego położenia. Mark, nasz starszy brat, zawsze podkreślał jak ważne jest, żebyśmy się dobrze uczyli. „Dopóki będziecie czysti i schludni, nie będziecie opuszczać lekcji i dostawać w miarę dobre stopnie, opieka społeczna się wami nie zainteresuje” – pouczał nas. I miał rację. Tak było do czasu zniknięcia Cameron.

Opowiedziałam Hollisowi jak wyglądało nasze życie.

–To straszne – podsumował ze smutkiem; żałował dziewczynki, którą wtedy byłam. Był wrażliwym człowiekiem. – Bili was?

–Nie. Zaniedbywali po prostu. Nawet Mariellę i Gracie. Z początku matka próbowała się nimi zajmować, ale opieka nad nimi szybko spadła na Cameron i na mnie. Trudno nam było w takich warunkach walczyć, żeby nie stoczyć się tak jak rodzice. – Pielęgnowałam wspomnienia z życia „przed”, przed tym jak matka zaczęła brać narkotyki, a ojciec wylądował w więzieniu. Obiecałam sobie, że kiedyś znów będę miała takie życie. Moim młodszym siostróm było łatwiej, nie znały niczego lepszego.

Ciągły stres – napięcie, by zachować kruche status quo – omal mnie nie zabił. Ale udawało nam się, dopóki Cameron nie została porwana.

–Co było potem?

Zaczęłam się wiercić, unikając jego wzroku.

–Pogadajmy o czymś innym. W skrócie, aż do pełnoletności mieszkałam u rodziny zastępczej, a młodsze siostry przygarnęła ciotka.

–A ta rodzina zastępcza?

–Przyzwoici ludzie. Nie molestowali dzieci, nie traktowali jak niewolników. Dopóki wykonywałam wyznaczone obowiązki i odrabiałam lekcje, nie było źle.

Właściwie życie w domu, gdzie panowały zasady i porządek, było miłą odmianą.

–Jakieś ślady twojej siostry?

–Znaleziono portfel. I plecak.

Poruszyłam nogą, która cierpła, pozostając zbyt długo w tej samej pozycji.

–Ciężka sprawa.

–Ta. Powiedziałabym, że obojgu nam los nie oszczędził ciosów. Hollis przytaknął.

–No to, za lepsze życie. – Wzniósł toast i stuknęliśmy się szklankami.

Pojechaliśmy do jego małego domku. Oboje potrzebowaliśmy ciepła i ukojenia. Ale nie zostałam na noc, chociaż prosił. Około trzeciej pocałowałam go na pożegnanie pod drzwiami mojego motelowego pokoju. Staliśmy objęci długą chwilę. Weszłam sama, przemarznięta do kości.

Rozdział siódmy

Ranek wstał pogodny, rześki – idealny na przebieżkę. Trzeci dzień z rzędu niebo było bezchmurne, a czysty błękit niósł ze sobą obietnicę pięknej pogody. Przejechałam szczotką po włosach i założyłam na szyję nieśmiertelnik z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem oraz numerem komórki Tollivera. Założyłam sportowy stanik, legginsy trzy czwarte, a mój stary T-shirt z emblematem „Bieg po zdrowie” przykrył niewielki pojemnik z gazem pieprzowym, który umocowałam na pasku. Znalazłam plastikową torebkę z dziurką przy brzegu, włożyłam do niej klucz od pokoju i zawiesiłam na tym samym łańcuszku co nieśmiertelnik. Po kilku ćwiczeniach rozciągających, postanowiłam pobiec aż do Kroger, znajdującego się na drugim końcu miasteczka. Nie chciałam poruszać się głównymi ulicami – nawet w Sarne panował na nich ruch, a nie znosiłam wdychać spalin. Wybrałam inną drogę, przez uliczki, przy których stały domy, małe sklepy i punkty usługowe. Z uczuciem ulgi ruszyłam w trasę.

Kiedy weszłam w rytm, mogłam przestać koncentrować się na krokach i pomyśleć spokojnie. Ku własnemu zdumieniu, czułam się lepiej niż oczekiwałam – odprężona, bez poczucia winy. Nie miałam dużego doświadczenia w tych sprawach, ale Hollis wydawał się czułym i troskliwym kochankiem. Lubił dotyk, kontakt cielesny, podobnie jak ja, więc powiedziałam sobie, że dobrze zrobiłam.

Zaprzątnięta myślami początkowo nie zwróciłam uwagi, że podąża za mną pickup. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że od jakiegoś czasu słyszę warkot silnika. Serce zaczęło mi bić mocniej, gdy z niepokojem zdałam sobie sprawę, że kierowca bez wątpienia jedzie za mną. Cień widziany kątem oka przybrał realny kształt. Nie zmieniałam tempa, ale całą uwagę skupiałam na półciężarówce, która skradała się niczym lew pośród traw, czekający na odpowiedni moment, aby wykorzystać roztargnienie ofiary. Rozpięłam kaburkę, dobywając pojemnik z gazem. Czy w Arkansas gaz pieprzowy jest legalny? Nie mogłam sobie przypomnieć, ale doszłam do wniosku, że teraz to akurat najmniejszy problem. Oddaliłam się już około kilometra od motelu, a po uliczkach jeździło niewiele samochodów. Nie mogłam liczyć na pomoc. Zaciśnęłam w dłoni pojemnik z sprayem.

Minęłam zasłonięte jeszcze witryny pralni, jubilera i agencji ubezpieczeniowej. Żadnych samochodów ani przechodniów. W napięciu czekałam, aż ten kto siedzi w samochodzie, wykona swój ruch. Gdyby tylko wstrzymali się, póki nie będziemy bliżej głównej ulicy, albo gdyby udało mi się przedostać na przełaj między budynkami do posterunku... Ale niepewność skończyła się nagle.

Pickup skręcił na chodnik, zajeżdżając mi drogę. Ze środka wyskoczyło trzech młodych ludzi. Oczywiście! Chłopiec alfa, ten, którego Nell nazwała Scottym. A wraz z nim dwóch kumpli.

Przystanęłam, gdy ustawili się blokując mi przejście. Cała trójka miała kurtki szkolnej drużyny futbolowej i oszpecone wyrazem napięcia twarze. Scotty stał pośrodku, po mojej prawej niewielki brunet, zaś po lewej krzepki szatyn, jednakowo szeroki w barkach i pasie. Nie mieli broni, ale dłonie zaciskali w pięści.

–Nie załapałaś, suko? Kazaliśmy wam wyjechać z miasta – rzucił Scot, wykrzywiając się w ohydny grymasie. Cała trójka była tak nabuzowana, że aż przestępowali z nogi na nogę, kołyszając niespokojnie ramionami.

Wodziłam wzrokiem po ich twarzach, rozważając, który może zaatakować pierwszy. Każdy z nich był naładowany, odbezpieczony, gotowy do strzału.

–Zamierzacie mnie zgwałcić? – spytałam chcąc, aby urealniło się to w mojej świadomości.

Robili wrażenie wstrząśniętych. Zszokowanych. Przyboczni popatrzyli na przywódcę, czekając, żeby odpowiedział za nich. A może sami nie wiedzieli, co chcą zrobić.

–Nie tknęlibyśmy cię nawet palcem, ty niedomyta dzdziro – prychnął Scotty, starając się mówić pogardliwie, aby pogodzić brak zamiaru gwałtu z potrzebą potwierdzenia własnej męskości. Oczywiście prawdziwy mężczyzna powinien być gotów do każdej formy seksu zawsze i wszędzie. A więc skoro nie chcieli mnie zgwałcić, to tylko dlatego, że nie byłam godna ich zainteresowania jako obiekt

seksualny.

–To dobrze – podsumowałam i w tym momencie dostrzegłam, że brunet nie jest już w stanie nad sobą panować. Uniósł rękę do ciosu. Głupek. Równie dobrze mógłby ogłosić: „Uważaj, zaraz cię uderzę”. Prysnęłam mu prosto w oczy. Poczzerwieniał i zaczął skrzeczeć, trąc twarz rękoma.

–Piecze! Nic nie widzę! – wrzeszczał. Wykorzystałam to, że pozostali chłopcy gapili się na niego w osłupieniu, i skierowałam strumień gazu w ich stronę. Scotty oberwał prosto w twarz, ale jego kumpel uchylił się w ostatniej chwili, więc substancja nie dostała mu się do oczu.

Sygnał syreny wystraszył mnie śmiertelnie. Gdy otrząsnęłam się z zaskoczenia, z radością ujrzałam wóz policyjny i z jeszcze większą, siedzącego za kierownicą szeryfa Branscoma.

On nie był tak zachwycony moim widokiem.

–Co tu się dzieje? – zapytał, przeglądając się z obrzydzeniem płaczącym, jęczącym młodzieńcom. Brunet klęczał na ziemi, rozmazując łzy po twarzy.

–Zajechali mi drogę, wysiedli i zaczęli mi grozić – wyjaśniłam.

–Wcale nie, szeryfie – zawył brunet, który pierwszy mnie zaatakował. –

To ona! Ona...

–Zepchnęła wasze auto na chodnik, wywlekła was z niego i ustawiła sobie w rządku, żeby popryskać was gazem pieprzowym? – Szeryf bardzo chciałby mieć powód, żeby mnie oskarżyć, ale przyzwoitość nie pozwalała mu go sfingować. – Niedobrze mi jak na was patrzę. Scot, spróbuj tylko zerknąć po tym w stronę mojej siostrzenicy, a znajdę sposób, żeby cię zamknąć. Gwarantuję, że pobyt w pudle ci się nie spodoba.

Nie miałam pewności, czy do Scota docierają groźby szeryfa, bo całkowicie pochłaniało go tarcie oczu. A według instrukcji obsługi gazu, tego właśnie nie powinien robić. Szeryf westchnął ciężko i wyciągnął z wozu sześciopak „Ozarkczanki”.

–Dobrze, że zawsze wożę ze sobą kilka butelek – mruknął, przytrzymując kolejno chłopców i polewając im twarze wodą.

–Nie wstyd wam? Nie dość, że byliście bliscy popełnienia przestępstwa kryminalnego, to jeszcze jakiego! Trzech takich byków na jedną kobietę?! Mało tego, spóźniecie się do szkoły, a to oznacza, że wsadzą was do kozy, więc nie pójdziecie na trening. Ciekawe, co zrobi trener, gdy wyjaśnię mu powód waszej nieobecności. A zadzwonię do niego i to zaraz. – Harvey spojrzał na mnie, unosząc pytająco brwi. – To znaczy, o ile pani nie oskarży was o napaść? Bo jeśli tak, w ogóle nie pojawicie się dzisiaj w szkole.

Zrozumiałam zawołaną wskazówkę. Zawahałam się, ale po chwili skinęłam głową. Szeryfowi wyraźnie ulżyło.

–Wystarczy, że zadzwoni pan do trenera i przypilnuje, żeby zostali odpowiednio ukarani. Bo jeśli złożę oficjalne doniesienie, tak czy owak wydalą ich z drużyny, przynajmniej na jakiś czas – zaznaczyłam.

Harvey odetchnął.

–Tak, wyrzucono by ich z drużyny. A ichrodzice dowiedzieliby się o wszystkim. Aresztowanie za przestępstwo kryminalne widniałoby w ich dokumentach na uczelni. Ojciec ucieszyłby się, słuchając twoich wyjaśnień, co, Scot? Szczególnie, że niedawno musiał zapłacić za trzy zniszczone skrzynki na Bainbridge Road. A ty, Justin? Wiem, że twoja matka ciężko pracowała, żeby kupić ci tę kurtkę. – Justin za bardzo płakał, żeby odpowiedzieć. – Jak myślisz, Cody, co twoja babcia powiedziała by na wieść, że zaatakowałaś kobietę?

–Chcieliśmy tylko, żeby wyjechali z miasta – bronił się Cody. Chyba źle wycelowałam, psikając sprayem.

Serce nadal tłukło mi się jak przyczajonemu w krzakach królikowi, który słyszy psy. Strach to okropne, upokarzające uczucie. Gdybym nie miała gazu, gdyby szeryf się nie pojawił, leżałabym tu ze złamaną szczęką lub połamanymi żebrami. Trzech wielkich chłopaków, prawie mężczyzn, młodszych ode mnie tylko o kilka lat... Mogli mnie nawet zabić z głupoty, przez czysty przypadek.

Harvey Branscom nie rzucał słów na wiatr. Wyciągnął komórkę i zadzwonił do trenera. Nie wyjaśniając dokładnie, co chłopcy prawie zrobili, powiedział trenerowi, że zasłużyli na najsurowszą karę, jaką nauczyciel może im dać. A wiedziałam, że trener ma w tym względzie spore możliwości, szczególnie w trakcie sezonu. Nie byłam rozczarowana układem zawartym z szeryfem. Zdawałam sobie sprawę, że uzyskałam, ile mogłam w takim miasteczku jak Sarne.

Branscom uznał, że Scot może już prowadzić samochód, więc odesłał chłopców do szkoły. Gdy odjechali, a moje serce zaczęło bić w normalnym rytmie, zwrócił się do mnie:

–Chyba nie za bardzo tu panią lubią. – Starsi stróże prawa bez wątpienia nie darzyli mnie sympatią. Rysy szeryfa stwardniały od hamowanej niechęci. – Przykro mi, że to panią spotkało. Scot ma bzika na punkcie Nell, odkąd chodzili ze sobą w pierwszej klasie.

Adrenalina nadal we mnie buzowała. – I okazuje to, bijąc inną kobietę?

–Nie, głupek chciał okazać w ten sposób, jak się o nią troszczy, jak broni jej przed kimś, kto jego zdaniem jej zagraża. – Branscom westchnął ciężko opierając się o wóz. Naraz wydał się dużo starszy. – Tutejsi ludzie nie rozumieją, co pani robi. A to, że pani ma prawdziwe umiejętności, pogarsza tylko sprawę. Znalazła pani Teenie. Ale nie zbliżyliśmy się dzięki temu ani na krok do odkrycia zabójcy i nadal nie możemy wykluczyć, że to Dell. Poza tym odkrycie zwłok Teenie w jakiś sposób pociągnęło za sobą śmierć Helen. Pogrzeby odbędą się chyba jednocześnie. Pochowamy Helen razem z córką, prawdopodobnie w grobie Sally. Według tego, co mówiła pani Hollisowi, to trzecia ofiara w tej rodzinie. Żałuję, że ten piorun nie trzasnął pani trochę mocniej. Może wtedy mogłaby pani zobaczyć coś więcej i wyjaśnić to wszystko.

A może, dopowiedziałam sobie jego niewyartykułowaną myśl, nie żyłabym już i nie byłoby nic do wyjaśniania. Ogarnęła mnie fala niedowierzania.

–Mieliście całe miesiące na wyjaśnienie śmierci Della i zniknięcia Teenie – rzekłam niemal szeptem po to, żeby nie krzyczeć. – W sprawie Helen pomaga wam policja

stanowa, możecie korzystać z laboratorium kryminalistycznego. Ja umiem wskazać miejsce, gdzie znajdują się zwłoki i nigdy nie twierdziłam, że potrafię coś więcej. Niech się pan nie waży w jakikolwiek sposób obwiniać mnie za to, co się tu dzieje.

Przy aucie szeryfa zatrzymał się kolejny wóz policyjny. Hollis, podzwaniając pełnym rynsztunkiem, wyskoczył z niego, zanim zdążyłam ułożyć usta do uśmiechu.

–Nic ci nie jest? – zapytał, kładąc dłoń na moim barku. Pochylił się, aby zajrzeć mi w twarz. Rozgniewało go to, co tam zobaczył. – Na drodze do szkoły zatrzymałem chłopaka Briscoego, za przekroczenie szybkości. Wyglądał tak

fatalnie, że spytałem, co mu się stało. Opowiedział mi wszystko, zdumiony, czemu go nie oklaskuję.

Poczułam się stara i zmęczona. Mój sportowy strój nie był odpowiedni do stania na chłodnym wietrze. Jedynym ciepłym kawałkiem mojego ciała była skóra pod palcami Hollisa.

–Nic, nic. Wszystko w porządku – odparłam bezbarwnie. – Dokończę jogging i wrócę do motelu.

–Gdzie twój brat? Chcesz, żebym po niego pojechał?

Nagle moja głowa zrobiła się lekka jak balonik. Zrozumiałam, że nadmiar intensywnej emocji – strach, a potem ulga i w końcu wściekłość – wprawiły mnie w stan chwilowego odrętwienia. I to co właśnie usłyszałam... Hollis intuicyjnie poruszył we mnie pewną strunę, trafił w to, czego najbardziej teraz pragnęłam. Ale nie zamierzałam przystawać na jego propozycję.

–Doceniam twoją troskę – powiedziałam miękko. – Ale chcę dokończyć to, co zaczęłam.

Nie wiem, czy zrozumiał, ale miałam nadzieję, że wychwycił ciepło i wdzięczność w moim głosie. Nie chciałam obejmować go w miejscu publicznym. Nie wiem, czy zrobiłabym to nawet gdybyśmy byli sami. Ruszając w dalszą drogę, usiłowałam się do niego uśmiechać. Truchtalam powoli, bo mój organizm nadal nie otrząsnął się z szoku – mięśnie nie wiedziały, czy są zimne po odrętwieniu, czy rozgrzane adrenaliną, a mój umysł, choć nadal był rozedrgany, kierował się jedną myślą – dokończyć ten bieg, ocalić godność.

Do motelu dotarłam już bez przeszkód. Zrobiłam całą planowaną trasę. Krążyłam po parkingu próbując ochłoniąć, otrząsnąć się, odepchnąć lęk. Głupia. Byłam głupia. Głupia. Głupia. Głupia.

Mój brat już wracał ze swojej przebieżki. Pospiesznie ruszyłam do drzwi pokoju, wkładając kartę w szczelinę przy wejściu.

–O nie! – zawołał. – Ani drgnij!

Cholera. Nie odwróciłam się do niego. Sam okręcił mnie, trzymając za ramię i obejrzał bacznie od stóp do głów.

–Nic ci nie jest? – zapytał. Musiał wpaść na szeryfa lub Hollisa.

–Nic – odparłam, starając się, aby nie zabrzmiało to zbyt ponuro. – Wszystko w porządku. Kto ci powiedział?

–Widziałem się z Hollisem. To z nim byłaś w nocy?

Kiwnęłam głową, unikając jego wzroku.

–Musimy się stąd wynosić i to jak najszybciej. Puszczą nas, jak znajdą zabójcę.

–Może dowiedzielibyśmy się czegoś, gdybym miała dostęp do ciała Helen. Może udałoby mi się coś zobaczyć.

–Hollis mówił, że zaraz po naszym wyjściu miał telefon. Dzwonił ten prawnik, Edwards.

–Czego chciał?

–Tego już Hollis nie mówił. Pewnie nie wspomniał ci o tym wczoraj w nocy?

–Nie. – Czułam jak się czerwienię.

–Ale szeryf nie chce nas puścić, bo uważa, że coś możemy wiedzieć.

–Moglibyśmy wyjechać bez pytania. Przecież nie mają podstaw, żeby nas tu zatrzymywać, prawda?

–Chyba nie – odrzekł Tolliver. Trzymał mnie mocno za ramiona, a kiedy puścił, poczułam mrowienie, gdy krew zaczęła swobodnie płynąć w żyłach. – Ale wiesz jak to jest. Jedno słowo ze strony władz, a stracimy dużo zleceń.

To prawda. Ostatnim razem, gdy szef policji nie był ze mnie zadowolony – żywił przekonanie, że znałam wcześniej miejsce ukrycia zwłok, zmówiwszy się z zabójcą, chcąc obrosnąć w pierze – niemal przez pół roku nie miałam pracy. To był trudny okres, a ja miałam dość trudnych czasów. Już do końca życia.

–Twój chłopak szepnie o nas słówko komu trzeba – droczył się Tolliver, próbując podnieść mnie na duchu.

Nawet nie zaprotestowałam, że użył słowa „chłopak”. Sam nie wierzył, że Hollis znaczy dla mnie coś więcej. Jak zwykle, miał rację, choć jednocześnie się mylił.

Rozdział ósmy

Dom Pogrzebowy Gleason Sons był pełen dywanów i ciemnych kątowników. Mieścił się w otoczonym zielenią, malowniczym budynku w stylu wiktoriańskim. Ściany wewnątrz pomalowano na pogodny błękit, a witrażowe okna musiały kosztować fortunę. W budynku znajdowały się dwie sale, w których wystawiano ciała, biuro, gdzie rodziny wybierały – i płaciły – z trumny oraz inne usługi, a także kuchnia do przygotowywania kawy dla żałobników. W dyskretnej, nowoczesnej przybudówce na tyłach mieściły się ponure salki, w których świadczone właściwe usługi pogrzebowe. Elijah Gleason oprowadził nas po części dla gości, po czym udaliśmy się do przybudówki. Właściciel z dumą opowiadał o prowadzeniu biznesu, zapoczątkowanego przez jego pradiadka, a ja wyrażałam słowa szacunku dla jego osiągnięć w kontynuowaniu rodzinnych tradycji. Elijah był niskim korpulentnym mężczyzną przed czterdziestką o przylizanych czarnych włosach i szerokich ustach z cienkimi wargami.

–To moja żona, Laura – wskazał na kobietę w pokoju, który mijaliśmy. Pulchna szatynka o króciutkich włosach pomachała nam na powitanie. – Zimą prowadzi mi rachunkowość, a latem zamienia się w Aunt Hattie z Aunt Hattie’s Ice Cream Parlor.

Kobieta oderwała się od pracy, uśmiechnęła, kiwając głową i na powrót skupiła uwagę na ekranie komputera. Na wieszaku w kącie wisiał kwiecisty czepek i długi fartuch. Miałam nadzieję, że jej lodziarnia jest klimatyzowana.

–Pański interes jest raczej całoroczny, jak sądzę, nie sezonowy? – rzuciłam z

braku lepszej odpowiedzi.

–Byłaby pani zaskoczona. W lecie mamy co najmniej dwóch klientów z przyjezdnych. Oczywiście takie szczątki przygotowujemy tylko do przewiezienia, ale to też się liczy.

Na to stwierdzenie nic nie mogłam wymyślić, więc zmilczałam. Obiecałam sobie trzymać się z dala od Sarne w sezonie letnim. Tutejsi mieszkańcy wydawali mi się żałośni – poprzebierani w stroje z minionej epoki, czasów gorętszych, cuchnących, ciemnych i pełnych śmierci, którym teraz łatwo byłoby zapobiec. Kobiety zmarłe przy porodzie, dzieci z polio, niemowlęta z konfliktem serologicznym, mężczyźni z posocznicą wywołaną niewielkim zranieniem piłą... Widziałam ich wszystkich podczas rekonesansu na starym cmentarzu. Większość ludzi, wyobrażając sobie „stare czasy”, nie myśli o tych aspektach życia. Biorą pod uwagę tylko brak tego, co uważają za choroby cywilizacyjne – aborcji, homoseksualizmu, wszechobecnej telewizji, rozwodów. Postrzegają przeszłość w kategoriach piątkowych wieczorów spędzanych na muzykowaniu z sąsiadami na ganku, zapachu shoofly pie* [*Tarta z nadzieniem z melasy

i brązowego cukru (przyp. tłum.)], śpiewania gospel oraz żyjących długo i szczęśliwie małżeństw.

Mnie jawiła się ona czasami pełnymi niespodziewanych, bezsensownych zgonów.

Wreszcie dotarliśmy do nowoczesnej części zakładu pogrzebowego, gdzie właściciel miał pokazać nam ciało Helen. Zrobił to na prośbę Hollisa i po jego zapewnieniach, że nie zemdleję, ani nie zwymiotuję na widok zwłok. Lubię domy pogrzebowe. Cenię ich pracowników za wysiłek, jaki wkładają w nadanie śmierci przystępniejszego, lepiej prezentującego się oblicza. Starają się zamortyzować szok, jaki towarzyszy jej widokowi. Tak jak z piękną miękką wyściółką trumien – martwym to obojętne, ale żywi czują się lepiej.

Brzęczenie w mojej głowie nasilało się w miarę, jak zbliżaliśmy się do pomieszczenia za zamkniętymi drzwiami. Osiągnęło apogeum, kiedy przekroczyłam próg sterylnej białej sali do balsamowania.

–Jeszcze nie zaczęliśmy – zaznaczył Gleason. – Dopiero co przysłali ją z laboratorium kryminalistycznego. Powiedzieli, że wyniki analiz toksykologicznych będą dopiero za kilka miesięcy. Mają setki spraw w kolejce przed tą.

–Mógłby pan poczekać na zewnątrz? – poprosił Tolliver. – Siostra różnie reaguje na kontakt, mogłaby pana wystraszyć.

–Przykro mi, ale ciało Helen znajduje się pod moją opieką, więc muszę zostać – oświadczył Gleason stanowczo.

Cóż, nie liczyłam na inną odpowiedź. Skinęłam głową, koncentrując się na kształcie leżącym na marach. Gestem poprosiłam ich o ciszę.

Podeszłam do Helen. Prześcieradło okrywało jej ciało aż po szyję. Uczesano ją już. Głowę wypełniły mi vibracje, które emanowała. Jej dusza jeszcze nie odeszła. Tego się nie spodziewałam. Drgnęłam, zaskoczona. Wyjątkowo rzadko zdarza się, aby duch trwał przy zwłokach po trzech dniach od śmierci, a szczególnie w przypadku, gdy szczątki odnaleziono niemal natychmiast. Wiedziałam, że w takiej

sytuacji będę w stanie zdobyć więcej informacji. Ale przepęłniało mnie współczucie. Mięśnie szyi zaczęły mi ledwie wyczuwalnie drgać, bo nie starałam się nawiązać z nią kontaktu, a ona znajdowała się tuż przy mnie. Nie tylko ciałem.

Gleason zerkał na mnie ze źle skrywaną odrazą.

– Jest tam – rzekłam cicho i ujrzałam jak na twarz Gleasona wpełza przerażenie.

Rzuciłam okiem na Tollivera, który kiwnął głową na znak, że rozumie, o co mi chodzi.

– Dotknę jej tylko – zwróciłam się do właściciela zakładu. – Z szacunkiem.

Popatrzyłam na pokiereszowaną twarz Helen, a mięśnie mojej szyi rozluźniły się wreszcie. Sine plamy sprawiały wrażenie, jakby ktoś pomalował ją w burych odcieniach. Wsunęłam dłoń pod prześcieradło, czując pod palcami skórę na jej ramieniu.

Jak z oddali, usłyszałam własny jęk – głęboki, gardłowy odgłos przestrawu. Widziałam jak unosi się nade mną ręka z lichtarzem. Skuliłam się, chcąc uniknąć ciosu. Ręka mężczyzny, ubranego w coś z długim rękawem. Przytłaczające poczucie zdrady, szok. Mignięcie opadającego ramienia. Ból, rozczarowanie, gorycz, nadzieja na zmartwychwstanie, straszliwa mieszanka przedśmiertnych emocji. A potem nic, nic, nic...

– Już wiem – szepnęłam. – Możesz odejść.

Dusza Helen opuściła ziemską powłokę.

Coś takiego przydarzyło mi się wcześniej tylko raz. Nie wiedziałam wtedy, co robić – z duszą zmarłego zetknęłam się przypadkiem, nieoczekiwanie. Stąd właśnie biorą się historie o nawiedzonych miejscach. Dusza pragnie, by ktoś dowiedział się o jej walce; cierpienie podczas śmierci fizycznej oraz chaos emocji, jaki jest udziałem mordowanej osoby, w jakiś sposób zatrzymuje ją w ciele. Jeśli nie odejdzie przed złożeniem do grobu, zaczyna nawiedzać żywych.

Zatroszczyłam się o spokój duszy Helen, zanim jej ciało zostało pogrzebane. Zrobiłam dla niej coś dobrego.

Ale dzieliłam ostatnie chwile jej życia i wycisnęło to na mnie piętno. Tolliver poprowadził mnie do metalowego krzeselka, roztrzęsioną. Gdy mój umysł zaczął rejestrować otoczenie, zdałam sobie sprawę, że Elijah Gleason wpatruje się we mnie z rozdziawionymi ustami i zmarszczonymi brwiami. Znałam to spojrzenie. Krzyczało: spalić czarownicę!

– Helen jest teraz z naszym Panem – rzekłam natychmiast i zdołałam się nawet uśmiechnąć.

Strach Gleasona odrobinę zmalął.

– Naprawdę? – zapytał po chwili.

– Tak – potwierdziłam stanowczo. – Jest w Królestwie Niebieskim, ze wszystkimi świętymi, w wiecznej chwale.

Ta świątobliwa wypowiedź robiła na ludziach wrażenie, pozwalając mi się ich pozbyć. Nie lubiłam jednak zagrywać tą kartą. Nie mówię, że jestem niewierząca. Nie jestem także agnostyczką. Ale muszę wyrażać się o Bogu w sposób zrozumiały dla innych, bo mój wydaje się zupełnie niepodobny do ich Boga. Nawet jeśli sami nie wierzą – tak szczerze, prawdziwie – zawsze uspokajają ich głęboko chrześcijańskie

frazy. W zasadzie, słyszane ode mnie, wstrząsają ich na wpół skrywanym niedowiarstwem.

Dzięki temu jestem bezpieczna. Tolliver także.

Gleason zakrył twarz Helen. Spojrzałam na długi kształt rysujący się pod spłóviałą materią. Teraz było to tylko ciało, skupisko komórek, które teraz, gdy już spełniły swoją rolę, rozpadną się w proch.

Po wyjściu na chłodny słoneczny dzień, zaproponowałam Tolliverowi skontaktowanie się z jakąś bliską znajomą Helen. Zadzwoniliśmy do Hollisa, który poinformował nas, że Helen przyjaźniła się z Annie Gibson. Zajrzeliśmy do książki telefonicznej i niedługo później siedzieliśmy w salonie niemal identycznym jak ten u Helen. Mnóstwo fotografii dzieci w różnym wieku, wielka rodzinna Biblia na stoliku, stłoczone meble i zapach jedzenia. W tym domu jednak znajdowały się także nowsze zdjęcia – Annie miała wnuki. W rogu stało pudło z zabawkami, które czekały, aż małe rączki rozrzucą je po całym pokoju.

Annie Gibson, choć podzielała gust swojej przyjaciółki, nie była do niej podobna pod innymi względami. Korpulentna, o krótkich kręconych włosach, nosiła okulary w niebieskich plastikowych oprawkach i dokuczała jej zadyszka. Nie była naiwną kobietą wpuszczającą do domu obcych, nie zobaczywszy wpierw ich dokumentów. Zaproponowała nam kawę w sposób dający do zrozumienia, że robi to z uprzejmości, nie serca.

–Helen opowiadała o państwa wizycie – rzekła. – Nie wiem, czy jesteście porządnymi ludźmi, ale wyrażała się o was dobrze i to musi mi wystarczyć. Będzie mi jej brakowało. Prawie codziennie piłyśmy razem kawę, a dwa razy w roku jeździłyśmy na zakupy do Little Rock. Wysyłałyśmy sobie kartki urodzinowe. – Łzy popłynęły jej po pulchnych policzkach. Machinalnie sięgnęła po chusteczkę, osuszyła je i wysiąkała nos. – Nasze mamy też się przyjaźniły. Urodziły nas w tym samym miesiącu.

Usiłowałam wyobrazić sobie, jak to jest przyjaźnić się tak długo z jedną osobą. Annie Gibson musiała dobiegać czterdziestki. Próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest mieć wnuki, ale poddałam się już przy dzieciach. Tak długa przyjaźń była dla mnie równie niewyobrażalna.

Dobrze, gdybym dożyła w ogóle takiego wieku, pomyślałam. Śledziłam końcówkę tej blednącej myśli, dumając, skąd w ogóle wzięła się w mojej głowie. Jednak w tym momencie musiałam skupić uwagę na siedzącej naprzeciw mnie kobiecie.

–Zapytam panią o coś, co może się pani nie spodobać. – Annie wydawała się bezpośrednią osobą, więc zdecydowałam, że lepiej będzie podejść do niej od frontu.

–Nie będę wiedziała, zanim nie powie mi pani, o co chodzi. – Może i była puszystą kobietą, ale charakter miała żelazny. – Niektóre sprawy muszą pozostać sekretem.

–Ma pani rację. – Pochyliłam się, opierając łokcie na kolanach. – Pani Gibson, Helen mówiła, że zanim skończyła z nałogiem, przeżywała trudne chwile.

Annie Gibson skinęła głową, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Tak?

–Potem odnaleziono Teenie... Była przygnębiona, prosząc nas o wizytę – ciągnęłam, ważąc każde słowo. – Kiedy dowiedziała się, jak zginęły córki,

wspomniała, że przekaże to ich ojcom. Chciałabym wiedzieć, kto jest ojcem Teenie.

Annie Gibson pokręciła głową. Brązowe loczki ani drgnęły, trzymając się czaszki jak przyklejone.

–Obiecałam Helen, że nigdy nikomu tego nie zdradzę. Nie pozwoliła mi nawet powiedzieć Teenie.

–A Teenie pytała? – Błogosławiłam brata za milczenie.

–Tak – odparła Annie bez wahania. – Pytała. Tuż przed śmiercią.

–Wygląda to na ważki sekret. Sama pani widzi. Zapytała i zginęła. Helen powiedziała, że zadzwoni do jej ojca i też ginie.

Annie Gibson wyglądała na zaskoczoną, jakby nieoczekiwanie skojarzyła te fakty.

–Ale to niemożliwe – szepnęła. – On nie miał powodu, by to zrobić.

–Musiał mieć. – Staralam się mówić łagodnie i rozsądnie. – Wyjawiłam Helen, że jej druga córka, Sally, także została zamordowana. Teraz nie żyją wszystkie trzy. A wszystkie wiedziały, kto jest ojcem Teenie.

–Teenie nie – zaprotestowała Annie. – Nie wiedziała. Nie powiedziałam jej. Obiecałam Helen, że tego nie zrobię. A wiem, że odkąd Teenie zaczęła podejrzewać, że Jay nie jest jej ojcem, wiele razy starała się tego dowiedzieć od matki.

–Jay? – wtrącił Tolliver.

–Mąż Helen. Ojciec Sally. Przyjechał na pogrzeb. Helen się z nim rozwiodła, ale chyba mimo to odziedziczył dom. Dzwonił do mnie rano.

–Gdzie się zatrzymał? – Ciekawe, czy uda nam się zamienić z nim kilka słów.

–Tam gdzie i wy. Ale nie dogadacie się z nim. Jay nie wziął przykładu z Helen, nadal pije. Musiała załatwić na niego nakaz sądowy, udało jej się, jak Sally miała dwa lata. Jay był przystojny, pochodził z przyzwoitej rodziny, ale nie był wart funta kłaków.

–Mamy doświadczenie z alkoholikami – powiedziałam.

–Ach, tak? – Przyjrzała mi się bacznie. – Tak mi się wydawało, że widzę u pani piętno.

–Piętno?

–Dziecka wychowanego przez alkoholików. Noszą to samo piętno. Dostrzegam je. Nie wszyscy to potrafią.

Najwyraźniej nie byłam jedyną osobą na tym świecie, posiadającą dziwny talent.

Wstaliśmy, a Annie pochyliła się w przód, żeby uczynić to samo. Rozejrzałam się po małym domku, zauważając porządne zamki w drzwiach. Niewątpliwie Annie ciągle miała jakieś towarzystwo. Znajomi i rodzina musieli ją odwiedzać często, a podczas naszej wizyty dwukrotnie dzwonił telefon. Nie odebrała, pozwalając, żeby dzwoniący nagrał wiadomość na sekretarkę.

Wydawało się, że Annie jest tu bezpieczna.

–Na pani miejscu – zaczęłam ostrożnie. – Wyjechałabym na kilka dni do Little Rock na zakupy albo coś.

–Grozi mi pani? – zareagowała błyskawicznie.

–Ależ skąd! Lubiłam Helen, choć ledwie ją znałam. Widziałam ją też po śmierci. Nie

chciałabym, żeby podobna rzecz przytrafiła się i pani.

–Wygląda na to, że jednak mi pani grozi – uparła się Annie. Z zaciśniętymi szczękami, przypominała bardzo zdeterminowanego mopsa.

–Przysięgam, że nie – powiedziałam tak szczerze, jak potrafiłam. – Po prostu martwię się o panią.

Ale ona nie chciała słuchać, więc równie dobrze mogłam sobie darować. Cokolwiek byśmy teraz nie powiedzieli, podsyciłoby tylko jej przekonanie, że chcemy ją skrzywdzić.

–Powinniście przyjść dzisiaj na koncert gospel i pośpiewać, żeby oczyścić umysły ze złych intencji – podsumowała, zatrzasnąwszy za nami drzwi.

–A mnie się wydawało, że Helen to twardy orzech do zgryzienia – mruknęłam. – Wszystko dlatego, że nie spotkałam wcześniej Annie Gibson.

Lunch zjedliśmy w McDonalddie, co było wyraźnym sygnałem, jak bardzo upadliśmy na duchu. Rodzice tak często karmili nas w dzieciństwie fast-foodami, że teraz ledwie znosiliśmy ich zapach. Gdy mieszkałam jeszcze z obojgiem rodziców w Memphis, mieliśmy gosposię, którą bardzo lubiłam. Nazywała się Marilyn Coachman i była surową Murzynką, której nikt nie ważył się odpyskować lub jej nie posłuchać. Odeszła, jak tylko zorientowała się, że moja matka bierze narkotyki. Ciekawe, gdzie jest teraz.

Popatrzyłam na frytki w zatłuszczonym kartoniku i odsunęłam je od siebie. Marilyn wspaniale gotowała.

–Musimy zjeść jakieś warzywa – powiedziałam.

–Ziemniaki to też warzywa – zauważył Tolliver. – A keczup robi się z pomidorów. Wiem, że technicznie rzecz biorąc to owoce, ale dla mnie to zawsze warzywa.

–Bardzo śmieszne. Mówię serio. Wiesz, że powinnam unikać takich świństw. Musimy poszukać dla siebie domu. Nauczę się gotować.

–Poważnie? – Jak najbardziej.

–Chcesz kupić dom?

–Rozmawialiśmy o tym.

–Tak, ale nie sądziłem... Mówiłaś poważnie? – Jak najbardziej. – Poczułam się głęboko urażona. – Ale ty najwidoczniej nie.

Tolliver odłożył Big Maca, wycierając palce w serwetkę. Obok nas przeszła kobieta niosąca na ręku dziecko. W drugiej trzymała tacę z jedzeniem i napojami. Tuż za nią podążał chłopiec, może pięcioletni. Postawiła tacę na stoliku obok, posadziła dzieci i zaczęła rozkładać jedzenie. Wyglądała na

znękaną. Pomimo chłodu miała na sobie tylko koszulkę bez rękawów. Co chwilę poprawiała zsuwające się ramiączka stanika.

Uwaga Tollivera skupiała się na mnie.

–Nadal myślisz o Dallas?

–Lub okolicy. Moglibyśmy znaleźć jakiś mały domek, może w Longview albo bliżej. Gdzieś na północ od Dallas. Mieszkalibyśmy nawet bardziej w centrum, niż w przypadku Atlanty.

Patrzył mi prosto w oczy.

–Mariella i Grace mieszkają niedaleko Dallas – zauważył.

–Może kiedyś zmienią o nas zdanie.

–Może. Nie warto tłuc głową w mur.

–Pewnego dnia zrozumieją.

–Myślisz, że ci ludzie pozwolą nam je widywać?

Mariella i Grace mieszkały z siostrą mojego ojczyma i jej mężem. Ciotka Tollivera nigdy nie interesowała się mną, Cameron, ani nawet własnymi bratanekami. Ale kiedy nadszedł koniec, gdy po porwaniu Cameron pracownicy socjalni dowiedzieli się, w jakich żyjemy warunkach, zostałam oddana do rodziny zastępczej, zaś Tolliver zamieszkał z bratem. Wśród rozgłosu, zaprzeczając, jakoby wiedzieli, jak nisko stoczyła się moja matka, ciotka Iona i Hank rzucili się, by ratować biedną Mariellę i małą Grace.

Po dwóch miesiącach pod jej dachem nasze siostrzyczki, które zawsze postrzegały nas jako wybawicieli i obrońców, zaczęły reagować, jakbyśmy byli trędowaci.

Najbardziej wstrząsające z przykrych wspomnień tamtego okresu, to obraz Grace krzyczącej: „Nie chcę cię więcej widzieć!”

–To nie ich wina – powtórzyłam po raz tysięczny, siedząc w krzyczącym podstawowymi kolorami lokalu wypełnionym smrodem frytury. – Kochały nas.

Tolliver przytaknął – tak jak zawsze.

–Iona i Hawk przekonali je, że ponosimy odpowiedzialność za to, jak wyglądał nasz dom – powiedział.

–O ile można to nazwać domem – dodałam z goryczą, której mur odgradzał mnie od innych ludzi.

–Ona już nie żyje – rzekł bardzo cicho. – On może też.

–Wiem, wiem, przepraszam. – Machnęłam ręką, chcąc rozproszyc nawracający gniew. – Nie tracę nadziei, że dziewczynki kiedyś dorosną i inaczej na to spojrzą.

–Nigdy już nie będzie tak samo. – Tolliver był moim prorokiem. Zawsze mówił na głos to, o czym ja bałam się nawet pomyśleć. I miał rację.

–Pewnie nie. Ale kiedyś będą potrzebowały brata lub siostry, a wtedy zwrócą się do nas.

Wrócił do jedzenia.

–Czasami mam nadzieję, że nigdy – powiedział cicho, a ja nie mogłam znaleźć na to żadnej odpowiedzi.

Wiedziałam, co ma na myśli. Nie mieliśmy nikogo poza sobą. Nikogo, kim moglibyśmy się opiekować. Tylko siebie. Po latach ukrywania przed ludźmi rys na obrazku naszej rodziny, troska tylko o jedną osobę wydawała się w porównaniu z tamtym czymś prostym. Czasami może czuliśmy nawet ulgę.

Przy stoliku pojawił się Hollis z torbą jedzenia w ręku.

–Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? Miałem zjeść w aucie, ale zauważyłem, że tu siedzicie. Wyglądacie na przygnębionych.

Mój brat spojrzał na niego nieprzychylnie. Hollis był na służbie. Świetnie prezentował się w mundurze. Uśmiechnęłam się, pochylając głowę nad resztkami

jedzenia.

–Chcielibyśmy wyjechać, ale nie możemy, zanim szeryf nie pomacha nam na do widzenia – powiedział Tolliver ironicznie.

–Jak było w domu pogrzebowym? – Hollis rozsądnie zignorował tę uwagę.

Powiedziałam, że Helen musiała znać zabójcę, ufała mu, czyli nic nowego. W jej domu było czysto, na tyle, jak czysto może być na miejscu brutalnej zbrodni. Nikt się nie włamał, nikt nie przeszukiwał rzeczy.

–Ten ktoś miał długie rękawy. Nie mundur.

–Tylko tyle?

„Nie, odesłałam jeszcze duszę Helen do nieba”, chciałam powiedzieć, ale jest wiele rzeczy, których lepiej nie mówić, a ta była jedną z nich.

–Hollis... Słyszałam, że Helen sądownie pozbyła się z domu męża, Jaya, to prawda?

–Tak, Jay był pijakiem, podobnie jak Helen, przynajmniej wtedy. Na nasz ślub też przyszedł na gazie. Mój wujek musiał go wyprowadzić z kościoła, bo zaczął rozrabiać. Sally była strasznie skrępowana. – Potrząsnął głową na to wspomnienie. – Ktoś wspominał, że przyjechał do miasta. Helen musiała napisać testament. Jay odziedziczył dom i niewielką kwotę, którą Helen miała na koncie.

–Dlaczego Helen miałyby zostawić wszystko komuś, kto ją tak traktował? – Taka decyzja nie pasowała mi do kobiety, którą spotkałam.

Hollis odchrząknął.

–Hm, cóż, może była mu wdzięczna, że uznał Teenie.

–Nie wiadomo, kto był jej prawdziwym ojcem?

–Nie, ale musiał istnieć chociaż cień podejrzenia, że jest nim Jay. Nigdy nie zrobili testów. Jay zachowywał się, jakby Teenie była jego rodzoną córką, a Helen umieściła w papierach jego nazwisko, więc...

–Dlaczego miałyby przystać na coś takiego? – spytał Tolliver, nie podnosząc wzroku znad tacy. Miął opakowania, układając papierowe kulki jedną przy drugiej.

–Inaczej przyznałby, że nie potrafił dogodzić żonie – wyjaśnił Hollis, jakby to było oczywiste.

–Wolał uznać bękarta, niż przyznać, że żona spała z kimś innym? – Tolliver nie ukrywał sceptycyzmu.

–Poza tym postąpił jak gentleman. – Hollis patrzył na mnie, a ja czułam, że się rumienię. – Czasami mężczyźni potrafią zachować się przyzwoicie – rzekł bardzo, bardzo poważnie.

–Ale przyznając się do nie swojego dziecka, odmówił takiej możliwości innemu mężczyźnie – zauważyłam.

–Nikt nie ustawiał się w kolejce do przyjęcia tego honoru – odparł Hollis.

Aż nazbyt dobrze pamiętałam swoje czasy szkolne. Już wcześniej uderzyła mnie pewna sprawa i uznałam, że to dobry moment spytać o to Hollisa.

–Jednego nie rozumiem. Dellowi nie przeszkadzało, że chodzi z dziewczyną o tak złej reputacji? Pochodził z najlepszej rodziny w mieście, a przynajmniej jednej z najbogatszych. A jednak umawiał się z nieślubną córką alkoholiczki, z biedną, postrzeloną dziewczyną? – Uniosłam pytająco brwi, czekając na odpowiedź Hollisa.

Namyślał się przez chwilę.

–Nie obracali się w tym samym towarzystwie, póki Helen nie zaczęła pracować dla Sybil. Teenie przychodziła tam po szkole odrabiać lekcje. Wiem tylko tyle, że właśnie wtedy się spiknęli i od tamtej pory trzymali razem. Potem, kiedy rodzice Della zaczęli interweniować albo gdy Helen była w ciągu, Teenie wpadała w kłopoty. Robiła piekło, jak nie mogła się z nim spotkać.

Ciekawe. Informacje te co prawda nie przyczyniały się do wyjaśnienia czegokolwiek, ale były interesujące.

Złożyłam starannie papierki po hamburgerach i odłożyłam na naszą tacę.

–Czy zanim Helen uzyskała zakaz sądowy, Jay ją maltretował? Policja miała często zgłoszenia awantur domowych? Czy może podjęła taką decyzję pod wpływem jakiegoś jednego wydarzenia?

–Tej historii nie znam. To było zanim zacząłem pracować w biurze szeryfa. Musiałabyś zapytać kogoś starszego. Na przykład tego, który prowadzi wasz motel, Vernona McCluskeya. On powinien wiedzieć.

Jeśli to ten starszy chudy facet z recepcji, to mieliśmy małe szanse na rozmowę. Wyraźnie dał nam do zrozumienia, że nie życzy sobie naszej obecności.

Tolliver wstał, żeby wyrzucić resztki do kosza. Jedna z kelnerek, na oko dwudziestopięcioletnia, śledziła go zza kasy roznamiętnionym wzrokiem. Niska, przysadzista, nie wyglądała dobrze w mcdonaldsowym uniformie. Ale musiałam przyznać, że miała przepiękną cerę – coś, na co Tolliver strasznie leci – może dlatego, że sam ma twarz poznaczoną bliznami po trądziku. Myślę, że gdyby

ktoś zapytał Tollivera, co pociąga go u kobiet, nie wymieniłby gładkiej cery, ale zauważyłam, że wszystkie dziewczyny do których uderzał, miały właśnie piękną skórę.

Jednak ta czekała daremnie, bo Tolliver nie zaszczycił jej spojrzeniem. Poszedł do toalety, a tymczasem Hollis zapytał, czy spotkamy się wieczorem.

–Moglibyśmy iść na gospel. Będą śpiewali na skwerze przed gmachem sądu. To ostatni koncert w sezonie. Pewnie nie będzie wielu turystów, spodoba ci się.

–Tak sądzisz? – Pomyślałam o poradzie Annie Gibson i poczułam jego dużą dłoń na mojej.

–Proszę. Chciałbym się z tobą zobaczyć. Chciałam mu powiedzieć wiele rzeczy, ale nie zrobiłam tego.

–Dobrze – zgodziłam się w końcu. – O której?

–Pójdziemy wcześniej coś zjeść, dobrze? Przyjadę o wpół do siódmej. – Wstał, gdy jego radio zaskrzeczało i pożegnał się ze mną pośpiesznie, wyrzucając resztki z tacy do kubła przy drzwiach. Wychodził, mówiąc do

nadajnika przyczepionego na ramieniu.

Tolliver wrócił, poruszając zamasyżycie rękami.

–Nie znoszę tych suszarek – prychnął. – Wolę ręczniki jednorazowe.

Spojrzałam na niego z irytacją. Słyszałam te narzekania po raz tysięczny.

–Wytrzyj ręce o spodnie – poradziłam.

–Co, kolejna randka z kochasiem?

–Daruj sobie – fuknęłam. – Ale w rzeczy samej, tak.

–Może to on namówił szefa, żeby nie pozwolił nam wyjechać? Chce cię mieć dłużej dla siebie.

Powiedział to z taką powagą, że przez moment sama zastanawiałam się, czy to możliwe, ale zaraz dostrzegłam jego uśmieszek. Kuksnęłam go lekko i wstałam, zabierając torebkę.

–Bałwan.

–Idziecie popatrzeć, jak się zwija asfalt po sezonie?

–Nie, idziemy na gospel. Tolliver uniósł brwi.

–Mają dzisiaj zakończenie sezonu – dodałam poważnie, a brat wybuchnął śmiechem.

Sama byłam tym trochę skrępowana.

–To miły facet. Lubię go – powiedziałam, gdy wracaliśmy do motelu.

–Wiem – odrzekł Tolliver. – Wiem, że go lubisz.

Rozdział dziewiąty

Siedząc już w pokoju motelowym, zastanawialiśmy się, jak podejść odpowiednio Vernona McCluskeya. Przemalowywałam paznokcie u stóp, tym razem na brązowo, zaś Tolliver rozwiązywał krzyżówkę z niedzielnego „New York Timesa”. Wiedziałam już, co kupię Tolliverowi na gwiazdkę – jakąś książkę z hebrajskim alfabetem. Według Tollivera, w krzyżówkach ciągle występują nazwy hebrajskich liter, a on nie ma o nich pojęcia. Może kupię mu też atlas? Wtedy sam sobie będzie mógł sprawdzić „rzekę na Syberii”, zamiast pytać o to mnie.–Po co mamy rozmawiać z tym dupkiem? – narzekał Tolliver. – Jasno dał nam do zrozumienia, że chce się nas jak najszybciej pozbyć. Naprawdę musimy wiedzieć, jak wyglądało życie małżeńskie Helen Hopkins? Nie możemy po prostu spokojnie czekać, aż szeryf nas puści? Przecież nie może nas tu wiecznie trzymać. Jeden telefon do prawnika i już nas nie ma.

Zerknęłam na brata z pędzelkiem zawieszonym nad małym palcem.

–Nie chcemy, żeby zapamiętano nas tu jako osoby, które puszczono tylko dlatego, że nic nie można było na nie znaleźć, prawda? Wiesz, jak to działa. Ludzie będą dzwonić do Branscoma, żeby zapytać jak się sprawiliśmy. I dowiedzieć się, czy współpracowaliśmy. Musimy robić wrażenie, że traktujemy

go poważnie i zależy nam na odkryciu prawdy. Że to dla nas ważne.

–A jest ważne? – Rzucił ołówek na magazyn z krzyżówkami. – Dla ciebie chyba tak.

Zawahałam się, zaskoczona jego oskarżycielskim tonem.

–Przeszkadza ci to?

–Zależy dlaczego to dla ciebie takie ważne. – Polubiłam Helen Hopkins – powiedziałam ostrożnie. – Więc owszem, nie podoba mi się, że ktoś jej rozwalił głowę. I nie podoba mi się, że dwoje nastolatków zostało zastrzelonych gdzieś w lesie i że ludzie podejrzewają chłopaka o morderstwo i samobójstwo. Bo to nieprawda.

–Wydaje ci się, że oni chcą, abyś znalazła sprawcę? – Oni?

–Martwi.

Wzdrygnęłam się wewnętrznie.

–Nie – odparłam. – Absolutnie. Śmierć to śmierć i ja wiem o tym najlepiej. Po niej nie ma już żadnego chcenia. No, może w przypadku Helen było inaczej, ale i ona już odeszła.

–Nie czujesz się zobligowana? Pomalowałam paznokiec małego palca.

–Nie. Zrobiliśmy to, za co nam płacą. Nie chciałabym, żeby morderca się wykręcił, ale nie jestem gliną. – Natychmiast pożałowałam ostatniego zdania.

Tolliver podniósł się raptownie.

–Idę umyć auto. Gdzieś w centrum musi być jakaś myjnia. Przy okazji zatrzymam się w recepcji i wypytam McCluskeya. To dobry pretekst. Będę za pół godziny.

–Dobra. Nie wolisz, żebym to ja z nim pogadała?

–Nie. Dla niego jesteś diabłem wcielonym, no nie? A ja tylko pomocnikiem diabła.

–Fakt, dzięki. – Uśmiechnęłam się lekko. – Chcesz iść dzisiaj ze mną i Hollisem na kolację?

–Nie, Harper. Choć raz zabaw się jak normalna dziewczyna.

Raczej nie mówię tego szczerze.

–Co masz na myśli?

–Myślałaś kiedyś, żeby osiąść w takim miasteczku? Rzucić to, co robimy, znaleźć stałą pracę?

Oczywiście, że tak.

–Nie. Nawet mi to przez głowę nie przeszło.

–Kłamczucha. Mogłabyś naprawdę związać się z kimś takim jak Hollis. Pracować w sklepie albo jakimś biurze. Z żywymi ludźmi.

Odwróciłam wzrok.

–A ty umawiać się z setkami Janin albo nawet poczekać aż Mary Nell dorośnie – skontrolowałam. – Zatrudnić się w markecie budowlanym. Szybko awansowałbyś na kierownika działu.

–Myślisz, że naprawdę moglibyśmy to zrobić? Wiedziałam, że nie chodzi mu o to, czy mamy taką opcję, bo mieliśmy, tylko o to, czy potrafilibyśmy mieszkać w jednym miejscu, jak zwykli obywatele.

–Gdybyśmy się bardzo postarali – rzuciłam obojętnie.

–Kupno domu mogłoby być pierwszym krokiem.

Wzruszyłam ramionami.

–Owszem.

Bardzo cicho zamknął za sobą drzwi.

Nie rozmawialiśmy dużo o przyszłości.

Oczywiście miałam mnóstwo okazji, by o niej myśleć. Dużo czasu spędzaliśmy w drodze. Zwykle jadąc, słuchaliśmy audiobooków, ale nie dało się uniknąć dłuższych okresów ciszy.

Jednak najwięcej myśli poświęcałam przeszłości, choć nie chciałam się nimi dzielić z Tolliverem. Staralam się nie rozdrapywać ran, wspominając o szarej codzienności naszego nędznego życia w Texarkanie. Może nie dotknęłoby mnie to wszystko tak bardzo, gdybym na początku nie była wychowywana pod kloszem. Ale degradacja z rozpieszczonej księżniczki do zaniedbanej dziewczyny, której dziewictwo przelicza się na działki prochów, była zbyt szokująca, zbyt nagła. Nie miałam czasu, aby powoli dojrzeć. Obrosłam tylko kruchą skorupą, zamiast sukcesywnie wzmocnić się i okrzepnąć.

–Pieprzenie – zakląłam na głos. – Do diabła z tym. – Odepchnęłam od siebie złe wspomnienia i włączyłam telewizor. Tym razem paznokcie dobrze wyschły i wyglądały ślicznie.

Tolliver wrócił około czwartej, znacznie później niż się spodziewałam. Kiedy wszedł, poczułam woń alkoholu i seksu. Okej, powiedziałam sobie. Spokojnie. Tolliver nie pił nigdy dużo i tym razem także nie był pijany. Ale znaczący był sam fakt, że pił tak wcześnie piwo i zaliczył gdzieś szybki numererek – wiedząc, że się niepokoję.

–Samochód czysty – oświadczył. – I rozmawiałem z tym byłym gliną McCluskeym. To niewątpliwie najbardziej odrażający facet, z jakim miałem nieprzyjemność gadać.

–To świetnie, jeśli chodzi o auto. – Ucieszyłam się, stwierdzając, jak spokojnym tonem mówię. – Co powiedział McCluskey? Coś ciekawego?

–Wieki minęły zanim go urobiłem i przeszedłem do clou.

–To twój sposób budowania napięcia? Ta gadka o tym, jakim to strasznie trudnym zadaniem cię obciążyla?

–Żebyś wiedziała. Nieźle się napracowałem, żeby zdobyć te informacje.

–Uhm.

–I oczekuję, że to docenisz.

–Och, ależ doceniam.

–Czyżbym słyszał sarkazm?

–Boże uchowaj!

–W takim razie podzielę się z tobą zdobytą wiedzą.

–No?

Tolliver rozwalił się na moim łóżku z rozrzuconymi ramionami.

–McCluskey... Wspominałem, że to obrzydliwy gość? McCluskey uważa, że jestem twoim ochroniarzem i bardzo chciał wiedzieć, jak udaje mi się znieść towarzystwo osoby bez wątpienia naznaczonej przez szatana.

–Taak? A myślałam, że dobrze się umyłam.

–Przegapiłaś pewnie smołę za uszami.

–Och, przykro mi.

–Cóż, jego zdaniem wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z kontaktem ze zmarłymi albo widzeniem duchów jest wielkim grzechem, a każdy, kto twierdzi, że potrafi coś takiego jest...

–Niech zgadnę. Złem wcielonym.

–Skąd wiedziałaś? Niesamowite! Strzał w dziesiątkę!

–Ślepy traf.

–W każdym razie – ziewnął Tolliver – słyszał o twoich porannych przejściach i choć uważa, że młodzieniec nie powinien atakować kobiety, myśli również, że nastraszenie cię było dobrym uczynkiem.

–O rany, powinnam smarkaczom podziękować.

–Nie zgodziłem się z nim. – Tym razem zabrzmiało to poważnie. – Powiedziałem, że jeśli jeszcze raz zdarzyłoby się coś podobnego, byłbym zmuszony wykorzystać moje nieprawdopodobne umiejętności nabyte na obozie przetrwania dla jednostek specjalnych.

–Jakim obozie przetrwania dla jednostek specjalnych?

–No na tym, na którym szkolą się szczególnie bezwzględni, śmiertelnie niebezpieczni ochroniarze.

–Ach, tym.

–Właśnie. Chyba łyknął przynajmniej część tej historyjki, bo zapewnił mnie, że skoro szeryf był tak rozwścieczony tym, że ktoś ci groził, to nic złego w Sarne cię nie spotka.

–Dobrze wiedzieć. Naprawdę.

–To samo stwierdziłem. Myślisz, że możesz się bezpiecznie pokazać wieczorem w mieście?

Poderwałam głowę i spojrzałam na Tollivera oszołomiona.

–Nie mówię tego, żebyś nie szła – zapewnił mnie pospiesznie. – W końcu będziesz pod opieką Pana Przyjaznego Policjanta. Przypominam ci tylko, że to ortodoksyjna społeczność i nie podobają im się twoje zdolności.

Przez chwilę starałam się rozważyć radę Tollivera, trzymając język na wodzy, ale nie wytrzymałam – Jak ty wrywasz się na szybkie bzykanko w trakcie mycia auta to jest dobrze, ale jak ja idę na koncert gospel, to już nie? – wyrwało mi się.

Tolliver poczerwieniał.

–Po prostu nie chcę, żeby ci się coś stało – rzekł spokojnie. – Pamiętasz, co było w Zachodniej Wirginii.

W Zachodniej Wirginii mieszkańcy małej wioski obrzucili nasz samochód kamieniami.

–Pamiętam. Ale to była mniejsza społeczność i miała silnego lidera, który znienawidził mnie od pierwszego wejrzenia.

–Mówisz, że w Sarne nie ma tak zjednoczonego frontu przeciw tobie?

Przytaknęłam.

–Możliwe. Ale nie zniósłbym, gdyby coś... – urwał.

–Nie chcę wystawiać się na cel jakichś ataków. Absolutnie. Ale nie zamierzam też ukrywać się w pokoju motelowym.

–No i chcesz się spotkać z Hollisem.

–Owszem.

Nie patrzył na mnie przez chwilę.

–W porządku – zgodził się niechętnie. – Przyda ci się odmiana. Baw się dobrze.

Nie chciałam się wyróżniać strojem, ale z drugiej strony stwierdziłam, że zbyt powszedni może być poczytany za lekceważenie. Długo zastanawiałam się, co włożyć na koncert gospel pod gołym niebem. W końcu zdecydowałam się na zestaw moim zdaniem neutralny – płócienne spodnie, bliźniak z dzianiny i mokasyny. W ostatniej chwili narzuciłam cieplejszą marynarkę. Hollis miał na sobie dżinsy, koszulę, z najmiększego, najdrobniejszego sztruksu, jaki w życiu widziałam, oraz, podobnie jak ja, marynarkę. I, co mnie zaskoczyło, kowbojki.

–Fajne buty – zauważyłam.

Spojrzał na buty, jakby po raz pierwszy je zobaczył.

–Czasem jeżdżę konno. Lubię je.

Zapytał, jak czuję się po porannym incydencie, a ja odpowiedziałam, że

dobrze i nie ma o czym mówić. Kłamałam, jeśli chodzi o samopoczucie; ale to, że nie chciałam o tym mówić, było stuprocentową prawdą.

Wokół placu parkowało mnóstwo samochodów. Na cześć turystów zapalono oryginalne lampy uliczne – były urokliwe i nadawały okolicy wrażenie dobrobytu. Rozległy trawnik przed gmachem sądu zastawiono różnego rodzaju rozkładanymi krzesłami. W zbierającym się tłumie biegały podekscytowane, rozkrzyczane dzieci. Ponieważ sama byłam przyjezdna, nie potrafiłam odróżnić liściowców od tubylców, ale Hollis powiedział mi, że dwie trzecie zebranych to mieszkańcy.

Na niskiej scenie ustawionej przed sądem piętrzył się sprzęt pierwszego z występujących chórów. Kobieta w długiej spódnicy z szerokim turkusowym pasem, z poważną, skupioną miną stroiła gitarę. Siwe włosy sięgały jej do pasa. Na twarzach stojących za nią chórzystów – czterdziesto, pięćdziesięciolatków – malował się ten sam wyraz profesjonalnej koncentracji.

–To Roberta Moore i jej Sons of Grace – powiedział Hollis. – Są z Mountain Home.

–Jak wiele chórów będzie śpiewało?

–Zobaczymy, kto przyjechał. Czasem jest ich sześć, siedem, ale dzisiaj, poza tym, widziałem tylko trzy. To Bobby Tatum, jest solistą.

Bobby był młodym mężczyzną w kowbojskim kapeluszu, misternie zdobionej kowbojskiej koszuli, kowbojskich butach i oczywiście kowbojskiej kurtce. Jego gładko ogolona twarz promieniowała zapalem. Rozmawiał z gromadką dziewcząt, mniej więcej w wieku Mary Nell, które reagowały chichotem na każdą jego wypowiedź.

Inni uczestnicy koncertu byli podobni do grupy Roberta Moore. Obrzuciłam spojrzeniem kosztowny sprzęt złożony za sceną. Byłam zaskoczona. Żadnej bylejakości i amatorszczyzny. Ciludzie znali się na rzeczy.

Zmrok zgęstniał, a wtedy Hollis wyciągnął z samochodu koc i przysunął się z krzesłem, żebyśmy mogli okryć się nim oboje. Terry Vale wstąpił na scenę z kilkoma ogłoszeniami. Nie przypominał tego nerwowego mężczyzny, którego poznałam w biurze szeryfa – był radosny i zrelaksowany.

–Kierowcę jasno-beżowego Chevy Ventury, blokującego podjazd przy aptece Martina, zawiadamiamy, że przy okazji zablokował Martina, któremu spieszy się do domu. Jeśli rzeczony kierowca nie chce, aby jego samochód odholowano, niech lepiej pędzi tam z przeprosinami na ustach. – Tłum zafalował ze śmiechem. Speszony młodzieniec z rzadkim wąsikiem podniósł się z krzesła i ruszył w kierunku apteki. Po kilku jeszcze komunikatach, w tym przypomnieniu o pozbieraniu swoich śmieci po koncercie, Terry przy wtórze oklasków

zapowiedział występ Roberty Moore i jej Sons of Grace. Siwa kobieta, nie przestając stroić gitary, machinalnie skinęła publiczności. Po chwili dała znać orkiestrze i zaczęła śpiewać.

Byłam zafascynowana. Ci ludzie, na co dzień zapewne aptekarze, operatorzy maszyn rolniczych czy farmerzy, wieczorem zamieniali się w utalentowanych muzyków. Zrobili na mnie ogromne wrażenie. Nie znałam co prawda żadnej z tych pieśni, ale gdzieś w głowie majaczyła mi melodia jednej czy dwóch zasłyszanych w dzieciństwie. Czyste nocne powietrze rozbrzmiewało dźwięcznymi, donośnymi głosami. Od czasu do czasu jeden ze śpiewaków mówił: „A teraz wasza ulubiona, znacie ją, śpiewajcie z nami”. Ale z tego co wiedziałam, żadna z nich nie była ulubioną pieśnią moją, moich rodziców czy nawet dziadków i po raz kolejny zdałam sobie sprawę, jaką jestem ignorantką. Refleksje takie nachodziły mnie nie po raz pierwszy i zapewne nie ostatni.

Hollis także śpiewał „The Old Rugged Cross”. Zaskoczyło mnie, że ma taki miły baryton.

Właśnie zaczynałam myśleć, że już za bardzo przemarzłam na słuchanie kolejnych występów, gdy Hollis wyczarował termos z czekoladą. Z radością wypiliśmy kubek gorącego napoju. Czułam się taka odprężona. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, co cieszyło mnie jeszcze bardziej. Ciepła, sucha dłoń Hollisa otaczała moją, a czekolada była wyśmienita.

Koncert trwał dość długo, a gdy dobiegł końca, ludzie zaczęli zbierać koce i krzesła. Śpiące dzieci, z głowami spoczywającymi na ramionach rodziców, odnoszono do samochodów. Zabrałam koc i termos, zostawiając Hollisowi niesienie krzeseł. Po drodze, wpadłam niespodziewanie na Sybil Teague. Podobnie jak ja trzymała w ręku koc, zaś mężczyzną podążającym za nią z krzeselkami był Paul Edwards.

Nie wiem, kto z nas był bardziej zaskoczony.

–Nie miałam pojęcia, że jeszcze jesteście w mieście – stwierdziła Sybil. Wyróżniała się z tłumu nieco bardziej luksusową odzieżą. Podobnie jak Paul zresztą.

–Szeryf chciał, żebyśmy jeszcze zostali. Moim zdaniem Sybil wiedziała, że jeszcze nie wyjechaliśmy, musiała także słyszeć o porannym wydarzeniu, szczególnie, że prowodyr zajścia tak interesował się jej córką. Uznałam, że zaskoczyła ją po prostu moja obecność w tym miejscu. Paul Edwards nie zadał sobie trudu, by mnie czarować czy nawet przywitać. Stał w milczeniu za Sybil, z dwoma krzesłami na plecach.

–Nie rozumiem czemu. Przykro mi, że spotkały was takie, hm, niedogodności. – Wyglądało na to, że nie bardzo wie jak zakończyć to

przypadkowe spotkanie, ale odezwała się moja małość i nie zamierzałam jej nic ułatwiać. – Może wpadniecie do mnie jutro na lunch? – zaproponowała, jak sądzę, z braku innego pomysłu. – Pani i brat. W południe, dobrze? Wiecie, gdzie jest mój dom?

–Dziękuję. Na pewno nie będziemy mieli kłopotu z jego znalezieniem. – Uśmiechnęłam się bardzo oszczędnie i lekko skinęłam głową, a potem oddaliśmy się z Hollisem w stronę samochodu.

Usłyszałam pokasływanie i zdałam sobie sprawę, że Hollis stara się po prostu nie roześmiać w głos.

–Co z tobą? – spytałam, sama uśmiechając się pod nosem.

–Nie wiedziała, jak z tego wybrnąć.

–Wcale nie. Czuje się zobowiązana w stosunku do osób, które najmuje do pomocy.

–Mogłaś pomóc jej bardziej – powiedział, ale towarzyskie dylematy Sybil chyba nie leżały mu zbyt na sercu.

–Stwierdziłam, że sama sobie da radę. I miałam rację, jak widziałeś.

Wrzuciliśmy rzeczy na pakę pickupa. Kiedy wsiadałam do kabiny, Hollis objął mnie w pasie i podsadził. Niepotrzebny, aczkolwiek miły gest.

Po dotarciu do motelu zaprosiłam go do pokoju.

–Zawsze chciałem kochać się w motelu – oświadczył.

–Dobrze się składa... Bo to mój cel: poszerzanie twoich horyzontów.

Łóżko motelowe okazało się dużo przyjemniejsze, gdy znajdował się w nim ktoś, do kogo można się było przytulić.

Rozdział dziesiąty

Hollis wymknął się o piątej nad ranem, szepcząc, że musi wrócić do domu, wziąć prysznic i jechać do pracy. Pocałował mnie, a ja przylgnęłam do niego na moment, żałując, że musi już iść. Choć brakowało mu finezji i w miłości, i w rozmowie, nie przeszkadzało mi to wcale. Był ciepły, duży i chrapał cicho. Wywoływał we mnie uczucie błogości. W łóżku przypominał wielkiego, pełnego entuzjazmu miśka. Nie miałabym nic przeciwko, żeby spędzić z nim dużo więcej nocy.

Myśl ta otrzeźwiła mnie błyskawicznie.

Bardzo rzadko łąduję z kimś w łóżku. Po pierwsze dlatego, że jestem świadoma krótkotrwałości takiego związku. W przelotnych przygodach chodzi raczej o podrapanie swędzącego miejsca, więc wolę zrobić to we własnym zakresie, niż werbować do tego żywe dildo. Och tak, wiem, że dorośli, świadomi ludzie nawet w jedną noc potrafią dać cząstkę siebie; wiem, że nie musi być to tandetne i powierzchowne. Ale zwykle właśnie tak to wygląda; pozostawia we

mnie niesmak i uczucie rozczarowania samą sobą, bez względu nato, jak satysfakcjonujący fizycznie był sam akt.

No i druga kwestia. Spędziłam z Hollisem zaledwie dwie noce, a już odkryłam w sobie pragnienie, żeby trwało to dłużej. Jednak aż nazbyt dobrze zdawałam sobie sprawę, że mój tryb życia uniemożliwia coś takiego.

Dla Tollivera było to chyba łatwiejsze. Nawiązywał kontakt wzrokowy z kobietą, ona zgadzała się na seks, a potem odchodziła, od początku świadoma, że ten facet zniknie z jej życia tak szybko, jak nagle się pojawił. A może niektóre myślały: „Będzie nam tak dobrze, polubi mnie tak bardzo, że odeśle siostrę i zostanie ze mną na dłużej”? Nie wiem, trudno mi wyrokować, jak myślą inne kobiety, bo od lat nie miałam przyjaciółki. Ale może kiedyś uda mi się taką znaleźć.

Pomimo tych dylematów zasnęłam znowu, ale już o siódmej znalazłam się pod prysznicem. Ostrożne pukanie Tollivera zastało mnie już całkowicie ubraną. Rozejrzał się po wejściu i odprężył, widząc, że jestem sama.

–Jak koncert? – zapytał.

–Niesamowity. Spodobałoby ci się. – Nie spytałam, jak on spędził wieczór. – Idziemy na śniadanie?

–Tak. Co powiesz na Denny's*? [*Sieć barów (przyp. tłum.)]

–Może być.

Talerz owoców w Denny's dobrze mi zrobi. Jak wiele osób, które przeżyły porażenie pioruna, cierpiałam na silne bóle głowy, a moja prawa noga była słabsza od lewej. Udawało mi się zmniejszyć częstotliwość występowania tych dolegliwości, unikając smażonego jedzenia i skrobi. Nasz wczorajszy lunch w McDonaldzie był poważnym odstępstwem, na którego efekty nie musiałam długo czekać. Przez całą noc miałam skurcze w nodze. Na szczęście Hollis nic nie zauważył, ale czułam się na tyle niepewnie, że zrezygnowałam z porannego biegania.

–Ach, mamy zaproszenie na lunch – oznajmiłam Tolliverowi, zapinając pasy. Dzień był pochmurny i chłodny. Niedługo nadejdzie pora burz i silnych wiatrów, które zmiotą z drzew wszystkie te piękne liście. Sarne zwinie tych kilka chodników, które zostawiło jeszcze dla liściowców. Mieszkańcy odwieszą do szaf kostiumy z epoki, zamkną stragany z owocami oraz kryształami i zaszyją się w domach na zimę.

–Do kogo? – Głos Tollivera wyrwał mnie z zamyślenia.

–Do Sybil Teague.

Opowiedziałam mu o niespodziewanym spotkaniu z Sybil i Edwardsem.

–Ciekawe – podsumował. – Ale zanim wejdziemy do baru, powiem ci, czego

dowiedziałem się wczoraj od Janine. To właśnie Edwards występował w imieniu Helen, gdy ubiegała się o sądowy zakaz zbliżania się, a potem był jej prawnikiem podczas rozprawy rozwodowej. Wcześniej reprezentował Helen i Jaya, gdy wnieśli pozew przeciw Terry'emu Vale'owi.

–A czym burmistrz im się naraził?

–Nie wiem, czy był wtedy burmistrzem. Jest właścicielem tutejszego sklepu z meblami i dywanami. Jay twierdził, że dywan, który u niego kupił, nie był plamoodporny, a Terry nie chciał uznać reklamacji.

–Hmmm. Nie wiem, jaki to ma związek. – Potrzebowałam kawy, zanim w ogóle zacznę myśleć.

–Taki, że Edwards może znać sekrety obu rodzin.

–Na przykład?

–Na przykład kto jest ojcem Teenie. – Ach.

–Może także znać przyczynę, dla której Dell i Teenie wybrali się tamtego dnia do lasu. Co mogło skłonić ich do pojechania w tamtą okolicę, na teren, który nie należy do żadnej z ich rodzin, w miejsce, gdzie zostali zamordowani?

–A do kogo należy ta ziemia?

–Nie wiemy.

–Możemy się tego dowiedzieć przed lunchem? – Jasne. W urzędzie hrabstwa. Ale po co?

–Żeby nie gnąć w motelu, kiwając się nad krzyżówką?

–Masz rację. Ustaliliśmy plan dnia.

Zaraz po śniadaniu zrobiliśmy pranie w pralni samoobsługowej „Sudsy Kleen” należącej (żadna niespodzianka) do Terry'ego Vale'a. Jego pracownica, pomarszczona starsza kobieta, dbała o wrzucanie odpowiednich monet do pralek i suszarek. Sprzedawała także małe pudełka detergentów oraz płatki zmiękczające do suszarek. Większość czasu siedziała za zdezelowanym kontuarem, ale z tego co widzieliśmy, na prośbę klientów prała też powierzona bieliznę i składała suche rzeczy. „Sudsy Kleen” było prężnym interesem, nie tylko samoobsługowym.

Ta starsza tęga kobieta świetnie wykonywała swoje obowiązki, ale robiła wszystko co tylko możliwe, by przy okazji zdobyć order najbardziej antypatycznego pracownika roku.

Początkowo, zwiedziona białymi loczkami i szydełkowym sweterkiem, sądziłam, że powinnam staruchę traktować z łagodną uprzejmością. Ale gdy poprosiłam o rozmienienie dolara na monety do suszarki, zatchnęła się, jakbym uczyniła jej nieprzyzwoitą propozycję. Przez chwilę stałam jak sparaliżowana, zastanawiając się, co też takiego zrobiłam. W końcu machinalnie wyciągnęłam

rękę z banknotem. Baba Jaga ujęła w palce dolara i przyjrzała mu się podejrzliwie. Pewnie uważała, że jestem fałszerzem. Następnie odliczyła powoli monety, rzucając mi nieufne spojrzenia, jakby posądzała mnie o zamiar dokonania napadu na jej kasetkę z pieniędzmi. Za każdym razem, gdy unosiła głowę, w jej okularach błyskało światło lamp. Wyglądało to tak, jakby miała bioniczne oczy. Wpół rozbawiona, wpół zła, wróciłam z bilonem do brata.

–Musisz ją poznać. Jest urocza – zauważyłam konwersacyjnym tonem, wrzucając ćwierćdolarówki do szczeliny w automacie.

Tolliver spojrzał w stronę wiedzmy i zaczął coś mówić, starając się jednocześnie powstrzymać uśmiech.

–Wiesz, tak wspaniale piorunuje wzrokiem – ciągnęłam. – Co za osobowość! Nie spotyka się już takich staruszek w dzisiejszych czasach.

–Ciii – syknął bez przekonania.

Trudno powiedzieć, czy mnie słyszała – napięcie odrazy widniejącej na jej twarzy nie zmieniło się ani na jotę. Czy jej nienawiść do nas miała jakieś osobiste podłoże? Czy po prostu odnosiła się z taką nieufnością do wszystkich nieznanym? Ciężko stwierdzić. Poza tym, było mi to chyba obojętne.

O tej porze w pralni nie było wielu klientów, więc szybko uwinęliśmy się z naszym praniem. Może Smoczyca odstraszyła wszystkich klientów, którzy obsługiwali się sami.

Następnym naszym przystankiem był plac w centrum. Urząd hrabstwa mieścił się w starym budynku sądu. Po raz pierwszy mieliśmy okazję zobaczyć go od środka. Nie myliłam się, wyobrażając sobie wysokie sufity. Przestronne pomieszczenia i ogromne okna wyraźnie wskazywały, że gmach wybudowano, zanim klimatyzacja stała się czymś powszechnym. Pokój, do którego weszliśmy, charakteryzował się dużą dysproporcją – odległość między podłogą a sufitem była zdecydowanie większa niż pomiędzy ścianami. Czułam się w nim nieswojo. Nie chciałabym pracować w takim miejscu.

Dwie urzędniczki bez wątpienia zdziwił widok obcych osób, ale starsza, pulchna, farbowana szatynka natychmiast wyszła zza biurka, podchodząc do kontuaru. Gdy zapytaliśmy o mapę hrabstwa, bez słowa wskazała ścianę za naszymi plecami.

–Żmija – szepnęłam do Tollivera, stojąc przed ogromną mapą hrabstwa Colleton. Kiwnął głową na znak, że rozumie, co chciałam powiedzieć. „Gdyby była żmiją, ukąsiłaby nas”. Usiłowałam zlokalizować miejsce, orientując się po dwóch głównych drogach, które krzyżowały się w Sarne, tworząc koślawe X, ale nadal błędziłam palcem, gdy Tolliver wskazał punkt, gdzie wysiedliśmy z samochodu, ruszając na poszukiwania Teenie.

Po sprawdzeniu różnych odnośników, ustaliliśmy która to parcela, a urzędniczka podała nam odpowiednią księgę. Według zapisów, właścicielem tej i kilku innych działek po obu stronach drogi, była firma Colleton County Land Development. Nic nam to nie mówiło. Tolliver zapytał więc urzędniczki, do kogo należy do przedsiębiorstwo.

–Ach... – Uśmiechnęła się do niego. – To spółka, którą założyli Paul Edwards, Terence Vale i Dick Teague. Przez lata wykupywali spore tereny, mając nadzieję, że Sarne stanie się kiedyś drugim Branson* [*Popularna miejscowość turystyczna w Ozark, st. Missouri. (przyp. tłum.)]. Osobiście nie sądzę, żeby do tego doszło.

–Ciągłe wypływają te same nazwiska – zwróciłam uwagę, gdy siedzieliśmy już w samochodzie.

–Tak to już bywa w małych miasteczkach z długą historią – stwierdził Tolliver. Faktycznie, to dość logiczny wniosek. – Nie musi to od razu czegoś oznaczać. Gdzie teraz?

Do redakcji gazety dotarliśmy przed dziesiątą. W komputerze znajdowały się wydania „Colleton Mountain Gazette” przynajmniej z ostatnich dziesięciu lat. Okazało się, że możemy przejrzeć numery archiwalne za darmo, na miejscu. To nieoczekiwane przychylne przyjęcie zgotowała nam dziewczyna mniej więcej w moim wieku, nowa reporterka, która liczyła, że przyda jej się to do jakiegoś artykułu. Dziewczyna, pyza o ciemnych włosach, miała na sobie ubranie koloru, który określiłabym jako kanarkowy. Nie jestem znawczynią mody i nie interesują mnie najnowsze trendy w tej dziedzinie, ale nawet ja uznałam, że to najgorszy z możliwych kolorów, jaki mogła wybrać. Ale najwyraźniej lubiła jaskrawości, sądząc po złotym łańcuszku i bransoletce oraz błyszczącej szmince, więc może kanarkowa barwa była częścią tego syndromu. Według tabliczki na biurku, nazywała się Dinah Trout. Zaproponowała nam kawę, przeszła obok nas kilkanaście razy więcej niż trzeba i podsłuchiwała każde nasze słowo. Mieliśmy dzisiaj wyjątkowe szczęście do kobiet, którym niełatwo było sprostać.

Postanowiliśmy bronić się przed nią, siadając przy komputerze na zmianę. Osoba, która nie czytała, brała na siebie odpieranie ataków nieprawdopodobnie ciekawskiej pani Trout. Mieszkańcy Sarne, którzy znali szczegóły mojej profesji, najwidoczniej nie podzielili się nimi z redaktorką, za co byłam im niezwykle wdzięczna.

Po godzinie zyskałam pewność, że przeczytałam wszystkie wzmianki dotyczące śmierci Della Teague, zniknięcia Teenie Hopkins oraz „tragicznego wypadku” Sally Boxleitner. Nie mogłam oderwać oczu od zdjęć sióstr. Fotografie zrobione za ich życia poruszyły mnie do głębi.

W domu Helen byłam zbyt przytłoczona ich ilością, żeby zwrócić uwagę na same postacie.

Siostry nie były do siebie podobne.

Rudawa, piegowata Sally sprawiała wrażenie sympatycznej dziewczyny o okrągłej buzi i szerokich ramionach. Nie widziałam w jej oczach czającej się obawy; żadnych znamion skrywanego cierpienia w postawie – nic, co wskazywałoby na to, że wie, jaki los ją czeka. Odnalazłam też zdjęcia ślubne (widok dużo młodszego Hollisa karmiącego ją tortem, zrobił na mnie upiorne wrażenie) oraz jedno pracownicze z Wal-Marta, gdzie kierowała działem niemowlęcym.

Teenie została ukazana na zdjęciu szkolnym – najsmutniejszy załącznik do nekrologu. Przesadziła trochę z przygotowaniami na wizytę fotografa. Uczesła włosy tak, że spływały, okalając jej twarz dwiema ciemnymi kaskadami. Po matce odziedziczyła ostre rysy, drobną budowę i prosty, wąski nos. Trudno było wyczytać jakieś cechy charakteru ze zdjęcia szkolnego. Uśmiechała się oczywiście, ale był to jedynie grymas do obiektywu – nie kryła się za nim prawdziwa radość. Wyglądała na tajemniczą, intrygującą dziewczynę; nic dziwnego, że pociągała Della.

Dell miał jasne włosy, podobnie jak matka. Jego zdjęcie, w stroju futbolisty, znalazłam w dziale sportowym. Na taki widok krajało się serce, nawet moje – uśmiechający się do aparatu chłopak, pełen witalności, młodzieńczej dumy i siły. Zastanawiałam się, czy wiedział, co się dzieje, czy strzał był dla niego zaskoczeniem, i czy miał szansę, by bać się o swoją dziewczynę. Emocje, które odebrałam, stojąc na jego grobie, wskazywały na to pierwsze. Było mi go naprawdę żal.

Spojrzałam ponownie na zdjęcie Della i znowu Teenie. I jeszcze raz. Coś łączyło tych dwoje. Sprawdziłam daty. Obie fotografie zrobiono na początku jesieni. Zbyt wcześnie, żeby Teenie mogła być już w ciąży. Jaki sekret dzielili? Postanowiłam wydrukować kilka artykułów, żeby zabrać je do motelu. Nagle uświadomiłam sobie, że zaczynam się zbyt angażować w minione sprawy tych nastolatków, teraz martwych i pogrzebanych.

Przeszukałam też pliki pod kątem Mary Nell. Znalazłam mnóstwo jej zdjęć – była cheerleaderką (to już wiedzieliśmy), przewodniczącą klasy, królową balów. Zerknęłam nawet na podobiznę Dicka Teague, zmarłego męża Sybil. Był nijakim mężczyzną – przeciętnego wzrostu, przeciętnej tuszy, miał przeciętne brązowe włosy, jasną cerę, wąskie ramiona, cofniętą żuchwę,

wydatny nos i nieśmiały uśmiech – przynajmniej na zdjęciach w gazecie. Zmarł nagle w domu, na zawał.

Niemniej jednak to przykre, że tak gwałtowna śmierć zakończyła życie człowieka, który tak wiele zrobił dla lokalnej społeczności – przynajmniej według nekrologu. Dick Teague pełnił funkcje sędziego hrabstwa. Należał do Klubu Lwów* [*Klub zrzeszający ludzi działających na rzecz lokalnych społeczności, którzy dbają o utrzymywanie porządku, niosą pomoc ofiarom klęsk żywiołowych, zbierają fundusze na pomoc zdrowotną, (przyp. tłum.)] oraz Klubu Rotariańskiego. Był członkiem Krajowej Izby Gospodarczej, zarządu Klubu Dziewcząt i Chłopców* [*Instytucje podobne do Domów Kultury, zajmujące się organizowaniem czasu dla dzieci i młodzieży. (przyp. tłum.)] oraz przewodniczącym miejscowej komórki Habitat for Humanity* [*Bezwyznaniowa chrześcijańska organizacja charytatywna działająca na rzecz bezdomnych rodzin z całego świata. (przyp. tłum.)].

Ciekawe czy Sybil przejęła jego zobowiązania obywatelskie. Raczej w to wątpiałam.

A propos Sybil... Zerknęłam na zegarek.

–Musimy się zbierać – zakomunikowałam Tolliverowi, który właśnie uśmiechał się do Dinah, możliwe, że ogłupiony blaskiem jej wielu lśniących atrybutów. – Możemy to sobie wydrukować? – zwróciłam się do kobiety tak, żeby wypadło to czarująco.

–Jasne, dwadzieścia pięć centów za stronę. – Widać byłam nie dość czarująca. – Nie chodzi o same artykuły, ale płacimy za toner.

To zrozumiałe. Staralam się utrzymać przyjemny wyraz twarzy przez cały czas, gdy drukarka wolno wypluwała strony.

Żegnając się, Dinah Trout zapewniała nas, że możemy przyjść do redakcji, kiedy tylko zechcemy – co, jak przypuszczałam, nie miało raczej nastąpić.

Nosiła obrączkę, więc wiedziałam, że Tolliver się z nią nie umówi, choć wysyłała wyraźne sygnały, że nie miałyby nic przeciwko temu.

Widząc, że się jej wymykamy, Dinah zadała jeszcze kilka pytań. Wykręciliśmy się od odpowiedzi mniej lub bardziej uprzejmie.

–Ozark rodzi kobiety o żelaznych charakterach – zauważyłam. Tolliver ponuro przytaknął.

Sybil okazała się najbardziej bezbarwną kobietą, z jaką przyszło mi rozmawiać tego dnia, choć w dziedzinie dbania o powierzchowność radziła sobie nieźle. W czerwonobiałym zestawie spódnica plus sweter, wyglądała naprawdę dobrze. Zastanawiałam się, czy należy do tych matek, które po śmierci dziecka likwidują jego pokój, czy też tych zachowujących go w stanie nietkniętym, jako małą świątynię. Dałabym głowę, że reprezentuje ten pierwszy rodzaj, ale

pomyliłam się. Zaraz po lunchu, wymówiwszy się potrzebą skorzystania z łazienki, wślizgnęłam się do pokoju chłopca, który okazał się nieco bardziej uporządkowany i czysty, niż można spodziewać się po nastolatku.

Ale jego ubrania wisiały w szafie, a na stoliku komputerowym nadal stało oprawione zdjęcie Teenie. Widząc je, zmieniłam trochę zdanie o Sybil.

Musiałam nieco zapracować na możliwość obejrzenia domu, ale na szczęście Sybil w swoim samouwielbieniu wzięła mój udawany cielecy zachwyt za dobrą monetę. Oprowadziła nas jak tylko wykazałam cień zainteresowania – bez żadnych „jesteśmy właśnie przed remontem” czy „wybaczcie bałagan”.

W domu panował idealny porządek, jak pewnie zresztą zawsze. Nawet pokój Mary Nell był nieskazitelny – żadnych ciuchów na podłodze czy rozgrzebanego łóżka. Łazienki wyszorowane, zawieszono świeże ręczniki. Jeśli Mary Nell poślubi jakiegoś tutejszego chłopca, niełatwo mu będzie zapewnić jej takie warunki.

Sybil zatrudniała oczywiście gosposię i to jej dziełem był ten porządek. Nie trudziła się prezentacją, ale starsza, mizerna kobieta w rozciągniętej koszulce i workowatych spodniach od dresu, przyglądała nam się z nieskrywaną ciekawością, gdy przechodziliśmy przez kuchnię. Przez okna dostrzegłam fragmenty ogrodu, na którym jakiś mężczyzna grabił i palił liście. Nie rozpoznałam rysów jego twarzy – znajdował się po drugiej stronie ogrodu, przy parkanie, czyli bardzo daleko. To nie był dom, a raczej rezydencja, przynajmniej jak na Sarneckie warunki.

Po raz kolejny zaczęłam się zastanawiać, jak Sybil przyjmowała fakt, że jej syn znalazł sobie dziewczynę z najniższej warstwy lokalnego społeczeństwa. Teraz, gdy zobaczyłam jak mieszka, jej wypowiedź o zaakceptowaniu Teenie jako przyszłej synowej uznałam za czyste bajdurzenie. Ciekawe jak daleko była gotowa się posunąć, aby dziewczyna nie złapała Della na dziecko – bo zapewne tak właśnie wyglądało to w oczach Sybil. Ale jakkolwiek rolę odegrała w sprawie śmierci Teenie Hopkins, nie ulegało wątpliwości, że bardzo kochała syna.

Mary Nell zastała nas przy stole w jadalni. Dziewczyna wpadła do domu krzycząc:

–Mamo, mam, popatrz na moją spódnice!

Ujrzawszy nas, spiekła raka. Nie wiem, czy zdenerwowała się widokiem Tollivera, czy przestraszyła, stając oko w oko ze mną po tym, jak jej wielbiciel usiłował wygnać mnie z miasta. Może i to, i to.

–Co ty tu robisz, Mary Nell? – zdumiała się Sybil. – Głupia Heather oblała mi spódnice swoim głupim napojem – poskarżyła się Nell, otrząsnąwszy z zaskoczenia. Wyciągnęła nogę, aby pokazać plamę na dżinsowej spódnicy. –

Poprosiłam panią Markham o zwolnienie na pół godzinki, żeby mogła się przebrać.

–Pani Markham prowadzi drużynę cheerleaderek – wyjaśniła Sybil. – Dobrze, to pędź na górę się przebrać – zwróciła się do córki. Równie dobrze mogła machnąć ręką mówiąc: „A sio!”. Zarumieniona Nell wybiegła. Wróciła po kilku minutach, ubrana w granatową bluzkę z długim rękawem i spódniczkę khaki. Mogłam się założyć, że poprzedni strój leżał teraz na podłodze w pokoju.

–Lecę, mamó! – zawołała, pędząc korytarzem do kuchni, gdzie znajdowały się drzwi do garażu. Przypuszczałam, że Nell do szkoły jeździ czymś szpanerskim i nie pomyliłam się. Rzeczywiście, chwilę później na żwirowy podjazd wytoczył się dodge dart.

–Jest bardzo aktywna w szkole – pochwaliła córkę Sybil.

–Która to klasa? – zainteresowałam się uprzejmie.

–Och, jeszcze tylko rok – westchnęła Sybil. – Później zostanę sama w tym wielkim pustym domu.

–Może pani ponownie wyjść za mąż – zauważyłam neutralnym tonem.

Sybil osłupiała na moment, być może zdumiona, że uczyniłam tak osobistą uwagę.

–No cóż, to niewykluczone – odparła sztywno. – Nie myślałam o tym.

Nawet przez moment w to nie uwierzyłam. Ze spojrzenia, jakie rzuciła jej zbierająca talerze gosposia, wynikało, że nie tylko ja. Lunch składał się z sałaty, zapiekanki z kurczaka i ryżu oraz mrożonej herbaty. Zjadłam tylko jedną porcję, bo siedziałam jak na szpilkach, myśląc, w jaki sposób dostać się do pokoju Mary Nell. Nie mogłam jednak po raz kolejny wykorzystać pretekstu z toaletą. Wyglądałoby to podejrzanie. Nie miałam też szans dać Tolliverowi znać, o co mi chodzi, zresztą tak czy inaczej mój brat nie potrafił zbyt dobrze kłamać.

W jadalni królował portret zmarłego męża Sybil. Siedziałam na wprost niego, więc miałam ponad trzy kwadransy na dokładne studiowanie oblicza Dicka i szukanie podobieństw w rysach jego dzieci, których wizerunki wisiały obok.

–To pani mąż? – spytałam, wskazując głową na obraz. Został chyba namalowany ze zdjęcia, ale był interesujący. Oczy Dicka lśniły jak żywe, a dzięki dobrze oddanemu napięciu w postawie miało się wrażenie, jakby mężczyzna zaraz miał wstać.

Odwróciła się do portretu, jakby zapomniała, że wisi na ścianie.

–Był zacnym człowiekiem – rzekła miękko. – Szalał za dziećmi. Przeszedł poważne zapalenie płuc.

Szczep bakterii okazał się oporny na antybiotyki, więc musiał przejść leczenie w szpitalu w Little Rock. Miał lekkie kłopoty z sercem, ale lekarze

uspokajali, że nie ma się czym martwić i że zajmą się tym po wyleczeniu infekcji. Ale pewnego popołudnia podczas rekonwalescencji w domu siedział w gabinecie nad dokumentacją medyczną z całego roku. Miał jakieś zastrzeżenia do naszego ubezpieczenia, uważał, że powinni zwrócić więcej kosztów leczenia, czy coś takiego. Nie pamiętam już dokładnie. To był jeden z tych okresów, gdy często korzystaliśmy z leczenia. Nell miała usuwane migdałki, a Dell niegroźny wypadek samochodowy. Kierowca wyszedł z tego ze złamaną nogą, Dell z urazem głowy i kilkoma zadrapaniami. Dużo krwi, ale po oczyszczeniu ran okazało się, że są lekkie. A mnie przy badaniach wyszedł wysoki poziom cholesterolu. Dick zebrał więc wszystkie papiery, żeby je przejrzeć i w trakcie tego... odszedł. Gdy wróciłam do domu na kolację, znalazłam go przy biurku, z głową na blacie.

–Współczuję – powiedziałam. Sybil przeszła swoje, musiałam jej to przyznać, bez względu na to, za jak zimną kobietę ją uważałam.

–A tak z ciekawości – odezwał się mój brat tonem, jakby temat, który chciał poruszyć, był logicznym następstwem tego, o czym rozmawialiśmy. – Dlaczego nie zgłosiła się pani do Harper wcześniej?

–Nie rozumiem? – Twarz Sybil pozostawała bez wyrazu.

–Dlaczego nie zatrudniła pani Harper zaraz po zniknięciu Teenie?

–Hm... Nie... Z początku byłam zbyt wstrząśnięta śmiercią syna, żeby myśleć o czymś innym. Prawdę mówiąc, w obliczu własnej żałoby nie bardzo mnie obchodziło, co stało się z Teenie – zdobyła się szlachetnie na wyznanie, dając nam do zrozumienia, że owszem, jest jej wstyd, ale co z tego?

–Oczywiście, to zrozumiałe – rzuciłam ot tak, żeby skłonić ją do kontynuowania.

–Ale gdy usłyszałam krążące po mieście plotki, że sprawiedliwość jest tylko dla bogaczy, że nikt nie szuka Teenie, bo była z biednej rodziny... W dodatku ludzie uważali, że Dell zrobił jej coś złego... Pewnej niedzieli jadłam z Terrym lunch w klubie i wtedy wspomniał mi o pani. Paul był temu absolutnie przeciwny, ale nie mogłam tak zostawić tej sprawy. Mogłam albo panią zatrudnić, albo sama ruszyć do lasu na poszukiwania. Wie pani, powinni byli od razu szukać z psami, ale nikt nie wiedział, że Teenie była wtedy z Dellem. Gdy go znaleziono, przyjęłam, że to samobójstwo. A Helen dopiero późno w nocy zorientowała się, że Teenie zniknęła. Lało wtedy jak z cebra. Gdy wznowili poszukiwania następnego dnia, chyba uznali, że deszcz zmył zapach. Nie pamiętam dokładnie, co się wtedy działo. Nie byłam w stanie śledzić rozwoju wypadków.

–Nie sprowadzili psów do szukania zwłok?

–To inne niż zwykłe tropiciele, tak? Nie, chyba nie. Helen doszła do wniosku,

że Teenie prawdopodobnie znajdzie się gdzieś cała i zdrowa, a ściąganie psów szukających zwłok byłoby jak zakładanie z góry, że jest martwa. Uważałam, że Helen powinna nalegać na poszukiwania na większą skalę, ale powiedziała, że inni jej to odradzali. – Sybil potrząsnęła głową. – Terry także bał się, że to przyniesie miasteczku złą sławę, ale do diabła z tym. W przypadku zaginięcia dziecka nie wolno niczego zaniedbać. Może gdyby Jay był tu wtedy... Ach, właśnie, chciał, żeby państwo zajrzeli do niego. Dzwonił tu rano i wypytywał o was. Małżeństwo Helen i Jaya nie było takie złe. Helen stała się bardziej energiczna, gdy rzuciła picie, ale z Jay'em była mniej podatna na wpływy innych.

Słuchałaby tylko męża, a skoro się z nim rozwiodła, łatwo było zamieszać jej w głowie.

Ta charakterystyka zupełnie nie zgadzała się tym, jak odebrałam Helen. Sybil opisywała ją tak, jakby nigdy nie rozmawiały osobiście.

–Nie chciała usiąść ze mną i porozmawiać spokojnie – stwierdziła Sybil, jakby czytając mi w myślach. – Musiałam działać sama. Zawiadomiłabym ją, ale i tak by nie odpowiedziała. – Pokręciła głową. – A teraz już jest za późno – westchnęła teatralnie, pozwalając sobie na odrobinę obłudy teraz, gdy nie mówiła już o własnej tragedii. – Biedna Helen. Los przynajmniej oszczędził jej pogrzebu drugiej córki. Harvey schwyta sprawcę. Ten sukinsyn w końcu będzie chciał sprzedać coś, co ukradł z domu Helen, albo upije się i wypapla o tym kumplowi. Harvey mówi, że takie są mechanizmy rozwiązywania tych spraw.

Pomyślałam, że sama Sybil nigdy nie zastanawiała się nad mechanizmami takich spraw i miałam niejasne przeczucie, że nie zauważyłaby prawdy, nawet gdyby ta ugryzła ją w tyłek.

Rozdział jedenasty

Szkoda, że nie jesteś hakerem – oznajmiłam. – Zebrałabym wszystkie fakty, tobie zaświtałaby jakaś świetna myśl, włamałbyś się do systemu policji albo domowego komputera Teague'ów i znalazł jakieś istotne informacje, które ja sprytnie bym wykorzystała do rozwiązania sprawy.-Musisz odpocząć od kryminałów – stwierdził Tolliver, hamując przed światłami na jednym z wielu skrzyżowań w miasteczku. – Albo znaleźć sobie innego pomagiera.

–Pomagiera?

–Tak, skoro ty jesteś błyskotliwym detektywem, to ja muszę być tym mniej lotnym, ale na-swój-sposób-inteligentnym pomagierem.

–Racja, Watsonie.

–Raczej Sharono – mruknął. – Jednym słowem: ja jestem Monk?

–Skoro się poczuwasz...

Szczerze mówiąc, trochę mnie to ubodło, jak każdy żart odrobinę zbyt bliski prawdy.

–Oczywiście jesteś daleko bardziej urocza – dodał rzeczowo, czym mnie pocieszył. Troszeczkę.

–Słuchaj, czy to co mówiła Sybil, pasowało ci do Helen?

–Nie – odrzekł bez zastanowienia. – A tak przy okazji, gdzie jedziemy?

–Do domu Helen. Jay chciał się z nami zobaczyć.

–Czemu?

–Nie mam pojęcia.

–Hmm, wygląda na to, że nie chciały ze sobą rozmawiać, mimo że jedna była matką nastolatka, który zginął, a druga – nastolatki, która zaginęła. A dzieciaki się kochały. Co nie zmienia faktu, że ciąża Teenie musiała podzielać na nich jak kubek zimnej wody.

–Tak. I najwyraźniej dziewczyna nie powiedziała o tym matce. Ani Dell swojej, na sto procent. Za to powiedział młodszej siostrze. Nie uważasz, że to dziwne?

–Nie. Ja też zwierzyłbym się tobie, zanim powiedziałbym ojcu czy twojej matce.

Zrobiło mi się cieplej na sercu.

–Ale to co innego. Oni mieli normalne rodziny.

–Normalne? Helen była alkoholiczką. Rozwiodła się z mężem, bo także pił i bił ją. Sybil Teague jest jedną z najzimniejszych kobiet, jaką spotkałem, a jeśli nie poślubiła tego biedaka dla pieniędzy... Cóż, mam wrażenie, że kochała Della, siebie, a na szarym końcu Nell, dokładnie w takiej kolejności.

–Masz rację.

Czasem Tolliver mnie zaskakiwał i to był jeden z tych momentów.

Objechaliśmy miasto, chcąc odpocząć od widoków oraz odgłosów Sarne. Po weekendzie mieszkańcy kontynuowali przygotowywania do zimowego snu. Z wymyślnych latarń pozdejmowano proporczyki; nikt nie przebierał się w śmieszne kostiumy, na lokalu Aunt Sally widniała wywieszka „W zimie nieczynne”, a z ryneczku zniknęły konie i dorożki.

Komórka zadzwoniła, gdy dojeżdżaliśmy do małego domku przy Freedom Street. Tolliver prowadził, więc to ja odebrałam.

–Halo?

–Harper? – odezwał się przytłumiony głos. – Tak?

–Tu Iona, ciotka Tollivera.

–To Iona – wyszeptałam do Tollivera, po czym wróciłam do rozmowy. – Tak? O co chodzi?

–Wasza siostra uciekła. – Która?

–Mariella.

Mariella właśnie skończyła jedenaście lat. Wysłaliśmy jej kartkę i pieniądze.

Oczywiście nie otrzymaliśmy żadnych podziękowań, a gdy zadzwoniliśmy – no dobrze, ja zadzwoniłam – w dniu urodzin, Iona powiedziała, że Marielli nie ma, choć byłam pewna, że słyszałam jej głos w tle.

Struchlałam na wspomnienie historii z Cameron, ale zmusiłam się, by kontynuować.

–Uciekła z kimś, czy zniknęła?

–Uciekła z trzynastolatkiem. Delikwent nazywa się Craig.

–I...?

–Chcemy, żebyście tu przyjechali jej szukać. Odłożyłam na moment słuchawkę, żeby miną wyrazić zdumienie.

–Całe lata powtarzaliście jej, jacy to jesteście wstrętni – powiedziała do lony. – Nie wróciłaby z nami, nawet gdybyśmy ją znaleźli. Uciekłaby od nas. Poza tym, potrafię znaleźć tylko martwych. Sami jej szukajcie. Zadzwońcie na policję. Założę się, że tego nie zrobiliście. – Naciskając guzik, zakończyłam rozmowę, o ile można nazwać to rozmową.

–Co jest? – dopytywał się Tolliver. Powtórzyłam mu słowa lony.

–Nie sądzisz, że postąpiłaś zbyt pochopnie? – Jego łagodna uwaga dotknęła mnie do żywego.

–Mamy zlecenia w Memphis i Millington, a tu wszystko się przeciąga. Nie wiemy, gdzie mogą być. Zresztą, jak bardzo mogli się oddalić? Nie mają auta. Założę się, że są gdzieś na drodze niedaleko od domu. Iona nie zgłosiła tego na policję, bo nie chce przyznać, że Mariella od niej uciekła.

–Pamiętasz, jaka była Cameron w wieku Marielli? Nie znałem jej wtedy, ale założę się, że też uciekała, co?

–Nie. Jak miała jedenaście lat, wszystko było jeszcze w porządku.

Choć pewnie pojawiały się już pierwsze sygnały degrengolady naszych rodziców, byliśmy za małe, by je odpowiednio zinterpretować. Nadal żyliśmy w ciepłarnianych warunkach, jakie dawał status wyższej klasy średniej.

–Może Mariella i ten chłopak postanowili przyłączyć się do cyrku? Albo ruszyć w trasę za jakimś zespołem?

–Chyba jesteś trochę nie na czasie. Teraz dziewczęta chcą być projektantkami mody albo supermodelkami.

–No, to drugie jej na razie nie grozi. – Ostatni raz gdy ją widzieliśmy, Mariella należała do grupy tych niskich i pulchnych dziewczynek, do której modelki się nie zaliczają. A była jeszcze za młoda na jakiś nagły skok wzrostu.

–Teraz zadzwonią pewnie do Marka. Starszy brat Tollivera mieszkał

niedaleko Iony i Hanka.

–Biedny Mark. – Zawsze pomagał innym, a zasłużył sobie na trochę spokoju. Jego pierwsze małżeństwo zakończyło się szybko i spektakularnie. Od tamtej pory umawiał się z samymi ofiarami losu. Mark był miłym facetem i zasłużył sobie na szczęście, ale zawsze trafiał na niewypały. – Powinniśmy do niego zadzwonić.

–Świetny pomysł. Zadzwonimy wieczorem. No, jesteśmy na miejscu.

Mały domek wydawał się dzisiaj posępny. Jay może mieć kłopoty ze sprzedażą, mimo że elewacja była odświeżona, a podwórko zadbane.

Jay był szczupły, podobnie jak jego ekszona. Przed oczyma wyobraźni mignęła mi wizja szkieletów klekoczących kośćmi podczas seksu. Szybko odsunęłam od siebie tę wizję. Jay siedział na schodkach frontowych, więc zdołałam dobrze mu się przyjrzeć, gdy przechodziliśmy przed podwórze. Był Helen miał zapadniętą twarz długoletniego alkoholika. Ciężko było określić jego wiek – równie dobrze mógł mieć czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Rzadkie jasne włosy grawitowały kolorem ku siwiźnie. Zaciągał się nerwowo trzymanym w drżącej ręce papierosem.

–Dziękuję, że zechcieli mnie państwo odwiedzić – przywitał nas. – Pani jest pewnie tą jasnowidzącą damą?

–Nie jestem jasnowidzem – zaprzeczyłam po raz tysięczny. Już miałam dodać także, że nie jestem również damą, ale to byłoby zbyt oczywiste, a miałam dość tego tematu. – Odnajduję tylko ciała.

–Jestem Tolliver Lang, brat Harper – przedstawił się Tolliver, wyciągając rękę. – Proszę przyjąć kondolencje. To wielka strata.

–Cała moja rodzina już nie żyje – stwierdził Jay rzeczowo. – Obie córki i żona. Większa już być nie mogła.

Szukałam odpowiednich słów, żeby powiedzieć cokolwiek, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Może po prostu nie dało się w takiej sytuacji nic powiedzieć.

–Siadajcie, proszę – rzekł gospodarz, gdy milczenie stało się kłopotliwe.

–Zanim usiądę, mam jedno pytanie – zaczęłam obcesowo. – Czy pańska żona zostawiła pokój Teenie w niezmienionym stanie?

–Tak, bo cały czas miała nadzieję na jej powrót – zająknął się lekko. – Sally i Teenie dzieliły pokój, a potem jak Sally wyszła za mąż, Teenie miała go tylko dla siebie. Czemu pani pyta?

–Mogę go zobaczyć?

–Mówiła pani, że nie jest jasnowidzem. Co pani chce znaleźć? – Nie posądzałam Jaya o taką wnikliwość. Może nie zaczął jeszcze dzisiaj pić.

Zawahałam się nieco.

–Chciałam sprawdzić, czy na jej szczotce nie zostały jakieś włosy – powiedziałam w końcu.

–Po co to pani? – Zapalił kolejnego papierosa. To jego dom, powtórzyłam sobie w duchu.

–Żeby wysłać je do badania.

–Po co?

Zadał o jedno pytanie za dużo.

–Myślę, że pan wie – wtrącił się Tolliver niespodziewanie. – I myślę, że pan też się zastanawia.

Jay gwałtownie zdusił papierosa.

–O czym pan mówi?

–Zastanawia się pan, kto był jej ojcem.

Jay zastygł na moment, prawdopodobnie zdumiony, że ktoś mógł być tak bezczelny, by powiedzieć to głośno.

–Była moją córką – powiedział zdecydowanie.

–Tak, pod każdym względem, który ma naprawdę znaczenie, owszem. Ale musimy się dowiedzieć, kto był jej biologicznym ojcem.

–Po co? Ja ją pochowam. Nie odbierzecie mi jej. – To był głos kogoś, kto stracił już zbyt wiele, choć moim zdaniem, część tego sam odrzucił.

–Skoro tamten mężczyzna do tej pory się do niej nie przyznał, już tego nie uczyni – stwierdziłam rozsądnie.

–Są duże szanse, że to ja jestem jej ojcem. Nie chcę, żeby ktoś myślał źle o Helen.

Trochę na to za późno.

–Wszyscy wiedzą, że Helen była tylko człowiekiem – zaczęłam łagodnie. – I myślę, że wstydzic powinien się mężczyzna, który nie poczuwał się do wzięcia odpowiedzialności za własne dziecko. – Zaczęłam się zastanawiać, czy gdyby Tolliver go przytrzymał, zdążyłabym wbiec do pokoju i...

–No dobrze – zgodził się Jay niespodziewanie. Mówił jak człowiek pokonany, który całkowicie się poddał. Wiedziałam, że to ustępstwo traktuje jak kolejną porażkę w szeregu innych, które powoli odarły go z męskiej godności.

Ale w tym momencie miałam ważniejsze kwestie do rozwiązania, żeby przejmować się jego poczuciem godności. Zresztą, prawdopodobnie niewiele mu z niej pozostało.

–Co pani robi z jej włosami?

–Wyślę je do laboratorium, na testy DNA. – Jak?

Wzruszyłam ramionami.

–Chyba UPS-em.

–To pokój po prawej. – Oparł łokcie na kościstych kolanach, a głowę na pięściach. Wyglądał na zadowolonego z siebie. Powinno mi to dać do myślenia.

Dom był tak mały, że nie musiałam się zastanawiać, o którym pokoju mówił. Nadal stały w nim dwa łóżka, przedzielone nocnym stolikiem. Na ścianach wisiały plakaty i pamiątki – zasuszone bukietki kotylionowe, zaproszenia na różne imprezy, liściki od przyjaciół i plakietki ze śmiesznymi hasłkami, wielki słomiany kapelusz oraz serwetka z Dairy Queen* [* Restauracja sieciowa (przyp. tłum.)]. Drobiazgi, które mogły ożywić wspomnienia tylko tego, kto je przechowywał; teraz wspomnienia te przestały istnieć. Byłam przekonana, że pamiątki Sally zostały zdjęte, gdy dziewczyna wyszła za mąż, a te należały tylko do Teenie. Na szczotce leżącej pod lustrem nie znalazłam włosów. Pomyślałam, że może po zniknięciu dziewczyny policja zabrała je, by mieć próbkę DNA. Na podniszczonej komódce natknęłam się na torebkę. Wysypałam jej zawartość na najbliższe łóżko. Wśród różnych drobiazgów zobaczyłam małą szczotkę z kępką ciemnych włosów. Włożyłam kosmyk do koperty, którą miałam ze sobą i rozejrzałam się po zagraconym pokoiku. Pewnie przeszukano go już niejednokrotnie. Helen oczywiście też chciała znaleźć coś, co naprowadziłoby ją na ślad zaginionej. Gdyby moja córka zniknęła, zrobiłabym to samo. Zdarłabym nawet deski z podłogi. Nie widziałam sensu w przeczesywaniu tego pomieszczenia ponownie.

Wzięłam też kilka włosów od Jay'a, który cierpko zażartował, że niewiele mu już ich zostało. Teraz miałam dwie próbki. Na wiele mi się to nie zda, ale i tak postanowiłam je wysłać.

Tolliver miał przyjaciółkę w prywatnym laboratorium w Dallas. Mógł to dla mnie załatwić. Musiał co prawda się jej przypocholebić i szepnąć kilka miłych słówek, ale to jeszcze nikogo nie zabiło. Fakt, na samą myśl o tym skręcały mi się wnętrzności, ale to nie jest śmiertelne.

Niecierpliwiałam się już, ale Jay chciał znać szczegóły naszej ostatniej rozmowy z Helen, a ja czułam się zobligowana do przekazania mu jej tak dokładnie, jak policji. Pozwolił mi też zabrać włosy ze szczotki byłej żony, jakby jego zdenerwowanie możliwością odkrycia biologicznego ojca Teenie, zmieniło się nagle w ciekawość.

–Zapłacisz za to? – spytał Tolliver, gdy jechaliśmy do UPS. Punkt odbioru przesyłek znajdował się w sklepie z częściami samochodowymi kilka przecznic od placu. Małe sklepiki w Sarne, w ogóle na Południu, miały zazwyczaj bardzo zróżnicowaną ofertę, ale przywykłam do tego i nawet lubiłam. Kupiłam kilka kopert i zapakowałam próbki według wskazówek przyjaciółki

Tollivera.

–Tak, zapłacę.

–Czemu, na Boga, to robisz?

–Nie wiem tak do końca. Chcę stąd wyjechać. Chcę, aby sprawiedliwości stało się zadość. I uważam, że to straszne, że Helen straciła obie córki w wyniku morderstwa.

–A może chodzi o Hollisa? – zapytał Tolliver ostro. – Chcesz zrobić wrażenie na stróżu prawa?

Miałam ochotę go spoliczkować albo zwymyślać. Ale nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy, patrzyłam tylko na niego. Po długiej chwili milczenia, wycofał się.

–No dobra, przepraszam.

–Mówiła, że ile trzeba czekać na wstępne wyniki? Trzy dni? – spytałam tylko.

–Tak. Na ostateczne dłużej. Ale za trzy będziemy mieć szybkie tak lub nie.

Dlatego, że to włosy, nie krew.

Wychodziliśmy ze sklepu, kiedy przy naszym samochodzie przystanął wóz policyjny. Wysiadł z niego zastępca szeryfa, którego widziałam po raz pierwszy. Wysoki, szczupły, w średnim wieku, z wygoloną czaszką. Miał paskudne okulary i był napięty jak gotów do ataku wąż. Podszedł do zderzaka i spojrzał na naszą rejestrację z Teksasu, z miną, jakby była wybita po niemiecku.

–Sprawdziłem waszą rejestrację – powiedział. – Na właściciela jest nakaz aresztowania wystawiony w Montanie.

–Nieprawda – zaprotestowałam, ale Tolliver ścisnął mnie za ramię.

–I macie zepsute światło, tu – wskazał na tył samochodu, ale nie byłam taka głupia, żeby podejść do niego. Chyba był rozczarowany brakiem reakcji z naszej strony. – Czy to pan jest właścicielem tego wozu?

–Tak – potwierdził Tolliver ostrożnie.

–Proszę oprzeć się z rękami na masce. Muszę pana zatrzymać.

Zaczęło mi szumieć w głowie, szum był słaby, odległy. Stałam jak sparaliżowana, podczas gdy Tolliver w milczeniu, jakby od niechcienia, wykonał rozkaz. On także zauważył napięcie zastępcy.

–Co... – Musiałam odchrząknąć. – Co pan robi? – Niewykonany nakaz zatrzymania. Posiedzi w areszcie do wyjaśnienia.

–Co?! – Nie mogłam go zrozumieć przez coraz głośniejszy szum.

–Sędzia przyjedzie do miasta niedługo. Jeśli to pomyłka, brat wyjdzie zanim pani zauważy, że go nie ma.

–Co?!

–Nie rozumie mnie pani? Nie mówi pani po angielsku?

–Chce pan aresztować mojego brata.

–Owszem.

–Bo twierdzi pan, że jest jakiś nakaz z Montany. – Tak.

–Ale to nieprawda. Zarzuty zostały oddalone.

–Komputer mówi inaczej. A poza tym, jest jeszcze sprawa tylnego światła. –

Wskazał na nie ponownie. Tolliver nie drgnął, ale ja ostrożnie obeszałam samochód, zachowując bezpieczny dystans do zastępcy szeryfa. Faktycznie, światło było rozbite.

–Było w porządku zanim weszliśmy do sklepu – stwierdziłam.

–Wybaczy pani, że nie uwierzę na słowo – odparł zastępca ze złośliwym uśmieszkiem. Teraz on okrążył auto, uważając, żeby nie podejść do mnie bliżej, niż ja podeszłam do niego. Obszukał Tollivera. Na asfalcie pod zderzakiem leżały błyszczące odłamki rozbitej lampy.

–Kiedy mogę go odebrać? – spytałam, wmawiając sobie, że zastępca w ogóle nie istnieje. Cała ta sprawa była czystą bzdurą, ale nic nie mogłam w tej chwili zrobić.

–Zaraz jak tylko sędzia wyznaczy kwotę mandatu za to światło i wyjaśnimy sprawę z zaległościami. Nie mamy tu sędziego na miejscu, musimy poczekać, aż przyjedzie.

Jęknęłam. Nie udało mi się pohamować. Każda moja reakcja, która zdradzała moje przerażenie, łechtła jego poczucie władzy i tryumfu, ale nie mogłam się opanować. Balansowałam na krawędzi paniki, szukając rozpaczliwie jakiegoś sposobu, czegokolwiek co mogłabym zrobić natychmiast.

–Jak pan się nazywa? – zapytałam.

–Bledsoe – odpowiedział niechętnie.

–Harper – zwrócił się do mnie Tolliver. Miał ręce skute kajdankami. Szum w mojej głowie narastał z każdą sekundą, gdy patrzyłam na metalowe obręcze na jego nadgarstkach. Zastępca obserwował mnie niespokojnie. Z jego oblicza znikły krzywy uśmieszek. – Skontaktuj się z Artem. Poleci nam kogoś.

Art Barfield był naszym prawnikiem. Miał biuro w Atlancie, mieście, gdzie po raz pierwszy potrzebowaliśmy adwokata.

Nerwowość zastępcy wzrosła, gdy uświadomił sobie konsekwencje wynikające z faktu, że może stać za nami jakiś znany prawnik (co nie było do końca prawdą). Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale chyba rozmyślił się, bo urwał w pół słowa. Potem zmienił jednak zdanie.

–Proszę nie robić z tego wielkiego halo, młoda damo. Bratu nic się nie stanie w areszcie.

Nie przyszło mi to nawet do głowy. Skupiłam się na egoistycznej potrzebie obecności Tollivera, na lęku, że nie poradzę sobie bez niego. Nagle

uzmysłowiałam sobie, że boję się nie tego, co trzeba. Zdałam sobie sprawę, że Tolliver będzie na łasce tego pijanego władzą funkcjonariusza.

Tolliver ruszył ku mnie, ale gliniarz powstrzymał go silnym szarpnięciem kajdanek.

Musiałam wziąć się w garść. Skoncentrowałam się mocno na wepchnięciu mojego struchlałego wewnętrznego dziecka do jego kryjówki. Oddychałam powoli, głęboko. Staralam nie skupiać się na Tolliverze, na sobie, swoich roztrzęsionych rękach. Mój mózg zaczął znowu działać, może nie bez zgrzytów, ale formował myśli.

Spojrzałam Bledsoe'owi prosto w oczy.

– Jestem pewna, że w pańskim areszcie nie zdarzają się żadne niefortunne wypadki, których wyjaśnieniem ktoś mógłby się zainteresować. – To nie była groźba, prawda? Nie chciałam dać mu wymówki do zaareztowania także i mnie.

– Teraz wyciągnę z kieszeni brata naszą komórkę – powiedziałam prawie szeptem. Odłożyłam torebkę na maskę, żeby pokazać, że jestem nieuzbrojona i żeby mi nie przeszkadzała. Obaj stali bez ruchu, gdy podchodziłam z wyciągniętymi rękoma do Tollivera. Pragnęłam, żeby funkcjonariusz umarł. Pragnęłam stanąć na jego grobie. Przez cały czas nie spuszczałam wzroku z jego przymrużonych wodnisto-niebieskich oczu. Jego powieki drgnęły, gdy odwrócił wzrok, udając zafascynowanego radiostacją z której dobywał się piskliwy głos.

Wsunęłam dłoń do kieszeni Tollivera, wydobywając z niej komórkę.

– Jestem z ciebie dumny – mruknął. Zmusiłam się do uśmiechu. Na moment złożyłam głowę na jego ramieniu, a potem wyprostowałam się, poszerzając uśmiech na tyle, na ile byłam w stanie i obserwowałam jak zastępca wpycha brata do radiowozu. Funkcjonariusz wsiadł za kierownicę, wycofał auto i odjechał, uwożąc ze sobą Tollivera.

Stałam na chodniku, dopóki sprzedawca nie wyszedł ze sklepu pytając, czy nic mi nie jest.

Rozdział dwunasty

Wracałam do motelu, jadąc bardzo powoli i ostrożnie. Miałam wrażenie, jakby amputowano mi prawą nogę, a przynajmniej stopę. Czułam się tak wystawiona na cel i bezbronna, jakbym miała na plecach tarczę strzelniczą i wydawało mi się, że rzucam się w oczy jak żyrafa spacerująca po ulicach Sarne. Ale dopiero za zamkniętymi drzwiami pokoju motelowego dotarło do mnie jak bliska byłam załamania. Prawa noga, uszkodzona podczas wypadku z piorunem, drżała, ledwo podtrzymując mój ciężar. Ale zamierzałam się trzymać, choćby tylko pazurami. Spojrzałam w lustro nad umywalką.

–Nie poddam się – powiedziałam do siebie na głos. – Wytrzymam, bo jestem jedyną osobą, która może pomóc Tolliverowi. – Poczułam się lepiej, patrząc przez chwilę na własne pełne determinacji odbicie. Sprawiałam teraz wrażenie osoby, która da sobie radę.

Zadzwoiłam do Arta Barfielda. Art nie był prawnikiem krajowej sławy, ani pracownikiem firmy wielkiego formatu. Ale na Południu cieszył się szacunkiem ze względu na pochodzenie ze starego, zamożnego rodu, a w Atlancie znany był ze swej ekscentryczności. Był współnikiem dwóch innych prawników, tylko trochę bardziej konwencjonalnych niż on sam.

Jego sekretarka, bardzo porządna kobieta, nie była zachwycona moją prośbą o połączenie z szefem. Ale widać skonsultowała się z Artem, a konsultacja ta wypadła dla mnie pomyślnie, bo po chwili usłyszałam w słuchawce jego tubalny głos z południowym akcentem i nagle napięcie opadło ze mnie trochę.

–Gdzie jesteś, mróweczko?

–W Sarne, w Arkansas.

–Na niebiosa, a cóż ty tam robisz? Prawie się uśmiechnęłam.

–Mieliśmy tu zlecenie. Ale zaszły pewne komplikacje. Jak wyszliśmy ze sklepu, czekał na nas dupek, zastępca szeryfa i aresztował Tollivera. – Wyjaśniłam sprawę niewykonanego nakazu i rozbitego światła.

–Hmmm. A więc Tolliver siedzi w areszcie?

–Tak. – Trochę za bardzo przypominało to chlipnięcie. Zacisnęłam dłoń na komórce, aż pobielaly mi knykcie.

–I jesteś teraz całkiem sama, dziecko? – Tak. – - Niedobrze. Oczywiście, że Tolliver nie jest poszukiwany w Montanie. Wyjaśniliśmy to wszystko.

Nie mogli go zamknąć za rozbite światło, więc gliniarz musiał sfingować jakiś inny zarzut.

Nie był to argument, za pomocą którego mogłabym pomóc bratu, ale rozmowa z osobą, która niewinność Tollivera przyjmowała za rzecz oczywistą, przyniosła mi ulgę.

–Poradzisz sobie z tym sama, koteńku?

–Tak, dam sobie radę – powiedziałam świadoma, że kłamię.

–To znaczy, że będziesz się bardzo starała – zinterpretował moją odpowiedź Art.

–Tak.

–Świetnie, cukiereczku. Posłuchaj, znam prawnika w Little Rock, który może do was podjechać i pokierować tobą. Nazywa się Phyllis Folliette. Zapisz sobie. Nie miałam problemów z pamięcią, ale posłusznie zanotowałam nazwisko

przy numerze telefonu.

–Zadzwoń do niej zaraz, jak się rozłączymy, więc skontaktuje się z tobą natychmiast lub przynajmniej bardzo szybko.

–Dziękuję. To świetnie. Słuchaj, Art. Czy mogą otworzyć paczkę, którą wysyłam przez UPS?

–Nie. Musieliby mieć na to nakaz.

Potem zapewnił mnie, że mogę do niego zadzwonić w razie kłopotów i zakończył rozmowę.

Miałam nadzieję, że Bledsoe nie wiedział, co robiliśmy w sklepie z częściami. Nie wszedł do środka, a potem mnie także nie zapytał. Może więc to nie próbki włosów były przyczyną aresztowania Tollivera. Może to coś innego.

Harvey Branscom, choć nie darzyłam go sympatią, wydawał mi się dość niezależny i bez wątpienia znał swój fach. Czemu miałby dać zgodę na ten teatrzyk, który rozegrał się pod sklepem? Kto mógł mieć na niego tak duży wpływ? Musiał wiedzieć, co robi jego zastępca.

Co chciano osiągnąć aresztowaniem Tollivera? To była zasadnicza kwestia. Jakie będą konsekwencje jego uwięzienia?

Pierwsze, co nasuwało się na myśl, to pozostanie w Sarne. Ale kto mógł na tym coś zyskać? Szalony pomysł, ale... I tak wzięłam go pod rozwagę. Czy Hollis w ciągu tych kilku dni dostał takiego fioła na moim punkcie, że posunął się aż to tego, aby mnie zatrzymać? Nie mogłam w to uwierzyć. Już bardziej wiarygodny wydawał się scenariusz, że to Mary Nell zastawiała pułapkę na Tollivera, bo te naciągane zarzuty – zmyślony nakaz, rozbite światło – nosiły znamiona desperacji i amatorszczyzny. Ale mało prawdopodobne, żeby Mary Nell wiedziała o kłopotach, jakie mieliśmy w Montanie, a nawet jeśli jakimś cudem dowiedziała się o tym, to nie byłaby w stanie dostać się do systemu policji i umieścić tam sprokurowanej informacji.

Próbowałam wyobrazić sobie prawdopodobny łańcuch przyczyn i skutków, sposobności i motywów. Ale gdy mój umysł uparcie odmawiał współpracy, poszłam do pokoju Tollivera. Sprzątaczką zastała łóżko i wywiesiła świeże ręczniki, nie było w nim żadnych śladów obecności Tollivera, przynajmniej ja ich nie dostrzegałam. Mimo to świadomość, że to pokój

Tollivera, podniosła mnie trochę na duchu. Ale zaraz zrobiło mi się głupio, a po chwili poczułam się jak intruz, wróciłam więc do siebie.

Stukanie do drzwi przyprawiło mnie niemal o zawał. Zerknęłam na zegarek. Ponad godzinę siedziałam tak w pokoju, podczas gdy kołowrotek moich myśli kręcił się, jakby napędzało go stado chomików.

–Tak mi przykro – powiedział Hollis w proggu.

–Miałeś... Nie miałeś z tym nic wspólnego, prawda?

–Nie. – Nawet się nie obruszył. Mówił łagodnie, jak ludzie mówią do psa, w obawie przed jego atakiem. – Marv Bledsoe i Jay Hopkins to kumple od kieliszka.

Przypomniałam sobie wyraz satysfakcji na twarzy Jaya i nabrałam pewności, że to on właśnie zadzwonił do Marva z prośbą, żeby nas zatrzymał. Nic dziwnego, że bez oporu pozwolił nam wziąć próbki włosów. Był przekonany, że nie zdążymy ich wysłać.

–Nigdy nie uwierzyłbym Jay'owi ani Marvowi w tym względzie. Niestety, Harvey jest innego zdania, a przynajmniej tak się zachowuje. A stanowych już nie ma. Wyjechali zbadać sprawę innego morderstwa pary nastolatków. Sądzą, że może łączyć się z zabójstwem Teenie i Della. Nie ma więc nikogo, kto mógłby powstrzymać Marva.

–Widziałeś ten nakaz?

–Nie, ja nie. Zrozumiałem tylko, że mieliście w zeszłym roku jakieś kłopoty w Montanie, tak?

–Tak, ale wszystko się wyjaśniło. Nie ma nakazu aresztowania Tollivera. A rano ze światłami było wszystko w porządku.

–Widzieliście, jak to robił? – Nie.

–Jeśli Marv to spreparował, znajdzie sposób, aby was zatrzymać – stwierdził Hollis, siadając ciężko na łożku. Popatrzył mi w oczy i zaczął niepewnie: – Pomyślałem że wpadnę sprawdzić jak się masz. Odniosłem wrażenie, że bardzo polegasz na bracie.

–To prawda. Ale poradzę sobie. Dzwoniłam już do prawnika z Little Rock. Czekam, aż się ze mną skontaktuje.

–To dobrze – powiedział z ożywieniem. – Świetnie sobie radzisz. – Znowu zbyt entuzjastyczna pochwała.

Zdawałam sobie sprawę, że nie jestem żadną Miss Zrównoważenia. Ale wiedzieć o własnych wadach, a widzieć, jak ludzie na nie reagują, to co innego. „Nie ukryjesz swojej odmienności” – brzmiał podtekst. – „Wymagasz szczególnej troski i ostrożnego podejścia”.

–Hollis. – Głos, który dobył się z mych ust, przypominał warknięcie. – Masz zadbać, żeby Tolliverowi nic się nie stało. Słyszysz?

Zareagował na tę insynuację urażoną miną, ale w tym momencie nie miało to dla mnie znaczenia. Teraz liczyło się tylko zapewnienie, że Tollivera nic złego nie spotka w areszcie, że będzie dobrze traktowany i odpowiednio strzeżony.

Ale nie znalazłam tego na obliczu Hollisa.

–Posłuchaj, Hollis – powiedziałam, siłąc się na spokój. – Wiem, że kochasz to miasteczko i życie, które tu masz. Ale w Sarne dzieje się coś niedobrego, gdzieś tu leży jakaś zdechła ryba, która psuje powietrze. Z tymi zabójstwami wiąże się wiele niewyjaśnionych okoliczności. Ktoś, kogo znasz, zabił Della Teague i Teenie Hopkins. Ktoś, kogo znasz, zamordował twoją żonę i pobił Helen na śmierć. I ta sama osoba, z jakiegoś powodu nie chce, byśmy stąd wyjechali. Musimy dowiedzieć się, kto to taki. Przyjechałam tu, wywiązałam się ze swego zadania szybko i dobrze. Teraz powinniśmy mieć możliwość opuszczenia tego miejsca, zostawienia was tu z waszymi cholernymi problemami.

–Zanim to się stało, zaczynało ci na mnie zależeć – stwierdził Hollis, zaskakując mnie tym kompletnie. Takich słów prędeż można by było spodziewać się po kobiecie. Gdybyśmy grali w telenoweli, to ja wypowiadałabym tę kwestię.

–Tak – przyznałam.

–Wiem, że ktoś stoi za tym wszystkim. I zdaję sobie sprawę, że to osoba, którą znam. Ale nie mogę pojąć dlaczego. Sally była dobrą dziewczyną, miłą, kochałem ją. – Najwyraźniej Hollis, podobnie jak ja, miał problemy z utrzymaniem myśli na właściwym torze.

–Musiała coś wiedzieć – rzekłam z naciskiem. – Znała jakąś tajemnicę, czyjś sekret. Zginęła pierwsza.

Oboje pograżyliśmy się na moment w rozważaniach.

–Pamiętasz, żeby była jakaś inna, na krótko przed śmiercią? Podniecona, zdenerwowana, zmartwiona?

Hollis wydawał się pograżony w przygnębieniu. Chciałam dotknąć go, pogłodzić po włosach, ale trzymałam ręce splecione na kolanach.

–Owszem, sprawiała wrażenie osoby, którą coś gryzie – przyznał posępnie. – Rozmawialiśmy niemal o wszystkim, ale sprawy związane z jej rodziną, wysoki matki... To zrozumiałe, że nie chciała mówić ze mną o rodzicach, o tym jak pili, jak się bili, o rozwodzie i o... hm... skokach w bok.

Zastanowiłam się nad jego słowami.

–Czyli wyznałaby ci szczerze wszystko, jeśli to nie miałoby związku z jej rodziną?

Zawahał się lekko.

–Tak – odparł w końcu stanowczo. – Byłaby otwarta w każdej sprawie, prócz rodzinnych.

–Myślisz więc, że sama odkryła coś nieoczekiwane, czy raczej matka lub Teenie jej się zwierzyła?

Hollis próbował coś sobie przypomnieć, a ja starałam się czekać cierpliwie.

Współczułam mu i żałowałam, że musi wracać do tych bolesnych wspomnień, ale uważałam, że to konieczne. Właściwie w głowie tłukło mi się pytanie: „Czemu nie zrobił tego wcześniej?”. Oczywiście na początku sądził, że to był wypadek. Ale o tym, że Sally została zamordowana, wiedział już od jakiegoś czasu i przecież musiał się nad tym zastanawiać?

–Chyba sama się czegoś domyśliła. Nie można wiedzieć, co dzieje się w czyjejś głowie. Myślałem, że może nie znałem Sally tak dobrze, jak sądziłem. Może gdybyśmy mieli dłuższy staż, gdybyśmy bardziej Sobie ufali, wtedy powiedziałyby mi, co ją dręczy. Moglibyśmy razem jakoś temu zaradzić. Ale nie byliśmy małżeństwem wystarczająco długo. Nie zdążyliśmy przejść wielu prób. To do niczego nie prowadziło.

–Może coś się wydarzyło bezpośrednio przed tym, jak zmarła? – spytałam, świadoma swojej bezduszności. – Coś, co mogło pociągnąć za sobą jej śmierć?

–Dick Teague miał zawał.

–Kiedy to było? – Widziałam artykuły, ale nie zwróciłam uwagi na datę.

–Chyba w lutym. Tak, w lutym. Sybil nie mogła sobie dać rady z przygotowaniem wszystkiego do pogrzebu, więc zatrudniła Helen i Sally do sprzątania domu. Wiesz, że zanim Helen zaczęła pić, pracowała u Sybil na stałe? Potem jej miejsce zajęła Barb Happ. Nie chciałem, żeby Sally u kogoś sprzątała, ale ona lubiła to robić. Powiedziała, że chętnie pomoże Sybil w dzień wolny od pracy, nie tylko dlatego, że jej współczuła. Stwierdziła, że przy okazji zarobi dodatkowe pieniądze na święta. I tego dnia właśnie, po pracy u Sybil, wróciła bardzo czymś zaniepokojona.

–Ale nie wspomniała, o co chodzi? – Pomyślałabym, że dowiedziała się o ciąży siostry, ale przecież Sally zginęła na długo przedtem.

–Oczywiście rozmawialiśmy wtedy. Zapytałem jak jej poszło, ale powiedziała tylko, że podzieliły się z matką robotą. Helen sprzątała piętro, a Sally parter. Potem napomknęła, że dziwnie się czuła w gabinecie, gdzie zmarł Dick, bo od jego śmierci nikt tam niczego nie ruszał. Ale wieczorem zaczęła szukać jednego ze swoich licealnych podręczników. W tym czasie zmieniono program, więc uczniowie mogli je zatrzymać. Sally koniecznie chciała coś w nim sprawdzić. I to mnie zaskoczyło.

–Co to była za książka?

–Miała ich kilka. Nie wiem dokładnie. Zapadło mi to w pamięć tylko dlatego, że Sally wydawała się taka... Myślała nad czymś intensywnie. A kiedy znalazła podręcznik, spędziła nad nim dużo czasu. To było do niej niepodobne.

–Myślisz, że uda ci się przypomnieć?

–Może. Sprawdzę wieczorem, czy uda mi się go odnaleźć. Wydaje mi się, że

miał czerwoną okładkę – odparł Hollis zamyślony, jakby przed oczami miał teraz scenę, która wydarzyła się dawno temu. I pewnie tak właśnie było. Podskoczyłam na dźwięk telefonu.

–Halo?

–Pani Connelly? – odezwała się kobieta o silnym południowym akcencie. Ton głosu sugerował, że jego właścicielka jest inteligentna.

–Przy telefonie.

–Phyllis Folliette. Z Huff, Moon and Greene. – Tak. Cieszę się, że pani dzwoni.

Hollis wskazał drzwi, dając do zrozumienia, że musi iść. Kiwnęłam głową i pomachałam mu.

–Dobrze – rzekła prawniczka uspokajająco. – Słyszałam, że ma pani jakieś kłopoty w Sarne?

–Owszem.

–Chciałam pani przekazać, że skontaktowałam się z biurem szeryfa. Powiedzieli, że pani brat zostanie w areszcie jeszcze dwa dni. Nie mogę go wyciągnąć za kaucją, dopóki sędzia nie wyznaczy jej wysokości, rozumie pani?

–Tak, rozumiem.

–A sędzia przyjedzie dopiero pojutrze. Nie byłam tępakiem.

–Wiem, że pojutrze to dwa dni – oświadczyłam.

–Hm. Tak... Proszę wybaczyć, jeśli mówiłam protekcyjnie – przeprosiła prawniczka. – Nawyk zawodowy.

–Uhm.

–Przyjadę do Sarne pojutrze i wydostanę pani brata z aresztu. Te zarzuty wyglądają mi na jakiś stek bzdur, ale jutro rano zadzwonię do Montany, żeby to wyjaśnić. Tymczasem proszę nie robić nic pochopnie i nie martwić się. Art naciskał, żebym to pani wyraźnie powiedziała. Ok?

–Tak.

–Dobrze. Przełączę panią teraz do rachunkowości.

Każdy chce zarobić, nawet ja – ja szczególnie. Boję się, że w każdej chwili mogę stracić swój dar. Chcę wykorzystać go, póki mogę, bo to jedyne, czym potrafię zarobić. Powinien działać na moją korzyść, a nie odzierać mnie z normalnego życia.

Po załatwieniu kwestii finansowych odłożyłam słuchawkę i zaczęłam się zastanawiać, co powinnam teraz zrobić. Spakowałam rzeczy Tollivera, a potem poszłam do koszmarnego McCluskeya powiedzieć, że na razie nie będziemy potrzebować drugiego pokoju. Oznajmił, że właśnie miał nas wymeldować, ale wyraźnie zaznaczyłam, że zostaję jeszcze kilka dni. Nie mógł mnie wyrzucić –

przynajmniej tak stanowiło prawo, choć miałam dzisiaj okazję przekonać się, że system prawny w Sarne nie działa najlepiej. Jeśli udałoby mi się zmusić mnie do opuszczenia motelu, pojechałabym po prostu do najbliższego miasta, które znajdowało się już w innym hrabstwie.

Rozważałam wszystkie te ewentualności w drodze powrotnej. Uzmysłowiłam sobie nagle, że idę mocno wymachując rękoma, jak dziecko na gimnastyce.

W pokoju doszłam do wniosku, że najwyższa pora coś zjeść. Sięgnęłam po baton muesli. Powinnam zjeść więcej, coś konkretnego, ale nie chciałam wychodzić sama. Co innego gdy wiedziałam, że Tolliver czeka na mnie w motelu, albo spędza czas w pobliżu, a co innego, gdy siedział, co prawda niedaleko, ale w więzieniu. Ciekawe, co dadzą mu na kolację. I czy pozwolą mi się z nim zobaczyć. I czy jest w celi z kimś? Jaki jest ten współwięzień? Czy to jakiś bezlitosny bandyta?

Poza szeryfem, z ważnych osobistości znałam tylko Sybil. Wątpiłam, żeby się tym przejęła albo zechciała pomóc, ale i tak zadzwoniłam.

–Mojego brata zaaresztowano na podstawie sfingowanych zarzutów – oświadczyłam, gdy tylko skończyła mówić, jak cieszy się, że mnie słyszy.

–Paul Edwards coś mi o tym wspominał – odrzekła Sybil chłodnym tonem bogaczki. – Przykro mi, że macie kłopoty.

Nie brzmiało to obiecująco.

–Tolliver nie jest poszukiwany przez policję w żadnym stanie – powiedziałam, sięgając do najgłębszych pokładów spokoju.

–Wiem, że mój brat jest szeryfem, ale chyba pani rozumie, że nie mogę wtrącać się w jego sprawy zawodowe. – Tym razem ton Sybil był już lodowaty.

–Tolliver jest moim bratem, a zastępca pani brata zrobił go z tylko sobie znanych powodów.

–Który zastępca? – spytała Sybil ku memu zaskoczeniu.

–Bledsoe. Niezwykły zbieg okoliczności, prawda? – Podpuszczałam Sybil, chcąc, żeby poszczuła na mnie zastępcę. Tym samym ustaliłabym, kim są nasi wrogowie.

–Marv – powiedziała powoli, wyraźnie zła. Nie wiedziałam tylko czy dlatego, że próbowałam ją w to wmieszać, czy z innego powodu. – Dalszy kuzyn Paula. Ale to nic nie znaczy.

Czy wszyscy zamieszani w tę sprawę byli spokrewnieni?

Sybil nie zamierzała kiwnąć palcem, aby mi pomóc, a ja nie miałam pomysłu, jak ją do tego nakłonić. Nie była tym wszystkim zachwycona i miałam wrażenie, że nie wierzy w winę Tollivera, ale jednocześnie nie mogła lub nie chciała interweniować u szeryfa. Rozłączyłyśmy się, równie niezadowolone.

Pomyślałam intensywnie, po czym zadzwoniłam na komórkę Mary Nell. Znalazłam karteczkę z jej numerem wśród rzeczy Tollivera. Przy imieniu zrobiła mały zakrętasik.

Mary Nell nie była najszcześliwsza, słysząc mój głos w słuchawce.

–Tolliver nie może zadzwonić osobiście, bo twój wujek wsadził go do aresztu – oznajmiłam. Nie była to całkowita prawda, ale miałam gdzieś uczciwość.

Dziewczyna pisnęła i zaczęła płakać, a ja cierpliwie czekałam, aż się uspokoi.

–Wiem, że nie poszukuje go policja w Montanie – chlipnęła. – To jakaś bzdura.

Choć opinia Nell nie opierała się na faktach, tylko wypływała z zauroczenia Tolliverem, i tak miło było usłyszeć, że ktoś tak stanowczo trzyma jego stronę. Chcąc naprowadzić nastoletnią fankę brata na dobry trop, powiedziałam, że jej matka nie chciała mi pomóc. Oczywiście nie wprost, ale zrobiłam wszystko, żeby mieć pewność, że informacja do niej dotarła. To powinno wystarczyć, by życie Sybil stało się nieznośne przynajmniej na dobę, czyli nie więcej niż sobie zasłużyła. Nie jestem aż tak małostkowa.

Potem zadzwoniłam do Hollisa, ale nie odebrał. Biorąc pod uwagę, że wychodził, jakby mu się dokądś spieszyło, możliwe, że zajrzał do mnie w trakcie patrolu. A może był po prostu tchórzliwym draniem? Może szeryf kazał mu się trzymać ode mnie z daleka, grożąc utratą pracy? A Hollis chyba na tyle mocno pragnął zachować posadę, by się ugiąć. Staralam się nie mieć do niego o to pretensji, ale byłam wystarczająco rozzalona, żeby i tak uważać go za tchórzliwego drania.

Rozważyłam plan działania. Groźba, że załamie się i pogrąże we łzach, wisiała na włosku. Ale płacz był bezproduktywny; musiało istnieć coś, co mogłabym zrobić, żeby nie siedzieć w tym cholernym motelu. Mogłabym iść i stłuc Bledsoe'a – w tym momencie czułam, że byłabym w stanie wydrapać mu pazurami wątrobę. Ale wolałabym zrobić coś bardziej konstruktywnego... Jeszcze raz przebiegłam myślami fakty i nagle wpadłam na pomysł. Zadzwoniłam do Hollisa ponownie, tym razem zostawiając mu na sekretarce wiadomość.

–Jeśli nie odbierasz, bo nie chcesz ze mną rozmawiać, w porządku, ale wiedz, że wybieram się do ciebie i zamierzam przeszukać twoją półkę z książkami.

Pożałowałam, że zwróciłam mu pieniądze. Teraz przydałyby mi się jako dodatkowy pretekst wizyty.

Potrzebowałam ruchu, więc do domu Hollisa pobiegłam. Wysięk mógł mi pomóc w zachowaniu psychicznej równowagi, przynajmniej jeszcze chwilę. Zachwiałam się kilkakrotnie, ale noga nie zawiodła mnie zupełnie. Pickupa pod domem nie zastałam, ale i tak miałam zamiar wejść do środka, bez względu na to czy Hollis będzie obecny, czy nie. Nie chciałam tylko, żeby mnie zaaresztowano. Na szczęście tylne drzwi osłonięte były przed widokiem z sąsiednich posesji gęstymi krzewami. Zresztą o tej porze sąsiedzi i tak pewnie byli w pracy.

Jak na policjanta, Hollis nie zadbał zbytnio o zabezpieczenie domu.

Zapasowe klucze znalazłam już za trzecim podejściem – wisiały na gwoździu tuż pod daszkiem ganku. Co prawda, w ciemnym kącie, mało widocznym miejscu, ale wymacałam palcami haczyk i po sekundzie miałam klucze w ręku. Cieszyłam się, że nie będę zmuszona rozbijać szybki w drzwiach – kolejne zaniedbanie ostrożności. Policjant najlepiej powinien o tym wiedzieć.

Dzień był pochmurny, więc zapaliłam światło w salonie. Podczas ostatniej wizyty przechodziłam wtedy tylko do sypialni, więc nie znałam układu pomieszczenia. Pokój był ładny i... przytulny, z wyściełaną kanapą, fotelem do kompletu oraz ławą. Na pomocniku przy fotelu tłoczyły się lampa, gazety, książka oraz kilka pilotów. W zasięgu ręki stał regał wypełniony książkami, w większości tanimi wydaniem romansów sensacyjnych Jayne Anne Krentz, Sandry Brown, Nory Roberts i podobnych. Dostrzegłam też kilka kryminałów Lee Childa i Thomasa Cooka, które pewnie należały do Hollisa.

Obeszłam szybko cały dom, żeby upewnić się, że szukam w odpowiednim miejscu. W sypialni nie było żadnych książek, a w drugiej, służącej za pokój komputerowy oraz składzik, leżały tylko instrukcje do komputera i poradniki do gier. W kuchni znalazłam kilka książek kucharskich, a w łazience kosz z gazetami. Wróciwszy do salonu, kucnęłam przy zapchanym regale.

Hollis mówił, że jego żona wyjęła stąd podręcznik szkolny. Podejrzewałam, że jeszcze ich nie spakował, i faktycznie. Sally Hopkins-Boxleitner trzymała antologię brytyjskiej poezji, „Juliusza Cezara”, „Kupca weneckiego” oraz podręcznik do historii Ameryki. Wśród nich, znajdowała się także mocno zużyta, podniszczona książka do biologii.

Według Hollisa, książka, którą wtedy wyjęła Sally, miała czerwoną okładkę. W obu podręcznikach, i do historii, i do biologii, dominowała czerwień, przynajmniej na grzbietach.

–To ty tu robisz? – rozległ się rozzłoszczony głos. Chyba podświadomie zarejestrowałam odgłosy wchodzącego Hollisa, bo nie podskoczyłam.

–Usiłuję się dowiedzieć, o co chodziło Sally tamtego wieczora. Prawie od

razu trafiłam na twoje zapasowe klucze. Patrz, to historia. Tę wzięła?

–Czemu nie zaczekałaś, aż wrócę do domu? – Jego złość chyba nieco zelżała.

–Myślałam, że mnie unikasz i doszłam do wniosku, że byś mnie nie wpuścił.

–Więc postanowiłaś od razu włamać się do mojego domu? Wiesz, że to przestępstwo?

–Tak jak wsadzanie kogoś do paki na podstawie sfingowanych dowodów. Tę książkę miała w ręce?

–Możliwe – odrzekł z roztargnieniem. – Jest jakaś inna czerwona?

–Biologia.

–To może być też ta druga.

–Dobra, to ja przejrzę biologię, a ty historię.

Odwróciłam książkę i potrząsnęłam nią. Spomiędzy kartek wypadł jakiś świstek. Pomyślałam, że to lista zakupów lub jakiś liścik od chłopca, który siedział w którejś z pobliskich ławek. Okazało się jednak, że to coś znacznie mniej zwyczajnego.

Świstkiem okazało się pół kartki z zeszytu, z napisem: „SO, JO, DA, NO”.

–Gdybyś jej nie wytrzepała, wiedzielibyśmy między którymi stronami była – wytknął Hollis.

–Masz rację – przyznałam. – Schrzaniłam. Rozumiesz coś z tego?

–Nie, na pierwszy rzut oka nie. Ale to pismo Sally.

W jego głosie pojawiła się nowa nuta, słyszalna nawet dla mnie, pomimo przeciążonego systemu emocjonalnego.

–Tak mi przykro – zaczęłam z trudem. – Wiem, że to wywlekanie spraw, o których starasz się zapomnieć.

–Nie, nie chcę zapomnieć o Sally. Staram się po prostu myśleć o przyszłości. A przez te ostatnie dni, na myśl, że Sally została zamordowana, że ten sukinsyn, który to zrobił, chodzi na wolności i nawet ze mną rozmawia, flaki mi się przewracały. Poza tym za każdym razem, jak cię widzę, mam na ciebie taką ochotę, że aż boli. Włamałaś się do mojego domu, do mojego pieprzonego domu, i chcę cię zerznąć, teraz, tu, na podłodze.

–Tak?

–Tak.

Zupełnie jakby nacisnął we mnie jakiś włącznik. Nagle myślałam o tym samym i o tym, że na moment mogłabym zapomnieć o wszystkich kłopotach. Przetoczyłam się na plecy, zdejmując koszulkę przez głowę.

Było to najkrótsze, najgwałtowniejsze i najbardziej podniecające zbliżenie, jakiego doświadczyłam. Paznokcie, zęby, wilgotna skóra przy wilgotnej skórze,

dudnienie ciał na podłodze. Po wszystkim leżeliśmy ramię przy ramieniu na skrawku wolnego miejsca pomiędzy meblami.

–Powiniennem odkurzyć – zauważył Hollis, dysząc ciężko.

–Co tam kilka kotów. Sympatyczne towarzystwo.

Roześmiał się chrapliwie, a ja założyłam biustonosz, bo po podłodze ciągnęło. Przekręciłam się i podparłam na łokciu.

–Podrapałam cię do krwi, przepraszam – powiedziałam, patrząc na czerwone ślady.

–Podobało mi się. Nie narzekam – odrzekł sennie.

Gdy zapadł w drzemkę, przekręciłam się na brzuch i zaczęłam wertować podręcznik do biologii. Zawierał podstawowe informacje o komórkach roślinnych, rozmnażaniu, ludzkim układzie nerwowym, zasadach działania narządu wzroku i...

Zerknęłam na zadrapania na ramionach Hollisa, potrząsnęłam głową, wracając do oglądania ryciny w książce.

Wciągnęłam džinsy.

–Hollis – szepnęłam.

–Hmm? – mruknął, otwierając oczy.

–Muszę iść.

–Co? Zaraz. Gdzie twoje auto?

–Pod motelem. Przybiegłam tutaj. Wrócę na nogach.

–Nie, czekaj, odwiozę cię. Albo zostań. Wiem, że nie lubisz być sama.

Nie samotność mnie denerwowała, tylko brak obecności Tollivera. Nie chciałam jednak tego wyjaśniać.

–Muszę wrócić do motelu – rzekłam z takim żalem, jaki udało mi się wykrzesać. – Prawnik może dzwonić.

Fakt, to było kłamstwo, ale nie chciałam ranić jego uczuć. Musiałam załatwić kilka spraw, a mogłam to zrobić tylko bez asysty przedstawiciela prawa. Hollis założył pośpiesznie mundur.

–Jadłaś coś? – spytał, gdy jechaliśmy główną ulicą.

–Um... nie bardzo. – Nie dokończyłam nawet batona muesli.

–To podjedźmy chociaż do Subway, weźmiemy ci coś na wynos.

–Chętnie – zgodziłam się, poczuwszy nagle głód.

Ślina napłynęła mi do ust, gdy kabina wypełniła się zapachem kanapki z pieczonym kurczakiem.

Hollis podjechał pod same drzwi. Wskoczyłam z auta, chcąc wykorzystać blask świateł, żeby łatwiej otworzyć drzwi. Motel miał fatalne oświetlenie. Hollis zaczął wycofywać, gdy stałam już w progu. Odwróciłam się, żeby mu pomachać.

Ledwie widziałam jak Hollis porusza ramieniem zmieniając biegi.

Nagle ktoś złapał mnie od tyłu za ramię i obrócił. Zatoczyłam się do pokoju i runęłam na podłogę.

Błyskawicznie poderwałam się na nogi i rzuciłam na agresora, odpychając go od otwartych drzwi. Nigdy nie pozwól zapędzić się do narożnika. Trzeba natychmiast zacząć się bronić. Już jako nastolatka nauczyłam się, że jeśli nie zacznie się natychmiast walczyć, przeciwnik zdobywa przewagę, zadając ból lub wzbudzając w ofierze lęk. I trzeba walczyć z całą pasją. Bić, gryźć, popychać, drapać, szczypać, kopać – włożyć w to całego siebie. W desperackim pragnieniu zadania komuś bólu, zapomina się o własnym. Prawie nie poczułam dwóch ciosów w żebra, jakie zadał mi mężczyzna, zanim nie chwyciłam go za jądra i z całej siły nie ugryzłam w szyję. Napastnik wrzeszczał, próbując mnie odepchnąć, gdy do pokoju wpadł Hollis i rozdzielił nas.

Osunęłam się po ścianie i opadłam na podłogę, skąd łkając, trzęsąc się w następstwie szoku, obserwowałam, jak Hollis kilkoma ruchami skuwa kajdankami napastnika. Okazał się nim Scot, nastoletni adorator Mary Nell. Ten sam, który już raz mnie zaatakował. Teraz jęczał płacząco, zasmarkany gnojek.

–Zwariowałaś?! – krzyknął Hollis. – Odbiło ci? Co ty sobie wyobrażasz? Jak możesz tak napadać na kobietę?!

–To ona jest wariatką – zaskrzeczał Scot, spluwając odrobiną krwi. – Widziałeś? Widziałeś co mi zrobiła?

–Co w ciebie wstąpiło, Scot?! – Hollis był absolutnie oszołomiony. – Kto cię tu wpuścił? – Potrząsnął chłopakiem.

Scot milczał, patrząc wilkiem na Hollisa.

Vernon McCluskey wyłonił się ze swojego biura i przekuśtykał placyk, wkraczając na scenę i zastając nas zastygłych w dziwacznej konfiguracji.

–Wpuściłeś chłopaka do pokoju Harper?! – ryknął Hollis.

–Skąd – zaprzeczył Vernon, spoglądając na Scot'a z pogardą. Wiedziałam, że patrzy tak nie dlatego, bo chłopak zaatakował słabszą kobietę, ale dlatego, że zrobił to nieudolnie i w złym momencie. – Wynajęłam mu pokój, który wcześniej zajmował brat tej pani. Nie moja wina, że nie zamykała drzwi łączących pomieszczenia. Nie sądziłem, że Scot może zrobić coś takiego. – Potrząsnął głową z nieszczerym potępieniem.

Sukinsyn.

Jeśli reagowałam paranoicznie, to niebezpodstawnie.

–Ruszaj się, Scot – warknął Hollis. – Idziesz do aresztu. Wniesiesz oskarżenie, Harper.

–Z całą pewnością. – Przydałaby mi się pomoc, ale Hollis prowadził Scotą do pickupa, a Vernona nie poprosiłabym nawet o dziurę w preclu. Podniosłam się chwiejnie. Mięśnie nóg odmawiały mi posłuszeństwa, czułam się słaba i było mi niedobrze. W tej chwili nienawidziłam całego świata. – Może będę zmuszona wstrzymać się do jutra, ale mu nie daruję. Mogłam mu wybaczyć ten pierwszy raz, bo wyglądało to na atak oszalałego z zazdrości smarkacza, ale tym razem przekroczył wszelkie granice.

Co u licha skłoniło chłopca, który bał się swoich rodziców i trenera, do zrobienia czegoś takiego? Co miał mi zrobić? Pobić? Zabić?

–Ktoś mu zapłacił – powiedziałam. Hollis zamarł w trakcie wpychania skutego chłopaka do samochodu. – Założę się, że ktoś mu to zlecił.

Mina Scotą powiedziała mi, że trafiłam w sedno.

–Miałeś mi połamać kilka kości? – zapytałam go tonem towarzyskiej pogawędki. – Czy zabić?

–Zamknij się – warknął, odwracając wzrok. – Nie odzywaj się do mnie.

–Tchórz – rzuciłam i natychmiast przypomniałam sobie, że szeryf Branscom nazwał go wtedy tak samo. Miał rację.

–Niech cię piekło pochłonie – syknął Scot, a Hollis zatrzaskał za nim drzwiczki auta.

Vernon stał na chodniku, gdy odjeżdżali.

–Spróbuj tylko drgnąć, jak będę zostawiała ci klucz przy wyjeździe, a wytoczę ci proces i zrujnuję ten motel – zagroziłam. Dobrze pamiętam, że zamknęłam drzwi pomiędzy pokojami. – Niech włos spadnie mi z głowy, a mój brat się tobą zajmie. A jeśli jemu coś się stanie, nasz prawnik was załatwi.

Nie odezwał się słowem, ale obserwował wrogo jak zatrzaskiwałam i zamykałam drzwi na klucz. Podniosłam torebkę z Subway, upuszczoną podczas ataku Scotą. Dobrze, że nie kupiłam napoju, wiedząc, że mam kilka butelek w motelowej lodówce. Gdybym poplamiała zielony dywan colą, Vernon pewnie oskarżyłby mnie o zniszczenie własności prywatnej.

Podparłam klamkę krzesłem i przesunęłam małą lodówkę, zastawiając drugie drzwi. Nie zapobiegnie ich otwarciu, ale spowolni ewentualną próbę wejścia i narobi hałasu. Zadzwoiłam z komórki do Arta i nagrałam mu na sekretarkę cały opis zajścia. Tak na wszelki wypadek.

Poczułam się taka samotna, że zapłakałam.

Zjadłam kanapkę, nie dlatego, że miałam na nią ochotę (była już zimna i wstrętna), ale musiałam coś jeść, żeby nie osłabnąć. Rozebrałam się drżącymi palcami. Bardzo potrzebowałam prysznic. Jednego dnia kochałam się i biłam. Spojrzałam w lustro. Miejsce, gdzie Scot uderzył mnie dwukrotnie, zaczynało

sinieć. Odetchnęłam głęboko, sprawdzając, czy nie mam popękanych żeber. Poruszałam się jeszcze trochę, ale doszłam do wniosku, że kości są całe.

Z satysfakcją stwierdziłam, że jeśli dzień ten był zły dla mnie, to dla Scota o wiele gorszy. Z quarterbacka* [*Quarterback – rozgrywający, w futbolu amerykańskim najważniejszy zawodnik ataku; od niego zależy strategia gry; przy pomocy specjalnych haseł lub gestów przekazuje członkom drużyny informacje, daje sygnał do rozpoczęcia akcji i podaje piłkę innym zawodnikom formacji ataku (przyp. red.)] i absztyfikanta Mary Nell stał się przestępcą. Na razie niedoszłym jeszcze, ale jutro jego status zmieni się na zawsze. A wszystko to za sprawą zranionej dumy i przekupstwa. Domyślałam się, że tamtego ranka znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Pewnie trener ukarał go na oczach drużyny, a wcześniej szeryf nazwał tchórzem. A on, zamiast wziąć sobie ich słowa do serca, wściekł się i gdy tylko ktoś zaoferował mu pieniądze, od razu zdecydował się wykorzystać szansę odzyskania poczucia własnej godności. W takich właśnie sytuacjach człowiek przekonuje się, ile jest wart. Niestety, dla Scota próba ta zaświadczyła o jego niskiej wartości.

Hollis zadzwonił po odstawieniu chłopaka do aresztu. Spytał, jak się czuję i zapewnił, że nic w nocy mi nie zagrozi.

–Dowiemy się, co to za litery – powiedział. – Znałem Sally i wcześniej czy później odkryję, co one oznaczają.

Moim zdaniem nie mieliśmy żadnego „później” i nie byłam pewna, czy rozwiązanie tajemnicy notatki w czymś nam pomoże. Zapisując litery, Sally dokładnie wiedziała, o co chodzi. Dla niej ich znaczenie było proste i oczywiste.

Z całym szacunkiem dla Sally, ale skoro dziewczyna, która ukończyła szkołę w Sarne zrobiła jakieś odkrycie, korzystając z podręcznika do biologii, ja też do tego dojdę. Podobnie jak inni – i właśnie to mnie martwiło. Korzystając z notesu leżącego przy telefonie, zapisałam litery „SO JO DA NO”. Jako jedno słowo. Potem wspan. Spróbowałam ułożyć z nich jakiś wyraz. W końcu zasnęłam z ołówkiem w ręku.

Rozdział trzynasty

Obudziło mnie łomotanie do drzwi. Spojrzałam na zegar. Była siódma rano.- Kto tam? – spytałam ostrożnie, podchodząc do drzwi.

–Mary Nell.

No, świetnie. Usunęłam krzesło blokujące klamkę i otworzyłam.

–Musimy go wydostać! – krzyknęła dramatycznie od progu, a mnie naszła ochota, by ją trzepnąć.

–Tak. Też chcę, żeby wyszedł. – Jeśli w moim głosie zabrzmiała nuta sarkazmu, Nell ją przeoczyła.

–Co zrobiłaś do tej pory? Zamrugałam zaskoczona, siadając na łóżku.

–Wynajęłam prawnika. Będzie tu jutro.

–Aha – powiedziała nieco zbity z tropu. – No, bo ja dzwoniłam do Toby’ego Buckella, ale mnie wyśmiał. Powiedział, że nie weźmie sprawy, póki nie skontaktuje się z nim ktoś dorosły.

Trudno się dziwić.

–Przykro mi, że potraktował cię z góry – powiedziałam, starając się, by brzmiało to szczerze. – Doceniam twoje wysiłki. Ale Tolliver jest moim bratem i to ja muszę się tym zająć.

Chciałam być miła dla tej dziewczyny, której jedynym grzechem był wiek siedemnastu lat. Ale traciłam do niej cierpliwość. Melodramatyczna smarkula. Jednak przypominałam sobie, że w krótkim okresie straciła brata i ojca, więc postarałam się wykrzesać z siebie nieco gościnności.

–Napijesz się kawy albo czegoś zimnego? – Jasne.

Podeszła do przenośnej lodówki i wzięła sobie coca colę. Zaparzyłam w motelowym ekspresie mały dzbanek kawy. Kawa była marnej jakości, ale przynajmniej gorąca i zawierała kofeinę. Popatrzyłam na mojego gościa. Mary Nell bez makijażu, z włosami ściągniętymi w koński ogon, wyglądała na swój wiek. Powinna teraz pisać w domu wypracowanie z angielskiego albo plotkować z przyjaciółką przez telefon o randce, a nie siedzieć w pokoju motelowym z kimś takim jak ja.

–Zwróciłaś się do innego prawnika – zaczęłam. – Czemu nie do Paula Edwardsa?

–Myślę, że mama chyba za niego wyjdzie – stwierdziła nieoczekiwanie.

–Nie lubisz go? – Myślałam intensywnie, jak poprowadzić rozmowę.

–Przyzwyczaiłam się do niego. Zawsze był w pobliżu. Przyjaźnił się z tatą, a mama we wszystkim się go radziła. Dell go nie lubił. Pokłócili się bardzo przed tym wszystkim.

–O co? – Starłam się, by zabrzmiało to obojętnie.

–Nie wiem. Dell nie chciał mi powiedzieć. Czegoś się dowiedział, poszedł o tym porozmawiać z panem Edwardsem, ale nie spodobało mu się to, co tamten powiedział.

–To coś dotyczyło Paula?

–Nie wiem czy jego, czy kogoś innego. Ale Dell uważał, że pan Edwards pomoże mu to wyjaśnić, że wie coś na ten temat.

–Aha. – W notce nie było liter P ani E, zakładając, że Sally zapisała inicjały jakichś osób. Do licha, czemu ludzie nie mogą zapisywać informacji normalnie? Niech szlag trafi skróty.

–Myślałam, że byliście z Dellem blisko? – odezwałam się nietaktownie i głupio. – Jestem zdziwiona, że ci nie powiedział o czymś tak ważnym.

Spojrzała na mnie z urazą.

–Byliśmy blisko jak na rodzeństwo.

–To znaczy?

–Są tematy, których brat i siostra nie poruszają – stwierdziła, jakby poproszono ją o opisanie śniegu Eskimosowi. – No wiesz, przecież wy z Tolliverem też nie rozmawiacie o pewnych sprawach. Ach, zapomniałam, że przecież wy nie jesteście prawdziwym rodzeństwem. To faktycznie, możesz nie wiedzieć.

Trafiony, zatopiony.

–Siostra i brat nie rozmawiają o seksie, założę się, że nawet jak są dorośli – pouczyła mnie. Przypomniałam sobie jej zszokowaną minę, gdy wyjawiała nam, że Teenie spodziewała się dziecka Della. – Nie rozmawiają także o tym, kto z ich przyjaciół to robi. Ale o innych rzeczach, jak najbardziej.

–Czy Scot wspominał ci, że zamierza tu przyjść i mnie pobić?

Wzdrygnęła się.

–O czym ty mówisz?!

A więc poczta pantoflowa w Sarne jeszcze nie zaczęła działać, a ona nic nie wiedziała.

–Ktoś mu zapłacił, żeby przyszedł tu i schował się w pokoju obok. Miał mnie pobić. Tak jak wtedy rano, ale tym razem był sam. Gdyby nie Hollis Boxleitner, pewnie leżałabym teraz w szpitalu.

–Boże, nie miałam pojęcia.

Po raz kolejny poczułam wyrzuty sumienia, ale nie było innego sposobu na opowiedzenie czegoś takiego. Nie mogłam już bardziej okroić wersji.

–Co się tu dzieje?! Dopóki nie przyjechaliście, wszystko było w porządku!

Niezła zmiana stanowiska.

–Przyjechałam na zaproszenie twojej matki – przypomniałam jej. – Odnalazłam tylko ciało Teenie, czyli zrobiłam to, czego po mnie oczekiwano.

–Lepiej by było, gdybyś jej nie znalazła – oświadczyła Nell dziecinnie.

Tak jakby mogła przewidzieć bieg wydarzeń.

–To moja praca. To ona nie powinna leżeć w lesie, czekając, aż ktoś ją znajdzie. Wywiązałam się z zadania i dobrze, że mi się udało – powiedziałam, siląc się na spokój.

–To czemu to wszystko się dzieje? – rzuciła, jakby oczekiwała, że podam jej odpowiedzi na tacy. – Co się dzieje?

Pokręciłam głową. Sama nie wiedziałam. Ale gdy tylko dowiem się czegoś, co

pozwole mi uwolnić brata, moja noga już nigdy nie postanie w Sarne.

Nell musiała iść do szkoły. Gdy wychodziła, na jej dziecinnej buzi malowało się oszołomienie.

Poszłam na posterunek, żeby złożyć zeznania w sprawie wczorajszego zajścia i zapytać, kiedy mogłabym zobaczyć się z Tolliverem. Bałam się nawet wspomnieć o tym recepcjonistce, korpulentnej kobiecie, którą widziałam tam pierwszego dnia naszego pobytu w Sarne. Bałam się, że jeśli odkryją, że chcę się z nim widzieć, znajdą sposób, by mi to uniemożliwić. A nie wiedziałam nawet kim są ci „oni”.

–Godziny odwiedzin są od wtorku do piątku między czternastą a piętnastą – powiedziała do ściany, jakby się bała, że jej oczy nie zniosą widoku takiego ohydztwa jak ja.

Ulżyło mi ogromnie. Był czwartek, więc o drugiej będę mogła się zobaczyć z bratem. Ale do tego czasu nie miałam co robić. Miałam dość siedzenia w tym wstrętnym pokoju motelowym.

Udałam się na cmentarz, ten nowszy. Postanowiłam złożyć wizytę Teague’om, nieżywej części tej rodziny. Udało mi się zaparkować niedaleko kwatery i tym razem byłam ciepło ubrana. Robiło się coraz zimniej. Mało prawdopodobne, żeby już na początku listopada miał spaść w Arkansas śnieg, ale w Ozark nie było to wykluczone. Miałam na sobie błękitną kurtkę, czerwony szalik i rękawiczki tej samej barwy. Specjalnie dobierałam tak jaskrawe kolory – lubię, gdy mnie widać, szczególnie w Arkansas, w sezonie łowieckim. Po raz pierwszy tej jesieni ubrałam się tak ciepło i czułam się opatulona jak dzieciak, który po raz pierwszy w życiu wyszedł pobawić się na śniegu.

Rozejrzałam się po opustoszałej okolicy. Po drugiej stronie drogi, na zachodzie, rozciągał się las. Na północ znajdowało się niewielkie skupisko domów, może ze dwudziestu. Każdy budynek otaczał półhektarowy trawnik, a na tarasach, na które wychodziło się przez szklane rozsuwane drzwi, stały gazowe grille. Żadnych samochodów – wszyscy pracowali, żeby zarobić na utrzymanie tych podmiejskich rezydencyjek. Cmentarz rozciągał się na południowym stoku stromego wzgórza, które częściowo zasłaniało widok na wschód. Miejsce było zaciszne i spokojne.

Bez trudu odnalazłam mogiły Teague’ów – na cokole pośrodku cmentarza wznosił się wysoki pomnik z nazwiskiem wrytym po południowej i północnej stronie kamienia.

Powoli szłam od grobu do grobu. Nie należeli do długowiecznych rodów. Dziadek Della zmarł w wieku lat pięćdziesięciu dwóch, na rozległy zawał. Leżały tam także dwie jego siostry, zmarłe w niemowlęctwie. Babka Della pochodziła z

twardszego rodu. Dożyła siedemdziesięciu dwóch lat i odeszła raptem przed dwoma laty, na zapalenie płuc, ogólnie rzecz biorąc. Zahaczyłam o Della – jego nagła śmierć zdecydowanie obniżała średnią życia w tej rodzinie. Z dat wrytych na płycie mogiły ojca Della obliczyłam, że miał zaledwie czterdzieści siedem lat, gdy żona znalazła go martwego w gabinecie.

To właśnie Dick był celem moich odwiedzin. Gdy weszłam na jego grób, czułam podekscytowanie, jakiego doświadcza się tuż przed włożeniem do ust kawałka wyśmienitego deseru. Mój szósty zmysł wniknął w skalistą glebę, nawiązując łączność ze szczątkami poniżej. Poświęciłam Dickowi całą swoją uwagę. Ale podeszwy butów, ziemia i trumna tłumyły odpowiedź. Potrzebowałam bliższego kontaktu. Kucnęłam, kładąc dłonie przy steli. W tym samym momencie spomiędzy drzew dobiegł trzask i poczułam, jak coś uderza w moją twarz tak mocno, że krzyknęłam z bólu.

Nie zdejmując rękawiczki, dotknęłam policzka. Na tkaninie widniała plama krwi. Różniła się odcieniem od wesolej czerwieni rękawiczki. Wpatrywałam się w nią oszołomiona. Słyszając kolejny trzask, uświadomiłam sobie, że ktoś do mnie strzela.

Jednym ruchem przypadłam do ziemi. Dzięki Bogu, nie była to Delta* [*Prawdopodobnie tereny dopływów Missisipi], gdzie teren był tak płaski, że nie ukryłaby się tam nawet mucha. Podczołgałam się, chowając się za dużym pomnikiem. Nie był wystarczająco szeroki, ale zawsze stanowił jakąś osłonę.

Na szczęście miałam ze sobą komórkę. Drżącymi palcami wystukałam 911. W słuchawce odezwał się głos kobiety, z którą prawdopodobnie wcześniej rozmawiałam na posterunku.

–Jestem na cmentarzu przy drodze 314 i ktoś do mnie strzela. Oddał dwa strzały.

–Jest pani ranna?

–Skaleczył mnie odłamek płyty. Ale boję się ruszyć. – Ogarnął mnie strach tak wielki, że zaczęłam płakać i trudno było mi mówić dalej.

–Dobrze, wysyłam do pani radiowóz. Proszę się nie rozłączać. – Odłożyła gdzieś słuchawkę, żeby wydać polecenia. – Pewnie jakiś myśliwy przez pomyłkę – uspokajała mnie.

–A widziała pani kiedyś błękitnego jelenia?!

–Słyszała pani więcej strzałów?

–Nie. Ale ukryłam się za pomnikiem Teague'ów.

–Słyszysz pani już syreny?

–Tak. – Nie po raz pierwszy w Sarne czułam ulgę, słysząc sygnał radiowozu. Otarłam twarz czystą rękawiczką. Wóz zahamował ostro tuż za

moim samochodem. Wysiadł z niego Bledsoe – zastępca, który aresztował Tollivera. Podszedł niespiesznie do miejsca, gdzie się ukrywałam.

–Mówi pani, że ktoś do pani strzelał? – Głowę bym dała, że sam chętnie wyjąłby broń i mnie zastrzelił.

Podniosłam się powoli, walcząc z niemocą nóg. Oparłam się o granitowy pomnik, rozważając czy kilka głębokich wdechów i wydechów przywróci mi zdolność chodzenia.

Spojrzał na mnie, przybierając bardziej profesjonalną postawę.

–Skąd padły strzały?

Wskazałam na las za drogą, na kępę drzew najbliższą cmentarza.

–Proszę popatrzeć na tę płytę. – Pokazałam palcem jaśniejszą szczerbę na krawędzi, skąd został odłupany kawałek kamienia.

Nagle Bledsoe wyprostował się i przymrużonymi oczyma zaczął przepatrywać okolicę. Sięgnął do kabury.

–Skąd ta krew? Dostała pani?

–Odpryskiem. – Nie zachwycał mnie własny niepewny, drżący głos. – Kula przeszła bardzo blisko. Odłamek uderzył mnie w policzek.

Dostrzegłam go na ziemi, podniosłam i podałam.

–Oczywiście równie dobrze mogła to pani zrobić sama – stwierdził Bledsoe bez przekonania.

–Mam gdzieś, co pan myśli. I nie obchodzi mnie, co pan napisze w raporcie. Wystarczy, że pana przybycie powstrzymało go od strzelania.

–„Go”?

–Tak mi się powiedziało. – Oddychałam już prawie normalnie. Gdy moja świadomość przyjęła już fakt, że przez chwilę nikt nie będzie próbował mnie zabić, powróciłam do wcześniejszej opinii o zastępcy.

–A swoją drogą, co pani tu robi? – On także znów zaczął traktować mnie wrogo.

–Wpadłam kogoś odwiedzić. Popatrzył na mnie z odrazą.

–Niezła z pani sztuka.

–Wzajemnie. A teraz, póki pan tu stoi, idę do auta. Nie chcę zginąć w tym mieście. Dzięki za przybycie. Wygląda na to... – zawiesiłam głos -...że tutejsza policja nie jest tak całkiem skorumpowana. – Doszłam do wniosku, że było to bardziej niż nie na miejscu, szczególnie, że Bledsoe nie pokazywał mi palcem, wołając: „No dalej, zastrzel ją!”. Skinął głową.

–Stała pani na grobie Dicka? – zapytał, zanim zatrzasnęłam drzwiczki.

Przytaknęłam.

–Chciała się pani dowiedzieć, jak zmarł? Ponownie przytaknęłam.

–No i co to było według pani?

–Zawał, podobnie jak u jego ojca. – Patrzyłam zastępcy w oczy, pilnując, żeby nie drgnął mi żaden mięsień na twarzy.

–Więc lekarz miał rację? – Tak.

Kiwnął głową z zadowoleniem. Zapaliłam silnik i włączyłam ogrzewanie.

Przystając na zakręcie, zerknęłam we wsteczne lusterko. Zastępca jechał tuż za mną. W tej samej chwili zdałam sobie sprawę, że o ile nie chcę przyprawić o zawał Tollivera, przed wizytą w areszcie muszę wstąpić do motelu. Na moim policzku i kurtce widniały plamy zaschniętej krwi.

Zdażyłam zniechęcić motel, ale – ponieważ tym razem nikt nie czaił się na mnie za drzwiami – musiałam przyznać, że czułam się w nim bezpieczniej niż na ulicy. Sarne zaczęło mi się jawić jako strefa śmierci. Zamknęłam drzwi na klucz, zasuwkę oraz łańcuch i poszłam do łazienki. Umyłam twarz i zrobiłam makijaż, nie zapominając o nałożeniu jasnej szminki. Nie chciałam wyglądać jak trup, idąc do Tollivera. Plasterki na policzku psuły efekt, ale musiałam zakleić skaleczenie. Zaplamione krwią części garderoby wsadziłam do wanny z zimną wodą, więc musiałam włożyć czarną skórzaną kurtkę.

W drodze do aresztu złapałam się na tym, że co kilka sekund bacznie lustruję otoczenie. Usiłowałam nie zachowywać się idiotycznie. Przecież nikt nie będzie próbował zabić mnie w biały dzień na środku ulicy! Ale z drugiej strony, myliłam się, sądząc, że poranny wybryk Scota to wszystko, na co go stać; uważając go za niegroźnego, przygłupiego nastolatka, którego ukaranie mogę zostawić w rękach trenera. Ha!

Nie była to moja pierwsza wizyta w więzieniu. Pobieżna rewizja osobista i konieczność oddania do przeszukania torebki była rutynową, acz mało przyjemną procedurą. Gwałtowny ruch na cmentarzu obudził ponownie ból w boku. Czułam się jak kupka nieszczęścia, nie znosiłam być tak bezradna.

Na widok Tollivera wchodzącego do pokoju w pomarańczowym kombinezonie więziennym ścisnęło mnie w dołku. Gdy ujrzałam, że prowadzi go strażnik, musiałam zakryć usta dłonią. Prócz niego do sali weszło dwóch innych aresztantów (ale nie Scot), na których przy innych stolikach czekali odwiedzający. W areszcie w Sarne obowiązywały następujące zasady: Trzymaj ręce na blacie – tak, żeby przez cały czas były na widoku. Nie przekazuj niczego osadzonemu, zanim nie ustalisz tego ze strażnikiem. Nie podnoś głosu i nie wstawaj z krzesła, póki więźniowie nie opuszczą sali.

Tolliver ujął mnie za rękę. Spojrzeliśmy po sobie.

–Masz poranioną twarz – odezwał się w końcu. – Tak.

–Ktoś cię uderzył? – spytał z twarzą ściągniętą gniewem.

–Nie, nie. – Nie wymyśliłam żadnej historyjki. I tak nie ukryłabym tego, co przydarzyło mi się, gdy siedział w areszcie. Nie byłam w stanie wymyślić sensownego kłamstwa, nawet w imię spokoju jego umysłu. – Ktoś do mnie strzelał – wyznałam beznamiętnie. – Nie trafił, to tylko zadrapanie. Nie pójdę już na cmentarz.

–Co się dzieje w tym mieście? – Tolliver wkładał wiele wysiłku, aby się opanować. – Co jest z tymi ludźmi?

–Widziałeś Scotta? – spytałam, usiłując mówić z ożywieniem.

–Tego dzieciaka? – Tak.

–Przywieźli kogoś w nocy, ale nie widziałem jeszcze kogo. Za co siedzi?

–Czekał na mnie w motelu, jak Hollis mnie odwoził i...

Zamilkłam na widok miny Tollivera.

–Uspokój się – powiedziałam cicho, lecz z naciskiem, oplatając palcami jego dłonie jakby były liną ratunkową, której trzyma się tonący. Jego dłonie lub on sam. – Musisz się opanować. Musisz. Jeśli wybuchniesz, zatrzymają cię tutaj. Posłuchaj, nic mi nie będzie. Dzwoniłam do Arta. Jutro na rozprawie będzie Phyllis Folliette, prawniczka z Little Rock. Polecił mi ją, więc musi być dobra. Wyjdiesz i wszystko będzie dobrze. – Poprawiłam się na krześle, powstrzymując grymas bólu.

–Ten Scot to cholerny drań – powiedział Tolliver zwodniczo spokojnym tonem.

–Tak – parsknęłam cicho. – To fakt. Ale sądzę, że ktoś mu zapłacił za draństwo większego kalibru niż to, które miał wrodzone.

Opowiedziałam Tolliverowi o okolicznościach śmierci Dicka Teague, o tym, że Sally sprzątając jego gabinet, zobaczyła coś, co wzbudziło w niej taką ciekawość, że po powrocie do domu szukała czegoś w podręczniku. Litery „SO JO DA NO” nie kojarzyły się z niczym także Tolliverowi.

–Może to anagram? – zasugerował.

–Jeśli tak, to mnie nie udało się ułożyć z tego żadnego słowa. I nie są to też inicjały. Zapisałam je wspak. Próbowałam przypisać im cyfry. Sprawdziłam litery, które występują w alfabecie przed i po nich. Nie sądzę, żeby Sally Boxleitner była w stanie wymyślić jakiś bardziej skomplikowany kod.

Tolliver zamyślił się na moment. Pod palcami czułam jego puls, równy i mocny.

–A co było na biurku? – spytał.

–Dokumenty ubezpieczeniowe.

–Czyje?

–Z tego co mówiła Sybil, przeglądał rachunki za usługi medyczne całej

rodziny z poprzedniego roku.

–Naprawdę miał zawał?

–Tak, to właśnie sprawdzałam na cmentarzu. To chyba dziedziczne.

Przynajmniej jego ojciec zmarł na to samo, choć nie tak wcześnie jak Dick.

–Pomyślę o tym, mam sporo czasu na myślenie – powiedział Tolliver, starając się ukryć rozgoryczenie.

Musiałam odchrząknąć.

–Przyniosłam ci książkę. Chyba szukają w niej jakichś ukrytych wiadomości, ale dadzą ci ją, jak wrócisz do celi.

–Dzięki. – Nie odzywał się przez chwilę, walcząc z chęcią powiedzenia czegoś. Przegrał. – Siedzę tu i nie mogę nic zrobić, żeby cię chronić.

–Wiem.

–W życiu nie byłem tak wściekły.

–Rozumiem.

–Musimy się dowiedzieć, komu tak zależało, żebym się tu znalazł.

–Myślę... że to Jay Hopkins?

–Czemu?

–Marv Bledsoe kumpluje się z Jayem. I jest kuzynem Paula Edwardsa. Chyba że Marv aresztował cię na rozkaz Harveya.

–Hm, z tej trójki, stawiałbym na Jaya. Przytaknęłam. Jay był z nich najstarszy.

–Koniec widzenia – ogłosił strażnik. Pozostali odwiedzający wstali. Spojrzeliśmy po sobie z Tolliverem. Z całej siły starałam się ukryć niepokój. Tolliver pewnie robił to samo.

–Zobaczymy się jutro w sądzie – rzekł pospiesznie, bo strażnik zaczynał zdradzać oznaki zniecierpliwienia. Puściłam go, odsuwając krzesło.

Pięć minut później stałam pod budynkiem, rozważając, co robić dalej. Ciągłe wydawało mi się, że ktoś mnie obserwuje, ściskając w ręku strzelbę. Zastanawiałam się, czy pożyję na tyle długo, by wyciągnąć Tollivera z aresztu. Gardziłam sobą za ten lęk. Ja przynajmniej byłam na wolności; mój brat nie. Pewnie nie był bezpieczniejszy w celi niż ja na ulicy. Nie, jeśli naszym wrogiem okazałby się szeryf.

Po przejeżdżających samochodach zorientowałam się, że uczniowie skończyli już lekcje, nie byłam więc zaskoczona, gdy zatrzymała się przy mnie moja nowa przyjaciółeczka, Mary Nell.

–Wsiadaj, przejedziemy się – zawołała, wychylając się przez okno. Usiadłam na miejscu pasażera, zdumiona nie tylko sobą, ale też tym, że dziewczyna przyznała się do mnie publicznie.

–Widziałaś się z nim? – spytała, wycofując i ruszając z miejsca z prędkością, której nie dało określić się inaczej niż brawurową.

–Tak.

–Nie pozwolili mi wejść, bo nie jestem krewną ani żoną – oznajmiła z ponurym niedowierzaniem, jakby brak zgody na odwiedzinę usychającej z miłości do więźnia nastolatki świadczył o czystej złośliwości strażników. Nell zaczęła mnie irytować tą swoją uciążliwą fascynacją i przeświadczeniem o własnym uprzywilejowaniu. Mimo to trochę jej współczułam, a poza tym miałam nadzieję, że pomoże mi poznać prawdę o tym, co wydarzyło się w Sarne.

Najlepiej od razu.

–Co wiesz o Jayu Hopkinsie, Nell?

–Był mężem pani Helen, przecież wiesz.

–Miał jakieś kontakty z Dellem?

–A co za różnica? Nie interesują mnie takie śmiecie jak on.

–Wiem, że to niełatwe, ale czas, żebyś wyoroślała.

–Tak jakbym nie wyoroślała przez ten ostatnirok.

–To prawda, że ostatnio sporo przeżyłaś, ale z tego co widzę, wcale nie spoważniałaś.

Zjechała na pobocze i spojrzała na mnie oczyma pełnymi łez.

–Jesteś wstrętna – załkała. – Nie masz serca! Tolliver zasługuje na lepszą siostrę!

–Masz rację. Ale ma tylko mnie i muszę zrobić wszystko, żeby mu pomóc. On jest także wszystkim, co mam. – Zauważyłam, że nie odpowiedziała na moje pytanie, ale doszłam do wniosku, że jej reakcja mówi za siebie.

Otarła twarz chusteczką i wydmuchała nos.

–Czemu mnie tak wypytyujesz o ludzi?

–Ktoś do mnie dzisiaj strzelał. Ktoś zapłacił twojemu adoratorowi, aby mnie pobił. I ktoś wpuścił go do mojego pokoju. Bo raczej nie wymyślił tego sam, prawda?

Potrząsnęła głową.

–Jak rozmawiałam ze Scotem wczoraj, był na mnie wściekły i na ciebie też, ale mówił, że zamierza się trzymać od ciebie z daleka. Pan Random, trener, kazał mu biegać w górę i w dół po trybunach, dwadzieścia razy na oczach całej drużyny. A potem tata dał Scotowi szlaban na telewizję i telefon na cały miesiąc.

–Więc co się stało później, co sprawiło, że w efekcie zaczął się na mnie w pokoju? – Dwadzieścia razy tam i z powrotem po trybunach i miesięczny szlaban na telewizor oraz telefon. Dobrze wiedzieć, że napad na mnie zaowocował tak surową karą.

–Nie pomyślałaś nigdy, że to twój kochaś, Hollis, za tym stoi? – Nell przeszła do kontrataku.

–Nie, absolutnie. Skąd taka sugestia? – Mary Nell próbowała wyprowadzić mnie z równowagi i niewiele jej brakowało, ale ogromnym wysiłkiem udało mi się trzymać nerwy na wodzy.

–Wiesz, może Hollis chciał mieć szansę uratowania cię przed jakimś niebezpieczeństwem? Może chciał wyjść na bohatera? I może to on do ciebie strzelał, choć tylko ty tak twierdzisz... znaczy, jeśli tak było.

–Czemu miałby do mnie strzelać?

–Żeby cię przestraszyć. Żebyś zaczęła go potrzebować, żeby cię przy sobie zatrzymać. Teraz, jak twój brat siedzi w więzieniu, potrzebujesz przyjaciela, kogoś, kto by się tobą opiekował, prawda? Więc może to aresztowanie to też pomysł Hollisa.

Nell zrobiła na mnie wrażenie. Dość abstrakcyjne myślenie i spora znajomość psychologii jak na siedemnastolatkę. Jej teoria brzmiała logicznie i choć nie chciałam w nią wierzyć (zresztą ona sama prawdopodobnie w nią nie wierzyła) musiałam ją wziąć pod uwagę. Zresztą zawierała nie mniej sensu niż moje hipotezy. Przypomniałam sobie noc z Hollisem i na chwilę ogarnęły mnie czarne myśli, że może faktycznie oszukiwał mnie od samego początku. Ale szybko uzmysłowiłam sobie bardziej racjonalne przyczyny, dla których wygłaszała takie opinie – Mary Nell miała wiele powodów, by się na mnie odgrywać, a najważniejszym z nich była zazdrość, że jestem tak blisko z Tolliverem, co dla niej było nieosiągalne. Głupia smarkula. Jednak patrząc jak ociera twarz i przyczesuje włosy, zdałam sobie sprawę, że ta dziewczyna jest przecież tylko siedem lat młodsza ode mnie. Jej życie nie było usłane różami, ale i tak lepsze niż moje. W jej wieku, poza tym, że zdążyłam już przeżyć porażenie piorunem, dobrze poznałam ciemne strony rzeczywistości. Obserwowałam jak dorośli, których znałam i kochałam, zaprzepaszczają swoją przyszłość. A potem straciłam Cameron, dosłownie straciłam.

–Nie patrz tak na mnie – powiedziała Nell drżącym głosem. – Wiesz w ogóle, gdzie jesteśmy? Boże, przestań się gapić!

Zamrugałam, zaskoczona. Nie zdawałam sobie sprawy, że się w nią wpatruję.

–Przepraszam – rzekłam odruchowo. – Twoja mama wspominała, że w zeszłym roku wycinano ci migdałki?

–Jesteś stuknięta. Kompletnie popieprzona – stwierdziła, specjalnie używając wulgaryzmu i prowokując, żebym ją upomniała.

Nie zareagowałam.

–Odpowiedz – ponagliłam ją po chwili.

–Tak, miałam – przyznała urażona.

–W tutejszym szpitalu?

–Nie, w Mount Parnassus. Nasz zamknęli dwa lata temu.

–Czy Della po wypadku także zawieziono właśnie tam? – Czerpałam informacje zdobyte podczas wizyty u Sybil, nie wiedząc właściwie, czego szukam. Może zorientuję się, jak to usłyszę. – To on miał złamaną nogę czy ktoś inny?

–Ten chłopak, który prowadził. Dellowi założyli kilka szwów na głowie. Z początku lekarz się bał, że to może być coś poważnego, bo Dell był jakiś czas nieprzytomny, ale wypuścili go na następny dzień.

–Twój tata także leżał w tym szpitalu. – Próbowałam stworzyć coś z niczego.

–Tak, miał zapalenie płuc. – Mary Nell posmutniała. – Miał kłopoty z sercem, a choroba jeszcze bardziej je osłabiła. Mówiłam mu, że wydobrzeje, ale dzień przed śmiercią powiedział: „Nelly, nigdy nie będę już taki, jak przed chorobą”.

–Nazywał cię Nelly?

–Tak, albo Nell. Lubił mówić na nas Nell i Dell. – Twarz dziewczyny wykrzywił płaczliwy grymas. – Nie mam już brata, ani taty. Już nikt nigdy nie będzie mnie tak nazywał.

–Na pewno jeszcze ktoś będzie cię tak nazywał – pocieszyłam ją, starając się równocześnie uchwycić ważną myśl, która kołatała mi się w głowie. – Jesteś ładna, Mary Nell, i masz charakter. Kiedyś spotkasz kogoś, kto będzie do ciebie mówił, jak zechcesz.

Rozpogodziła się, zadowolona, mimo że powiedziała to osoba, którą – jak sądziła – pogardzała. Tak naprawdę jej uczucia do mnie były bliższe zawiści.

–Tak myślisz? – Tak.

–Harper – rzekła, a ja uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu – co będzie z Tolliverem?

–Jak mówiłam, dzwoniłam do naszego prawnika, który polecił mi kogoś z Little Rock. Adwokat pojawi się tu jutro na rozprawie. Wiem, że go z tego wyciągnie.

–Sama to załatwiłaś? – Jasne.

–Ja bym tak nie umiała – przyznała przygnębiona. – Nie wiedziałbym od czego zacząć.

Nie chciałam zabrzmieć jak Stara Mądra Góralka, ale powiedziałam:

–Dowiesz się w swoim czasie.

–Lubiłam panią Helen – oświadczyła Nell, zaskakując mnie ponownie.

–Już mówiłaś. Ja też ją polubiłam. Dobrze ją znałaś?

–Pracowała u nas jakiś czas. Tak właśnie Dell poznał Teenie. Znaczący znał ją ze szkoły, bo przecież wszyscy się znamy, ale chyba nigdy nie zacząłby z nią rozmawiać, gdyby pani Helen nie przyszła do nas pracować. Wtedy dowiedział się, jaka Teenie była naprawdę. Potem pani Helen zaczęła pić i spóźniać się do pracy, więc mama ją zwolniła i zatrudniła panią Happ. Ale Dell i Teenie nadal spotykali się w tajemnicy.

To samo mówił Hollis.

–Potem pan Jay pobił panią Helen i słyszałam, jak mama kłóci się z wujkiem Paulem o to, czy przyjąć ją znów do pracy. Wujek twierdził, że pani Helen już nie pije i że zasługuje na drugą szansę, a mama na to, że po tym czego się dowiedziała, nie wpuści już Helen za próg i żeby ta poszukała sobie miłości i pracy gdzie indziej. Szczególnie tego pierwszego, dodała. Jak myślisz, o co jej chodziło? – Mary Nell była lepsza niż dyktafon.

–Nie mam pojęcia. Nic z tego nie rozumiałam. Ale wydaje mi się, że mama uważała, że pani Helen jej coś zabrała. Oczywiście nie powiedzieli mi o co chodzi. – W jej głosie zabrzmiała typowa gorycz: nastolatka kontra świat dorosłych.

–Podrzucisz mnie do mojego auta? Zgodziła się, ale trochę urażona.

Moja prośba wypadła zbyt obcesowo, ale musiałam pomyśleć, a Mary Nell była w stanie gadać bez przerwy, póki miała do kogo.

Kiedy zostałam sama, znów poczułam się zagrożona i bezbronna. Do motelu pojechałam najkrótszą drogą, po czym zabarykadowałam się w cholernym pokoju z cholerną zieloną kapą. Nikt nie zostawił mi wiadomości. Nie potrafiłam zdecydować czy to dobrze, czy źle. W nodze czułam znajome mrowienie. Zdjęłam spodnie, żeby rozmasować skórę naznaczoną gmatwaniną czerwonych linii. Cameron przez jakiś czas nazywała mnie „Spiderwoman”; przestała, gdy zorientowała się, że pajęczynowaty ślad zostanie na zawsze. Mój ojczym zabawiał przyjaciół, pokazując im znamię na mojej nodze.

Hollis nigdy o nim nie wspomniał. Może nie wiedział, że łączyło się ono z wypadkiem. Może sądził, że to znamię przyrodzone i nie chciał zranić moich uczuć, pytając o nie.

Położyłam się na łóżku. SO JO DA NO, pomyślałam. Brzmiały niemal jak refren piosenki karaibskiej. Dobra. Na wspak. ON AD OJ OS. NO DA JO SO. Soda, jod, oda, nos, daj, soja, no. Dno, jad, nad. Ona. Sajan. Nie, nie ma drugiego A. Dlaczego jest tylko jedno A? We wszystkich innych parach występuje O.

Dobrze. A jeśli druga litera jest czymś w rodzaju... operatora? A pierwsza to

imię? S jak Sybil, D jak Dell, N jak... Ach, Mary Nell mówiła, że tata zwracał się do niej „Nelly”. N może odnosić się do niej. Ale kim w takim razie jest J? Nie mogłam sobie przypomnieć, czyje imię mogłoby rozpoczynać się na J. D mogło także oznaczać Dicka, nie Della.

Po raz pierwszy żałowałam, że nie mogę rozmawiać ze zmarłymi. Przyjmuję tylko to, co mi dają. A dają obrazy swej śmierci. Przekazują to, co czuli w chwili odejścia. Jednak nigdy nie mówią dlaczego, ani kto, tylko w jaki sposób.

Mam kulę w plecach... Jestem chory na płuca... Serce przestało mi bić... Byłem stary i zmęczony... Ten samochód uderzył tak mocno... Nie mogę oddychać, nie mogę oddychać, inhalator leży za daleko... Kawałek mięsa utkwił mi w gardle... Wirus opanował moje ciało i poczynił w nim zniszczenia... Ostrze noża przebiło mi wątrobę, potem żołądek, potem...

Każdy ze zmarłych snuł swoją historię, jednak nie wyjaśniał nic i nie wskazywał sprawcy. Z informacji zamieszczanych na małych witrynkach dowiedziałam się, że są też inni ludzie – ucałowani ogniem niebieskim – którzy widzą nieżywych, a nawet mogą się z nimi komunikować. Ale nikt nie przyznawał się do podobnych moim okrojonych kontaktów ze śpiącymi sześć stóp pod ziemią. Byli „pogromnicy” widzący przyszłość, którzy w teraźniejszości kuleli, lub oglądali świat rzeczywisty jednym tylko okiem. Jedna

z kobiet żaliła się, że rodzina nie chciała jej pomóc po wypadku, przekonana, że jest naładowana elektrycznością i może ich porazić. Na listach dyskusyjnych z ograniczonym dostępem, do których należało po kilka osób, jakiś mężczyzna z Kolorado napisał, że wszędzie towarzyszy mu brat, zabity przez ten sam piorun, który dotknął i jego. Oczywiście nikt poza nim go nie widział, a rodzina nawet na jakiś czas zamknęła go w psychiatryku.

Całą noc spędziłam w pokoju. Na kolację zamówiłam pizzę z dostawą. Hollis zadzwonił, by powiedzieć, że ma dzisiaj nocny patrol i żebym skontaktowała się z nim w razie potrzeby. Odebrałam też „dyszący” telefon, prawdopodobnie od jednego z nastolatków, którzy mi grozili. Skontaktował się też ze mną Paul Edwards, aby wyrazić współczucie z powodu „sytuacji” Tollivera oraz zapewnić, że mogę liczyć na jego pomoc.

Ale ponieważ był kuzynem człowieka, który aresztował mi brata, pewnie zachodziłby w tym przypadku konflikt interesów. Podziękowałam jednak za troskę. Dał mi do zrozumienia, że chętnie by do mnie wpadł, ale spławiłam go mniej niż taktownie.

Owszem, był przystojny, był prawnikiem, a nie zaszkodziłoby mieć za przyjaciela przystojnego prawnika, ale Paul Edwards nie proponował kobiecie spotkania ot tak. Czegoś chciał, a możliwe, że nie seksu. Nie wyglądał na Don

Juana. Jego związek z Sybil nie stanowił tajemnicy, a jednak jakieś ukryte motywy skłaniały go do zainteresowania się mną.

Zdołałam przespać się tej nocy kilka godzin, czyli więcej niż liczyłam. Kawę zrobiłam sobie w pokojowym ekspresie. Była paskudna, ale przynajmniej nie musiałam narażać się na towarzystwo obcych, by ją wypić. Zresztą i tak nie byłabym w stanie nic przełknąć, więc wyjście do baru nie miało sensu.

Z Phyllis Folliette umówiłam się w sądzie. Nie wiedziałam, jak wygląda, ale wyłowienie jej z tłumu nie stanowiło problemu. Od razu dostrzegłam kobietę, która nie wyglądała na mieszkankę Sarne. Wysoka czterdziestolatka w ciemnozielonym kostiumie, brązowej, jedwabnej bluzce i pięknych czółenkach z kożłęczą skórki, które współgrały kolorystycznie z torebką, teczką, a nawet... włosami. Folliette wzbudzała zaufanie, emanowała inteligencją. Kogoś takiego właśnie z Tolliverem potrzebowaliśmy.

Czułam się skrępowana, podchodząc do takiej gwiazdy. Niewiele kobiet czułoby się przy niej atrakcyjnie, a ja nie należałam do tej małej grupy. Zbyt dobrze zdawałam sobie sprawę ze swoich rozczochranych włosów i wymiętego spodniomu. Zdobyłam się na wydobycie z walizki uniformu „kliento-zapoznawczego”, ale nie starczyło mi już energii na jego wyprasowanie. Na widok Phyllis Folliette tak utalentowanej w robieniu dużego wrażenia, pożałowałam, że nie wskoczyłam w dżinsy.

–Miło mi panią poznać – przywitała mnie. – Art Barfield jest panią zachwycony, a to wiele znaczy. – Potrząsnęła moją dłońią i zaczęła opowiadać, czego dowiedziała się od osób pracujących dla wymiaru sprawiedliwości w Sarne. – Byłam w areszcie. Coś się święci. Po pierwsze, gdyby poważnie traktowali sprawę z nakazem z Montany, pan Lang stawałby przed innym sądem. Nie wiem, na ile orientuje się pani w systemie prawnym Arkansas... – Uniosła idealnie wyregulowane brwi.

–Załóżmy, że nic – odparłam, co było bliskie prawdy.

–Nie zatrzymaliby go za rozbite światło, jeśli nie zrobiłby nic ponadto, na przykład uderzył policjanta, stawiał opór przy aresztowaniu, czy coś w tym stylu. W tym wypadku, podstawę aresztowania stanowił niewykonany nakaz wystawiony w Montanie. – To samo mówił Art. – Ale jeśli trzymaliby się tej historii, pani brat stawałby przed sądem okręgowym, a nie przed sądem rejonowym Sarne, który zajmuje się tylko wykroczeniami. Zobaczysz pani jak będziemy na miejscu. Musimy poczekać na swoją kolej, więc wysłucha pani sporo aktów oskarżenia przeciwko innym osobom – mówiąc to, przyglądała mi się krytycznie.

–Harper, złotko, jesteś strasznie spięta – powiedziała nagle. – Spróbuj się

uspokoić.

–Jak? Przecież to jakiś absurd! – szepnęłam. Staralam się mówić cicho, bo mijający nas ludzie zerkali na nas ciekawsko, ale byłam strasznie podminowana i bałam się, że moje zszargane nerwy zaraz puszcza. – Mówi pani, że pominą tę sprawę z Montany?

Sprawdziła godzinę.

–Możliwe. Mamy jeszcze trochę czasu, zanim go przyprowadzą. Znajdźmy jakieś spokojne miejsce i opowie mi pani o wszystkim.

Moim zdaniem zrelacjonowanie wszystkiego, co wydarzyło się w Sarne, nie było możliwe w tak krótkim czasie, ale udało mi się sklecić mniej więcej spójną historię, której epilogiem było aresztowanie Tollivera.

–Widzę, że faktycznie ktoś w tym mieście wziął się na panią – orzekła po chwili milczenia. – To ewidentne prześladowanie. Bez względu na to, co myślę o pani sposobie zarabiania na życie, uważam, że to jak panią traktują, jest wbrew zasadom przyzwoitości. A aresztowanie pani brata miało na celu wzmocnienie komunikatu, że nie jesteście tu mile widziani. Zrobię co w mojej mocy, by go wydostać. W zeszłym roku, w Montanie, został aresztowany, tak?

–No tak. Ten facet rzucił we mnie kamieniem. Tolliver się zdenerwował. To naturalne.

–Oczywiście – rzekła, jakby często miała klientów, których próbowano dosłownie ukamienować. – Zdenerwował się na tyle, że ten człowiek wylądował w szpitalu?

–Ej, przecież oddalono zarzuty.

–Uhm. Chyba mieliście szczęście do sędziego.

–Ma pani siostrę?

–Uhm, mam.

–Więc jeśli ktoś rzuciłby w nią kamieniem, ścigałaby pani sprawcę, prawda?

–Raczej zajęłabym się siostrą, a pościgi zostawiła policji.

–Niech pani spojrzy na to z punktu widzenia faceta.

–Hm, rozumiem, do czego pani zmierza.

–Rozmawiała pani o tym z Tolliverem, tak?

–Widziałam się z nim rano. Owszem wspomniał o tym, ale nie wdawał się w szczegóły.

–Typowe. – Uśmiechnęłam się lekko. – Jesteście bardzo związani – zauważyła. – Skąd inne nazwiska? Czy była pani mężatką?

–Nie. Jego ojciec poślubił moją matkę. Byliśmy wtedy nastolatkami. – Nie lubiłam wyjaśniać tej sprawy.

Kiwnęła głową, patrząc na mnie z ukosa. Zostawiła mnie, przepraszając, że

musi iść do łazienki. Przez chwilę wpatrywałam się w swoje stopy. Po wyjściu z toalety Phyllis wymieniła kilka powitań z osobami przechodzącymi korytarzem. Rozmawiała też krótko z siwiejącym mężczyzną w okularach i porządnym garniturze.

Gdy zniknął za drzwiami sali, Phyllis Folliette wróciła do ławki i energicznie kiwnęła głową.

–Musimy wejść, inaczej zajmą nam najlepsze miejsca – powiedziała. Dołączyliśmy do rzeki ludzi, wkraczających przez ogromne podwójne drzwi na salę sądową.

Sufit nad naszymi głowami zdawał się nikać gdzieś w chmurach. Przez lata pod tym wysokim sklepieniem musiano toczyć wiele rozmów i wypowiedzieć wiele słów. Usiadłyśmy z Phyllis w milczeniu, czekając aż pomieszczenie wypełni się ludźmi. Strażnicy wprowadzili aresztowanych. Musiałam zobaczyć Tollivera.

Podniosłam się, żeby mu się pokazać. Dostrzegł mnie i rzucił mi poważne spojrzenie. Opadłam na ławkę.

–Wygląda dobrze – zwróciłam się do prawniczki, szukając potwierdzenia. – Dobrze wygląda, prawda?

–Owszem – zgodziła się ze mną. – Choć nie do twarzy mu w pomarańczowym.

–To prawda.

Tłumek na sali wydawał się samoczynnie ustalać porządek zajmowania miejsc.

–Mamy jeszcze minutkę – zaczęła Phyllis. – Chciałabym o coś zapytać. Czy jest pani może krewną Cameron Connelly, tej dziewczynki, która została kilka lat temu porwana w Teksasie? Pytam, bo Art wspomniał, że dorastała pani w Texarkanie, a i pani, i jej imię brzmią jak nazwiska.

–Tak – przyznałam, choć nie skupiałam się za bardzo na rozmowie. – Cameron była moją siostrą. Dostałam imię po rodzinie babki ze strony ojca, a Cameron po rodzinie babki ze strony matki.

–Użyła pani czasu przeszłego. Nie została znaleziona? W pewnym momencie media przestały o tym mówić...

–Nie, nie znaleziono jej. Ale kiedyś uda mi się odnaleźć jej ciało.

–Ach... No tak.

Dopiero po chwili dotarło do mnie jak dziwnym tonem mówiła Phyllis.

–Zdaje sobie pani sprawę, że jeśli kogoś nie ma tyle czasu, to znaczy że nie żyje – powiedziałam bez ogródek.

–Ale ta dziewczyna z Utah, Elizabeth Smart...

–Tak. Ją znaleziono żywą, ale w większości przypadków, gdy ktoś znika na

dłużej niż kilka dni, a nie pojawią się żądania okupu, to znaczy, że jest martwy. Chyba że znikają celowo. A Cameron nie chciała odejść. Więc nie żyje.

–Nie ma pani żadnej nadziei? – spytała z niedowierzaniem.

–Nie mam złudnych nadziei.

Pracowałam przy wielu podobnych sprawach.

Wszyscy wstali, gdy woźny ogłosił wejście sędziego. Siedziałyśmy w pierwszej ławce, więc dobrze przyjrzałam się siwawemu, szczupłemu mężczyźnie (w garniturze zamiast togi), który zajął miejsce za katedrą. Ze zdumieniem rozpoznałam w nim człowieka, z którym Phyllis rozmawiała na korytarzu. Oskarżyciel publiczny z Sarne (przynajmniej tak przypuszczałam) siedział już przy swoim stole, na którym piętrzył się stos akt. Zaczęły się rozprawy. Bywałam już w sądach, nie dziwiło mnie więc, że nie przypominały tych ze starych filmów o Perrym Masonie czy nowszych show jak „Sędzia Judy”. Ludzie wchodzili, wychodzili, wprowadzano i wyprowadzano podsądnych. W czasie pomiędzy sprawami, salę wypełniał cichy gwar rozmów. Nie panowała tu nabożna atmosfera i nie zachodziły dramatyczne sytuacje. Sprawiedliwość działa jak każdy inny przeciętny biznes.

Wywoływano nazwiska, ludzie wchodzili na podium, gdzie stała ława sędziego. Oskarżyciel odczytywał zarzuty, sędzia pytał, czy podsądny chce złożyć dodatkowe oświadczenie, a potem (po krótkiej dyskusji), ogłaszał wysokość grzywny.

–To wygląda jak sąd do spraw wykroczeń drogowych. Sprawy nie wydają się szczególnie poważne – szepnęłam do Phyllis, która uważnie słuchała, chcąc wyrobić sobie zdanie o sędzim.

–Ten nakaz to jakaś bzdura – odpowiedziała równie cicho. – On wyznacza tylko grzywny za rozbite światła. Niewiarygodne.

Godzinę trwało, nim przyszła kolej na Tollivera. Był wyraźnie zmęczony. Co jakiś czas zerkał w moją stronę, starając się uśmiechać, ale widziałam, że kosztowało go to wiele wysiłku.

–Tolliver Lang – padło wreszcie z ust sekretarza.

Tolliver, dzięki Bogu, nie był skuty kajdankami. Wszedł na podwyższenie w towarzystwie jednego ze strażników.

–Panie Lang, widzę, że został pan pierwotnie zatrzymany na podstawie niewykonanego nakazu z Montany. Miał pan też kłopoty z tylnym światłem. – Sędzia nie oczekiwał najwyraźniej odpowiedzi od Tollivera. Nasrożył się, przebiegając wzrokiem akta. – Ale funkcjonariusz, który wystawił mandat za brak światła... Oficer Bledsoe? Jest na sali?

–Nie, Wysoki Sądzie – pospieszył z odpowiedzią sekretarz. – Jest dzisiaj na

służbie.

–Ciekawe. Więc teraz mówi, że popełnił pomyłkę, co do nakazu aresztowania?

–Tak, Wysoki Sądzie – wtrącił oskarżyciel. – Jest mu przykro z powodu tej pomyłki i przeprasza.

–To bardzo poważny błąd – oświadczył sędzia. Ponownie zmarszczył brwi, przeglądając dokumenty. – I wyjątkowo dziwny. Co ze światłami?

–Podtrzymuje zarzut w sprawie świateł – oznajmił oskarżyciel poważnie.

–Jak długo pan Lang siedział w areszcie?

–Dwie doby.

–Dwie doby w areszcie za rozbite światło.

–Um, tak, Wysoki Sądzie.

–Stawiał pan opór podczas zatrzymania? – Po raz pierwszy sędzia zwrócił się wprost do Tollivera. Zauważyłam, że brat się wyprostował.

–Nie, Wysoki Sądzie.

–Aresztowano pana w Montanie?

–Tak, ale zarzuty zostały oddalone.

–Tak też stoi w aktach.

–Tak, Wysoki Sądzie. I to było ponad rok temu.

–Czy chce pan wnieść oskarżenie przeciwko oficerowi Bledsoe, panie Lang?

–Nie, Wysoki Sądzie. Chcę tylko wyjść z aresztu.

–Rozumiem. Zostanie pan zwolniony, bez kaucji, musi pan tylko zapłacić mandat za światła. Nie kwestionuje pan tego zarzutu, jak miemam?

Tolliver milczał. Byłam pewna, że zastanawia się czy nie powiedzieć sędziemu, że to Bledsoe rozbił je pałką.

–Nie, Wysoki Sądzie.

–Więc dobrze. Rozbite światło, sto pięćdziesiąt dolarów grzywny – orzekł sędzia i zakończył sprawę. Strażnik wyprowadził Tollivera z sali, prawdopodobnie z powrotem do aresztu, żeby dopełnić formalności. – Ktoś z sali zapłaci grzywnę?

Podniosłam rękę.

Sędzia ledwie na mnie spojrzał.

–Drzwi za sekretarzem – rzucił, wskazując kierunek głową. Na trzęsących się nogach przeszłam przez salę do odpowiedniego pokoju, w którym siedziała flegmatyczna kobieta w podkoszulku i płóciennych spodniach oraz umundurowany, uzbrojony Hollis. Urzędniczka siedziała za niewielkim biurkiem z kasetką na pieniądze. Hollis prawdopodobnie musiał mieć oko na pieniądze i pilnować, żeby żaden rozzłoszczony płatnik nie próbował się wyładować na

kobiecie.

–Więc wszystko w porządku, tak? – spytał Hollis z ogromną ulgą.

–Tak – odpowiedziałam, podając kwit otrzymany od aplikanta oraz sto pięćdziesiąt dolarów. Urzędniczka zaksięgowwała kwotę, włożyła banknoty do kasetki, przybiła stempel „ZAPŁACONE” i zwróciła mi papier. Chciałam jeszcze coś powiedzieć Hollisowi, ale nie mogłam nic wymyślić, a tuż za mną stał ktoś następny w kolejce do zapłaty. Uśmiechnęłam się więc tylko do niego, szczęśliwa po raz pierwszy od kilku dni, po czym wyszłam przez salę, tak samo pełną, jak na początku dnia rozpraw. Prawniczka czekała na mnie w ogromnym holu.

–Dziękuję – powiedziałam, ściskając jej rękę. Phyllis uśmiechnęła się szczerze.

–Nie zrobiłam nic ponadto, że pokazałam się tu i zaznaczyłam swoją obecność sędziemu. Moim zdaniem ktoś kazał się Bledsoemu wycofać, żeby nie robić szumu wokół sprawy i żeby nie wyszło na jaw jego matactwo.

–Może postąpił pod wpływem impulsu, licząc, że ktoś go za to pochwali, a potem wyszło, że się przeliczył.

Może chodziło o kuzyna, Paula Edwardsa. A może o szeryfa. A może o Sybil, kobietę, do której należało pół Sarne. A może...

–Chodźmy do aresztu – powiedziała Phyllis. – Zaczekam z tobą, aż wyjdzie. Tak na wszelki wypadek.

Weszliśmy do biura aresztu, a ja spytałam urzędniczkę, gdzie możemy poczekać. Wskazała krzesła pod salą, gdzie poprzedniego dnia nerwowo oczekiwałam na odwiedzin.

Formalności związane ze zwolnieniem więźnia ciągnęły się bardzo długo, ale Phyllis Folliette niezłomnie trwała u mego boku. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że płacę za jej czas, ale większość prawników po zakończonej sprawie poklepałaby mnie po ramieniu i popędziła do biura. Zorientowała się, że nie mam ochoty na rozmowę, więc wyjęła coś z teczki i zaczęła czytać. Siedziałam z zamkniętymi oczyma, pozwalając rzeczywistości odpłynąć. Myślałam o wszystkich, których poznałam w Sarne – jak ściśle łączyły ich związki i jak tutejsi mieszkańcy, by wydoić kasę z turystów, potrafili wykorzystać obleśny stereotyp niewykształconych, endogamicznych, prostych-lecz-zadziwiająco-sprytnych wieśniaczków, a jednocześnie go wykoślawić. To,

co na początku determinowała izolacja oraz ubóstwo, zostało uproszczone, wyidealizowane i uczynione kolejnym produktem ku uciechu konsumpcyjnego społeczeństwa. I wszyscy ci ludzie właśnie tym się zajmowali, żyjąc w owym miasteczku od pokoleń. Z wyjątkiem Hollisa.

Pozwoliłam myślom płynąć swobodnie, nie próbując ich porządkować. Może powinnam to wszystko sobie rozpisać? Tym zajmiemy się dzisiaj wieczorem, może.

Na odgłos znajomych kroków, rozchyliłam powieki. Zerwałam się z miejsca, wychodząc Tolliverowi naprzeciw. Uścisnęliśmy się mocno, pospiesznie, po czym przedstawiłam go Phyllis, która przyglądała mu się z zainteresowaniem. Tolliver podziękował jej, a Phyllis po raz kolejny zaprotestowała, mówiąc, że nie zrobiła nic poza pokazaniem się w sądzie.

–Ale dzwoniła pani wczoraj do szeryfa – przypomniał Tolliver. Przyjrzałam mu się niespokojnie, ale sprawiał wrażenie człowieka, który jest tylko zmęczony i bardzo potrzebuje prysznic.

–Owszem – uśmiechnęła się lekko. – Nigdy nie zaszkodzi dać znać szeryfostwu, że sprawą zajmuje się ktoś spoza miasta, kto liczy się troszkę w świecie prawniczym. Nie martwcie się, podliczę was za to.

–Było warto – powiedziałam. Wymieniliśmy uściski dłoni, po czym Phyllis wsiadła do BMW i wyjechała z Sarne. Szczęściara.

W trakcie drogi do motelu wyjaśniłam Tolliverowi sprawę z jego pokojem.

–Nieważne. Wezmę prysznic, zjem coś porządnego, a potem pewnie się prześpię kilka godzin. Następnie wstanę, wezmę prysznic, zjem coś porządnego i pójdę spać.

–I to po niecałych dwóch dobach w areszcie?! A co, jakbyś musiał tam spędzić tydzień? Otrząsnął się ze wstrętem.

–Nie uwierzyłabyś, jakie koszmarnie jest to więzienie. Chyba próbują tam karmić więźniów za dziesięć centów dziennie.

–Przecież siedziałeś już przedtem w areszcie? – zauważyłam, zaskoczona jego gwałtowną reakcją.

–Tak, ale nie musiałem się martwić, że ktoś ci zrobi krzywdę i że całe miasto uczestniczy w spisku przeciw nam.

–Tak uważasz?

–Czułbym się lepiej, gdyby najbardziej prominentny prawnik w miasteczku i szeryf nie byli kolesiami, w dodatku zamieszanymi w sprawę, która nas tu sprowadziła. Nie mogłem spać. Facet, którego wsadzili do mojej celi, był kompletnie zalany. Chrapał i przeraźliwie capił. Miałem bardzo dużo czasu na rozmyślanie i w efekcie wmówiłem sobie, że coś mi zrobią, a potem powiedzą, że poślizgnąłem się na mydle i rozbiłem sobie głowę albo przypadkiem wsadziłem ją w pętlę, która zacisnęła się i powiesiła na haku u sufitu. A potem dorwą ciebie.

–Phyllis mówi, że nie musimy tu zostawać.

–W takim razie wyjedziemy z samego rana.

–Świetnie.

Tolliver wyjął z walizki czyste ubranie i poszedł do łazienki. Ja tymczasem pojechałam kupić mu coś do jedzenia. Zdecydowałam się na bar z okienkiem dla kierowców, byle tylko nie wysiadać z auta. Moja mania prześladowcza miała się coraz lepiej, choć musiałam przyznać, że mieszkańcy Sarne, z którymi stykałam się przelotnie, traktowali mnie dobrze. Dziewczyna obsługująca kierowców była wesoła i grzeczna, kobieta w kasie na stacji benzynowej – uprzejma, a sędzia konkretny i fachowy. Niewątpliwie miałam wypaczony obraz Sarne i jego mieszkańców.

Trudno, pomyślałam. I tak się stąd wynosimy.

Zjadłam z lepszym apetytem, niż przez ostatnie kilka dni. Po posiłku położyłam się i zapadłam w drzemkę. Na wpół świadomie rejestrowałam odgłosy zakręcanej wody i szelest torebek, gdy Tolliver zjadał swoją porcję. Zapadałam już w głębszy sen, gdy poczułam jak kładzie się na drugiej połowie łóżka. Potem zaległa cisza, zakłócona jedynie monotonnym podźwiękiem włączonego ogrzewania.

Obudziłam się wcześniej niż Tolliver; po ostatniej nocy nie potrzebowałam tyle snu. Rozsunęłam zasłony i spojrzałam na niebo szare i spęczniałe nadchodzącym deszczem. Choć była dopiero czwarta, za godzinę pewnie ściemni się całkowicie. Umyłam zęby, uczesałam się, włożyłam buty, a potem usiadłam przy stoliku z notesem i ołówkiem w ręku. Lubię robić listy różnych rzeczy, ale nieczęsto mam ku temu okazję – rzadko robię zakupy w sklepie spożywczym, a większość spraw załatwiamy po drodze dokądś.

Postanowiłam przypomnieć sobie wszystkie fakty, zapisać je i zobaczyć jakie nasuną mi się wnioski.

1. Sybil i szeryf są rodzeństwem.
2. Sybil i Paul są kochankami.
3. Syn Sybil został zamordowany.
4. Dziewczyna syna Sybil została zamordowana w tym samym czasie.
5. Dziewczyna Della, Teenie Hopkins, była siostrą zamordowanej żony zastępcy szeryfa, Hollisa Boxleitnera.
6. Sally (żona zastępcy) została zabita po tym, jak sprzątała gabinet...
7. Męża Sybil, ofiary przedwczesnego zawału serca, który to zawał nastąpił, podczas gdy Dick przeglądał...
8. Dokumentację medyczną syna (który wtedy jeszcze żył), córki i swoją.
9. Helen Hopkins – także zamordowana – matka Teenie Hopkins i żony Hollisa Boxleitnera.

10. Helen długie lata była gosposią w domu Sybil, dopóki nie zaczęła pić i nie pobił jej mąż, Jay Hopkins.

11. Jej adwokatem w sprawie przeciw mężowi, a również podczas dużo wcześniej przeprowadzonego rozwodu, był Paul Edwards, prawnik i kochanek Sybil.

12. Sybil dowiedziała się o mnie od Terry'ego Vale'a.

13. Hollis chciał poznać prawdę o śmierci swojej żony.

14. Paul Edwards zapłacił nam chętnie.

15. Ktoś napuścił na mnie Scota tak skutecznie, że ten wziął pieniądze (albo po prostu dał się nakłonić) do zaczajenia się na mnie z zamiarem pobicia.

16. Ten sam ktoś albo ktoś inny strzelał do mnie na cmentarzu w Sarne.

17. Mojego brata zaaresztowano na podstawie fałszywych zarzutów – prawdopodobnie, by umożliwić strzelcowi swobodne działanie albo by wystraszyć nas na tyle, abyśmy opuścili miasto bez zgody szeryfa.

Tolliver przeciągnął się, ziewnął i podszedł spojrzeć mi przez ramię.

–Po co ci to? – zapytał.

–Musimy zrozumieć, o co w tym chodzi. Inaczej się stąd nie wydostaniemy.

–Wyjeżdżamy rano. Mogą zrobić na autostradzie blokadę, mam to gdzieś. I tak wyjedziemy z tej cholernej miejsciny.

Rozdział czternasty

Musiałam się uśmiechnąć, mimo że właśnie wytrząsałam z fiolki dwie tabletki przeciwbólne. Połknęłam je szybko. Tolliver wyjrzał na zewnątrz.

–Oho, idzie burza.

–Dlatego zaczyna mnie boleć głowa.

–A może jesteś też głodna? – zasugerował delikatnie.

–Jadłam kilka godzin temu.

–Dość dawno. Poza tym zjadłaś tylko pół kanapki. Jedźmy do Mount Parnassus. Tam przynajmniej nie wpadniemy w żadne kłopoty.

–Brzmi nieźle. Ale wiesz, moglibyśmy się od razu spakować i jechać prosto stamtąd – zaproponowałam.

–Nie podczas burzy.

To przeze mnie nie mogliśmy jeździć podczas burz. Czasem źle je znosiłam. Kolejna słabość na moim koncie.

–Zrobimy wypad do Mount Parnassus – zdecydował Tolliver. – To niecałe dwadzieścia kilometrów na północ.

Chmury burzowe zasnuły niebo, zrobiło się zupełnie ciemno. Ze względu na moje samopoczucie prowadził Tolliver, więc to ja odebrałam telefon, gdy rozległ się dzwonek.

–Cześć – powiedziałam, rozpoznając głos Marka. – Co u ciebie?

–Bywało lepiej. Jest tam koło ciebie Tolliver? Bez słowa oddałam słuchawkę bratu. Nie lubił rozmawiać, gdy prowadził, więc zjechał na pobocze. Mark był prawie dorosły, gdy nasi rodzice zamieszkali razem, a potem wzięli ślub.

Nie lubił mojej matki, mierzła go sytuacja w domu, więc wyprowadził się przy pierwszej nadarzącej się okazji. Ze względu na młodszego brata wpadał do nas mniej więcej co dwa tygodnie. Podrzucał nam jedzenie, ubrania i sprowadzał lekarzy, gdy rodzice byli zbyt naćpani, by zauważyć nasze problemy zdrowotne.

Mark upodobał sobie szczególnie Cameron, łączyła ich więź taka, jak mnie i Tollivera. Dziewczynki były dla niego tylko dodatkowymi zestawami potrzeb i wymagań. Wyobrażałam sobie, z jakim niezadowoleniem przyjął wezwanie do zajęcia się sprawą zniknięcia Marielli. Pewnie w tej właśnie sprawie dzwonił teraz do Tollivera.

–Znalazł ją – szepnął Tolliver, oddalając na moment słuchawkę. – W godzinę. No, to nie najgorzej. Oczywiście miałam wiele pytań, ale postanowiłam poczekać z zadawaniem ich, aż skończą rozmawiać.

Na szczęście Tolliver szybko zakończył połączenie.

–Ukrywali się w budynku szkółki niedzielnej Craiga – wyjaśnił.

–Co? A gdzie jest teraz?

–W domu. Craigowi skończyło się jedzenie, więc i tak przestało ją to bawić.

Zapadło milczenie. Trudno było coś dodać na temat Marielli. Zbyt wiele złych rzeczy widziała w życiu, by zachować niewinność dziecka i prawdopodobnie szybko podąży tą samą ścieżką, co matka. Szkołka niedzielna, godziny spędzane z Ioną w kościele, rozmowy umoralniające i edukacja państwowa niewiele tu pomogą. Dbaliśmy, żeby życie siostr nie kończyło się tylko na szkole – opłacaliśmy im lekcje tańca, śpiewu, rysunku. Powtarzałam sobie tę litanię w głowie, zastanawiając się, co jeszcze mogłam zrobić. Sądzę nigdy nie oddałby ich na wychowanie mnie i Tolliverowi.

Ból głowy nasilił się. Zerknęłam niespokojnie na niebo. Wiedziałam, że wkrótce zobaczę na nim flesze błyskawic.

Włączyliśmy radio, żeby posłuchać prognozy pogody. Zapowiadano ulewne burze z piorunami. A to niespodzianka. Ostrzegano przed gwałtownymi powodziami na terenach, gdzie drogi pomiędzy wzniesieniami ostro prowadziły w dół, a rzeczki i potoki niosły już masy wody z poprzednich opadów, trzeba było te ostrzeżenia traktować poważnie.

W ciągu dziesięciu minut dotarliśmy do niewielkiej restauracyjki sieciowej. Weszliśmy do środka, zabierając ze sobą kurtki przeciwdeszczowe. Przy stoliku blisko drzwi kuchennych siedziała starsza para, przy innym, zarzuconym

brudnymi naczyniami, samotny mężczyzna czytający gazetę. Dwójka młodych ludzi po dwudziestce wraz z dwojgiem dzieci zajmowała dwa stoliki przy dużym oknie. Oboje grubi i bladzi ubrani byli w dresy z Wal-Marta. Jego głowę przykrywała bejsbolówka. Kobieta miała kręcone włosy związane w kucyk i niebieski cień na powiekach. Chłopiec, może sześćioletni, w ubranku moro, wymachiwał plastikowym pistoletem. Starsza dziewczynka, urocze stworzonko z burzą jasnobrązowych loków i słodką twarzą, zawzięcie kolorowała obrazek w książeczce.

Podeszła do nas kelnerka w dżinsach i z ogromnym tlenionym kokiem. Nie przestając żuć gumy, oświadczyła, że z radością spełni nasze życzenia. Szczerze wątpiłam w tę radość. Wybraliśmy potrawy z menu, kelnerka przyjęła zamówienie i oddaliła się do okienka kuchennego, aby je przekazać.

Po postawieniu przed nami mrożonej herbaty, zniknęła.

Parka przy oknie zaczęła się kłócić, czy zapisać córeczkę na kolejny konkurs piękności. Mimochodem dowiedziałam się, że zgłoszenie udziału w takiej imprezie sporo kosztuje a i dodatkowe koszty generuje wypożyczenie sukienki i wzięcie urlopu z pracy, żeby zrobić dziewczynce odpowiednią fryzurę i makijaż.

Uniosłam brwi, rzucając okiem na Tollivera, który powstrzymywał chichot. Matka zgłosiła kiedyś Cameron do takiego konkursu. Moja siostra już na wstępie oznajmiła sędziom, że takie imprezy przypominają targ niewolników. Następnie oskarżyła jury o perwersję. Nie trzeba dodawać, że na tym skończyła się jej kariera młodocianej miss. Ale Cameron miała już wtedy czternaście lat, a dziewczynka przy stoliku wyglądała na ośmiolatkę i to potulną jak baranek.

Tym razem Tolliver odebrał dzwoniącą komórkę.

–Halo? – Słuchał przez chwilę. – Cześć Sasza. I jak? Ach, próbki, test DNA.

– Po chwili zwrócił się do mnie: – Brak zgodności. Mężczyzna nie jest ojcem. Kobieta Jeden jest matką kobiety Dwa. – W ten sposób oznaczali próbki.

–Dzięki, Sasza. Jestem ci dłużny – zakończył Tolliver.

Ledwie jednak odłożył telefon, dzwonek rozległ się na nowo. Spojrzeliśmy po sobie zirytowani. Tym razem to ja wzięłam komórkę z blatu.

–Harper Connelly? – w słuchawce odezwała się wyraźnie zdenerwowana kobieta.

–Tak, kto mówi?

–Sybil.

W życiu nie zgadłabym, że to ona. Nie skojarzyłam jej z tym pełnym napięcia, urywanym głosem.

–Co się stało, Sybil? – starałam się mówić spokojnie.

–Musicie do mnie przyjechać, dzisiaj.

–Po co?

–Muszę z wami porozmawiać.

–O czym?

–Muszę wam coś powiedzieć.

–Nie musisz. Zamknęliśmy nasze zlecenie. – Spokój i stanowczość kosztowały mnie wiele wysiłku. – Zrobiłam to, za co mi zapłaciłaś. Wyjeżdżamy najszybciej jak się da.

–Nie, muszę się z wami zobaczyć jeszcze dzisiaj.

–To sobie muś.

W milczeniu, które zapadło, wyczuwało się rozpacz.

–Chodzi o Mary Nell! – rzuciła Sybil ostro. – I o jej obsesję na punkcie twojego brata. Muszę z wami porozmawiać, a skoro wyjeżdżacie z rana, to jeszcze dzisiaj wieczorem. Mary Nell mówi, że się zabije.

Odjęłam telefon od ucha i gapiłam się na niego przez moment. To wszystko brzmiało absolutnie nieprawdopodobnie. Zdążyłam poznać Nell na tyle, żeby wiedzieć, że prędzej wzięłaby Tollivera na zakładnika i bombardowała miłością, póki by jej nie uległ.

–Dobrze, Sybil – rzekłam nieufnie. – Będziemy u ciebie za godzinę.

–Wcześniej, jeśli dacie radę – wykrztusiła, jakby ulga zaparła jej dech.

Kelnerka przyniosła nam jedzenie, zanim skończyłam relacjonować rozmowę bratu, który i tak słyszał jej większą część.

Skrzywił się z niechęcią.

Nakreśliłam widelcem na serwetce litery SO JO DA NO i wpatrywałam się w nią, jedząc sałatkę (taką, jakiej można się było spodziewać po barze pośrodku Nigdzie). Starłam się wejść w skórę Dicka. Dobrze, zanotował coś, przeglądając rachunki medyczne rodziny za zeszły rok. Cztery osobne zestawy liter. Czterooosobowa rodzina.

S jak Sybil, D jak Dell, N, biorąc pod uwagę fakt, że mówił do córki Nelly, odnosiło się prawdopodobnie do niej, ale co z J? Skoncentrowałam się na literach, rozważając jak wyglądałaby notatka, gdybym to ja chciała zapisać coś o swojej rodzinie...

Do licha ciężkiego! Przecież J to Ja!

Odłożyłam widelec.

–Harper? – zaniepokoił się Tolliver.

–Grupy krwi! Boże, jaka ja jestem głupia!

–Harper?

–Tolliver, to grupy krwi! Dick Teague zapisał to, patrząc w dokumentację

medyczną. On miał grupę krwi 0, Sybil 0, Mary Nell 0, a Dell A. To właśnie sprawdzała Sally w podręczniku do biologii. Podejrzewała coś, jak tylko znalazła ten świstek leżący razem z dokumentami ze szpitala na biurku, przy którym dostał zawału. Dick odkrył, że nie może być ojcem Della. Dwie osoby o grupach krwi o nie mogą mieć dziecka z grupą A.

–To rzeczywiście mogło przyprawić go o zawał – rzekł Tolliver powoli. Odłożył widelec i otarł usta serwetką. – Ale jak to się ma do śmierci Della i Teenie?

–Właśnie o tym myślę.

Rodzinka spod okna opuściła już lokal, nie rozwiązawszy kwestii konkursu piękności. Mogłam się założyć, że matka i tak postawi na swoim. Starsza para zjadła niespiesznie, tak samo wolno zapłaciła i zebrała się do wyjścia, wymieniając grzeczności z kelnerką. Samotny mężczyzna nadal czytał gazetę. Kelnerka podchodziła do niego co jakiś czas, dolewając mu kawy. Gdy Tolliver regulował rachunek, siedziałam zapatrzona w przestrzeń, usiłując wyobrazić sobie, jak potoczyła się akcja dramatu rozgrywającego się w rodzinie Teague.

Następna zginęła żona Hollisa. Sally domyśliła się, że Dell nie był synem Dicka. Komu mogła o tym powiedzieć? Najpewniej innej kobiecie.

Może matce. Ale musiało być coś jeszcze...

Po drodze do Sarne podzieliłam się z Tolliverem swoimi wnioskami.

–Czemu sądzisz, że nie powiedziałaaby Hollisowi? – zapytał Tolliver. – Takie rzeczy mówi się przecież mężom.

–Hollis wspomniał, że Sally nie lubiła opowiadać o problemach rodzinnych. Sprawę z ojcem Della prawdopodobnie zaliczała do tej kategorii.

Przypuszczalnie zwierzyła się matce, bo była z nią bliżej niż z siostrą. Poza tym dotyczyło to Della, więc Teenie zapewne podzieliłaby się z nim odkryciem.

–I co się potem stało? – spytał Tolliver, jakbym znała już odpowiedź.

Próbowałam dalej dopasować kawałki tej układanki.

–Helen... – mruknęłam. – Co zrobiłaby Helen? Czemu miałyby się interesować, czyim synem jest Dell?

Właśnie, czemu?

Przyjmijmy, że Teenie i Dell o niczym nie wiedzą. Potem ginie Sally. Ginie bo... komuś powiedziała. Swojej matce. Przypomniałam sobie ogromny żal Helen po stracie córki i doszłam do wniosku, że nie wiedziała, dlaczego Sally umarła. Póki nie poinformowałam Hollisa o przyczynie jej śmierci, oboje żyli w przeświadczeniu, że to wypadek. I z tego co wiedziałam, Helen nigdy w to nie wątpiła. A potem uwierzyła, że Dell zastrzelił Teenie. Dlaczego? Bo Teenie była w ciąży! Uznała też, że Dell, nie mogąc znieść wyrzutów sumienia, popełnił

samobójstwo.

Pomyłka wyszła na jaw dopiero, gdy Sybil, chcąc oczyścić jego imię, zatrudniła mnie. To ja powiedziałam Helen, że Dell nie zastrzelił Teenie i że obie jej córki zostały zamordowane.

Nie obwinałam siebie za te tragedie, ale i tak czułam się niewyraźnie. Wykonałam zlecenie, nie mając pojęcia, że uzyskane przeze mnie informacje będą miały takie konsekwencje. Prawdopodobnie Helen, dowiedziawszy się, że obie jej córki zostały zamordowane, domyśliła się, kto chciał ich śmierci. Pewnie dążyła do konfrontacji z tą osobą, aby potwierdzić swoje podejrzenia i podczas spotkania ta osoba zabiła ją, obserwowana nieruchomym wzrokiem dziewczynek ze zdjęć wiszących w małym domku.

–Nie ufam Sybil – oświadczyłam raptownie.

Tolliver zerknął na mnie, szybko odwracając wzrok na śliską jezdnię. Rozległo się głucho dudnienie dalekiego grzmotu. Zadrżałam.

–Dlaczego?

–Bo nie wierzę, że Mary Nell pomyślałaby o samobójstwie, nawet gdyby chciała zagrozić matce. Nie wierzę, że uciekłyby się do takiej taktyki, żeby tylko przyciągnąć twoją uwagę. Jest na to zbyt dumna.

–Ma siedemnaście lat.

–Tak, ale i silny charakter.

–To po co tam jedziemy?

–Bo Sybil chce się z nami spotkać tak bardzo, że posunęła się do kłamstwa, a ja chcę wiedzieć dlaczego.

–No nie wiem... Może lepiej wracajmy do motelu? Już grzmi, niedługo mogą pojawić się błyskawice.

–Wiem. – Prawdę mówiąc, tabletki nie pomogły i ból za oczami stawał się coraz silniejszy. – Ale uważam, że powinniśmy tam pojechać. – Coś mnie tam ciągnęło i miałam złe przeczucie, że nie była to mądra decyzja.

Kątem oka dostrzegłam rozbłysk na niebie. Wysiłkiem woli opanowałam gwałtowne drgnięcie. W samochodzie nic mi nie groziło, a kiedy wyjdę, postaram się nie nadepnąć na odkryty przewód elektryczny, nie brać do ręki kija golfowego, nie stawać pod drzewem i w ogóle nie zrobić żadnej z miliona rzeczy, które zwiększały szansę na porażenie piorunem – czy to bezpośrednio, czy też pośrednio.

Jednak mimo że z tym walczyłam, pochylałam głowę, aby ukryć twarz.

–Nie dasz rady – powiedział Tolliver. – Musisz się schować pod dachem.

–Jedź do Teague'ów! – wrzasnęłam, przerażona, ale zdeterminowana.

Przestał protestować i skręcił na odpowiednią drogę. Zrobiło mi się głupio, że

na niego krzyczałam, ale jednocześnie nie potrafiłam myśleć o niczym innym prócz tego, co nas czekało. Jakaś część umysłu koncentrowała się na zagadnieniu: Czy Dell i Teenie musieli zginąć, bo chłopak nie był synem Dicka? Jaką istotną informacją dysponowali ci wszyscy, którzy zostali zamordowani... ci, którzy mogli ją ujawnić?

Dom Sybil niemal całkowicie tonął w ciemnościach. Sądziłam, że będzie rześkie oświetlony, ale w mroku jaśniał tylko jeden prostokąt okna. Dziwne, ale nie świeciły lampy na zewnątrz. Na miejscu Sybil, spodziewając się gości, włączyłabym wszystkie światła, szczególnie w tak paskudną pogodę.

–Mam złe przeczucia – stwierdził Tolliver. Nie rozwinął wypowiedzi. Nie musiał. Zaparkowaliśmy od frontu. Deszcz bębnił o dach naszego auta. – Lepiej zadzwoń do swojego znajomego gliny. I lepiej trzymajmy się z daleka od tego domu, dopóki nie zjawi się tu jakiś przedstawiciel władzy. – Włączył światelko w samochodzie.

–Nie mogę wymagać, żeby stawiał się na każde moje wezwanie – zaprotestowałam, ale wybrałam numer w nadziei, że Hollis siedzi w swoim przytulnym, ciepłym i suchym domu. Nie odebrał. Zadzwoiłam do biura szeryfa. Odezwała się dyspozytorka. Była jakaś roztargniona. W tle słyszałam skrzeczące radio.

–Czy Hollis ma dzisiaj patrol? – zapytałam.

–Nie, został wezwany w sprawie powalonego drzewa zagrażającego drodze 212 – warknęła. – A ja mam wypadek z trzema autami na Marley Street. – Zrozumiałam, że prywatny telefon nie będzie w tej sytuacji jej priorytetem.

–Proszę mu przekazać, żeby przyjechał do domu Sybil Teague, najszybciej jak będzie mógł. Proszę mu powiedzieć, że to bardzo ważne. Chyba popełniono tu zbrodnię.

–Wyślę kogoś, jak tylko uporamy się z tym, co do czego mamy pewność – rzuciła i rozłączyła się.

–No, to jesteśmy zdani na siebie – oznajmiłam. Tolliver wyłączył światła. Samochód stał się teraz ciemną wysepką w morzu chłodu i deszczu. Zimne krople spadały na maskę, spływając po niej. Błyskawice nie rozświetlały nieba zbyt często. Dam radę, zapewniłam się w duchu. Staliśmy przy skraju chodnika prowadzącego prosto do frontowych drzwi. Garaż, przez który można było przejść do kuchni, znajdował się po naszej lewej stronie, przy zachodniej ścianie domu.

–Ja idę od frontu, ty od kuchni – zarządziłam. W nikłym blasku latarni ujrzałam, jak Tolliver otwiera usta, żeby zaprotestować i zamyka je bez słowa.

–Dobra – odezwał się po chwili. – Na trzy. Raz, dwa, trzy!

Wyskoczyliśmy z samochodu i popędziliśmy w różnych kierunkach. Ja dobiegłam pierwsza. Po drodze nie uderzyło we mnie nic poza liśćmi i gałązkami zrzuconymi silnym wiatrem z drzew.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Ale to nie musiało jeszcze nic oznaczać. W Sarne pewnie mało kto ryglował drzwi przed pójściem spać. Jednak włoski podniosły mi się na karku. Pchnęłam skrzydło, ale tylko trochę.

Drzwi prowadziły wprost do dużego salonu, teraz nieoświetlonego. Po szybach wielkiego okna spływał deszcz, a światło ulicznych latarni sprawiało, że pokój wyglądał, jakby znajdował się pod wodą. Otworzyłam drzwi szerzej, jednocześnie padając na ziemię i przetaczając się do środka. Nade mną świsnęła kula. Podczołgałam się za osłonę wielkiego fotela. Nigdy w życiu nie miałam broni, ale w tym momencie pożałowałam, że jej nie posiadam.

Nagle rozbrzmiał głośny krzyk, dochodzący gdzieś z głębi domu.

Gdzie jest Tolliver? Pewnie słyszał strzał. Musiał zachować ostrożność.

Przez nieprawdopodobnie długą chwilę nie działo się nic. Zastanawiałam się, ile osób ukrywa się jedna przed drugą w różnych pomieszczeniach i czy przeżyję, by się tego dowiedzieć.

Stopniowo mój wzrok przyzwyczał się do słabego, wodnego oświetlenia. Choć zasłony częściowo zasunięto, mogłam rozróżnić zarysy mebli.

Dokładnie naprzeciw wejścia znajdowały się następne drzwi. Byłam pewna, że to stamtąd właśnie padł strzał. Nabrałam tchu i przetoczyłam się z fotela pod ławę. Kolejny przystanek, kanapa. W ten sposób zbliżyłabym się na parę metrów do drugich drzwi, które, z tego co pamiętałam, były jedyną drogą prowadzącą do reszty domu.

–Nell! – zawołałam, mając nadzieję, że odwrócę uwagę strzelca od Tollivera, gdziekolwiek ten się aktualnie znajdował. – Sybil!

Odpowiedział mi stłumiony krzyk, gdzieś z piętra. Nie wiedziałam, która z nich się odzywa, nie miałam też pojęcia, ile osób kryje się w domu, ale wiedziałam, że żadna z nich nie jest martwa. Nie wyczuwałam żadnych wibracji.

Byłam bardzo zdeterminowana, ale w tym momencie burza przybrała na sile. Deszcz lunął mocniej, wałąc w szyby i moczając dywan przy otwartych drzwiach. Huk grzmotów rozbrzmiewał niemal nieprzerwanie, a każdemu towarzyszył rozbłysk. Czułam się jak jedyna pinezka na mapie, nad którą czai się piorun; widzi mnie, zbliża się coraz bardziej i bardziej, żeby mnie dopaść; uderzyć jeszcze raz. To byłby mój koniec. Po raz kolejny poczułabym ten niewyobrażalny ból, straciłabym wzrok, pamięć, władzę w nogach lub coś równie niezastąpionego. Jęknęłam ze strachu, zakrywając twarz dłońmi, a gdy je odjęłam, majaczyła nade mną sylwetka mężczyzny z bronią.

W rozpaczliwej próbie ratowania życia rzuciłam się na niego, obejmując za kolana i przewracając. Broń wypaliła – musiał trzymać palec na spuście! O Boże, o Boże! Ale jeśli mnie trafił, jeszcze to do mnie nie dotarło, bo kiedy wymierzył mi w głowę, chwyciłam się jego nadgarstka obiema rękami, dosłownie jak tonący brzytwy.

Może przemożny strach dodał mi sił, gdyż zdołałam go trzymać, mimo że uderzył mnie wolną ręką, szamocząc się, żeby mnie z siebie strząsnąć. Usiłował opuścić rękę, żeby skierować na mnie lufę i wypalić. Walcząc, tarzaliśmy się po podłodze, aż nagle dostrzegłam szansę: ugryzłam go w miękką nasadę dłoni, z całej siły zwierając szczęki. Wrzasnął z bólu, wypuszczając broń. Chciałabym móc powiedzieć, że taki właśnie przyświecał mi cel, ale moimi działaniami kierowało raczej coś, czego nigdy nie wykorzystałabym świadomie.

Nagle oślepiło mnie światło zapalanych lamp i ktoś, Tolliver, jak sądziłam, runął na nas. Teraz przewracaliśmy się we trójkę walcząc, potrącając stoliki, zderzając się z masywnymi stojącymi lampami, które upadały na jasny dywan.

– Stać! – rozległ się krzyk. – Mam broń!

Zamarliśmy. Ja z zębami wbitymi w dłoń napastnika, Tolliver z uniesioną nad jego głową, ciężką szklaną ozdobą w kształcie jabłka. Po raz pierwszy rozluźniłam szczęki i spojrzałam przeciwnikowi w twarz. Paul Edwards. W niczym nie przypominał układnego prawnika, którego spotkałam w biurze szeryfa. Miał na sobie flanelową koszulę, płócienne spodnie, sportowe buty i był strasznie rozczochrany. Dyszał ciężko, a z rany na rękę płynęła mu krew. Ale najbardziej uderzał w nim brak tej niezachwianej pewności, tego przekonania, że cały jego mały światek będzie tańczył, jak mu zagra. Wyglądał raczej jak zapędzony na drzewo szop – z błyszczącymi oczami oraz wyszczerzonymi zębami, spomiędzy których dobywały się sykliwe dźwięki.

– O, Boże, Paul! – jęknęła Sybil stojąca nad nami z bronią w ręku. Do diabła, czy już wszyscy na tym świecie mają broń? Sybil była drobniejsza, lecz sprawiała nie mniej groźne wrażenie. – O mój Boże... – Zmiana w Paulu zszokowała ją bardziej niż mnie. – Jak mogłeś?

Światło przepędziło strach przed burzą z powrotem w głąbię lasu moich lęków. Tolliver delikatnie odstawił szklane jabłko na stolik przy drzwiach kuchennych.

– Zrozum, Sybil, nie mogłem pozwolić, żeby się dowiedzieli. – Edwards starał się mówić rzeczowo, ale zabrzmiało to jak skomlenie.

– To samo mówiłeś, zmuszając mnie, żebym do nich zadzwoniła. Nadal nie wiem, o co ci chodzi.

Mnie i Tollivera mogło równie dobrze nie być w tym pokoju.

Dopiero teraz dostrzegłam krawat zwisający z nadgarstka Sybil i czerwone pręgi na obu przedramionach. Związał ją.

–Gdzie Nell? – wychrypiałam, ale żadne z nich nie odpowiedziało. Byli tak skoncentrowani jedno na drugim, jakby znajdowali się razem na zupełnie innej planecie. Zauważyłam, że Tolliver schyla się cicho po leżącą pod ścianą broń. Wyróżniała się swoim straszliwym, praktycznym przeznaczeniem w tym bogatym, urządzonym kobiecą ręką pokoju, w którym nie panował już jednak idealny porządek. Tolliver wsunął ją pod narzutę na kanapie. Dobrze.

–Sybil, byliśmy ze sobą już tak długo – odezwał się Paul. – Tak długo. Nie rozwiodłaś się z nim. Nie przestałaś z nim sypiać.

–Był moim mężem, na litość boską! – rzuciła ostro.

–Gdy Helen rozwiodła się z tym draniem, Jayem... – Paul wpatrywał się w dywan, jakby próbował odkryć drzemiącą w nim tajemnicę. – Zbliżyliśmy się do siebie.

–Miałaś z nią romans – jęknęła Sybil zdruzgotana. – Z tą chłopką, z tą szmatławą pijaczką! I zaprzeczyłaś temu, skłamałaś mi w żywe oczy! Harvey miał rację.

Zarzykowałam niewielki ruch głową. Wymieniliśmy z Tolliverem spojrzenia.

–Wiedziałem, że Dell był moim synem – rzekł Paul. – Ale Teenie też była moja.

–Nie. – Sybil pokręciła głową. – Nie.

–Tak – powtórzył, nie spuszczając wzroku z broni, którą kobieta trzymała dość pewnie. Odsunęliśmy się z Tolliverem od Paula, nie chcąc znaleźć się na linii strzału, ale właściwie zastanawiałam się, czy nie powinniśmy go raczej przytrzymać, a potem może grzmotnąć w łeb tym szklanym jabłkiem, tak dla pewności. Im dłużej Sybil z nim rozmawiała, zamiast strzelić, tym więcej prawnik odzyskiwał animuszu.

–Mogłeś im po prostu powiedzieć. – Wargi Sybil drżały. – Wystarczyło powiedzieć.

–Powiedziałem. Tego dnia, kiedy zginęli. Powiedziałem im – przyznał Paul rozdygotanym głosem.

–Ty ich zabiłeś? Dlaczego zabiłeś swojego syna... naszego syna? – Po policzkach Sybil płynęły łzy, ale nie straciła panowania nad sobą. Miałam rację, uznając ją za ludzki lodowiec.

–Bo Teenie była w ciąży, ty głupia krowo! – wybuchnął, wycofując się w bezpieczniejsze emocje, gniew, złość. – Teenie była w ciąży i nie chciała jej usunąć! Mówiła, że to złe! A twój syn, nasz syn, nie chciał jej zmuszać!

–W ciąży! Och! Boże... Jak się dowiedziałeś?

–Ode mnie. – W progu stała potargana Nell. Na jej nadgarstkach widniały identyczne ślady jak u matki, w rękę trzymała nóż do papieru. – Jestem najgłupszą osobą na świecie, mamó. Tak się zmartwiłam, gdy Dell powiedział mi o ciąży Teenie, że poprosiłam Paula, żeby z nią porozmawiał, namówił do oddania dziecka do adopcji. Dell był za młody na małżeństwo, a ja nie chciałam być szwagierką Teenie Hopkins! Dlatego zginęli! To on ich zabił, mamó, ale to wszystko moja wina!

–Nie waż się nawet tak myśleć, Mary Nell. To jego wina. – Sybil wskazała lufą swego długoletniego kochanka.

Moim zdaniem, częściowy ciężar winy spadał także na Sybil, ale nie zamierzałam podnosić tej kwestii, dopóki ona nie opuszczała broni. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, postanowiłam więc zwiększyć jeszcze dystans pomiędzy sobą, a siedzącym na podłodze Edwardsem. Tolliver przesunął się coraz bliżej kobiet, uważając jednak, by nie naruszyć wolnej przestrzeni dzielącej Sybil i Paula.

–Tak, to moja wina – przyznał Edwards, rozglądając się ukradkiem w poszukiwaniu swojej broni. Prawnik nie został jeszcze ostatecznie znokautowany.

–Musicie go związać – podsunął Tolliver. – I wezwać policję.

Nell zaczęła wycofywać się do kuchni, gdzie prawdopodobnie znajdował się telefon, ale Paul wykonał nagły ruch i zamarła.

–Nie, nie dzwoń nigdzie – zwrócił się do dziewczynki. – Mary Nell, jestem także twoim ojcem. Nie możesz mnie wydać policji.

Biedna Nell, nie miałaby chyba bardziej przerażonej miny, gdyby jej w tym momencie oświadczył, że prosi o jej rękę.

–Nie – syknęła Sybil. – Nie słuchaj go, Mary Nell. To nieprawda.

–Rzeczywiście – poparłam Sybil bardzo cicho, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Stanowiliśmy z bratem jedynie publiczność. Byliśmy przypadkowymi gapiami. A wiadomo, co może przydarzyć się przypadkowym gapiom.

–Czy zabiłeś też jakoś mojego tatę? – spytała dziewczyna. – Mojego prawdziwego tatę?

–Nie – powiedziałam. – Twój tata zmarł na zawał. Naprawdę, Nell. – Nie widziałam potrzeby zagłębiania się w szczegóły okoliczności jego śmierci.

–Ty... Ty... Ty dupku! – rzuciła Edwardsowi w twarz.

Sybil już otwierała usta, by zganić córkę, ale rozsądnie zmilczała.

–Zabiłeś mi syna – warknęła w zamian. – Zabiłeś mojego syna. Zabiłeś jego dziewczynę. Zabiłeś jego dziecko. Zabiłeś... Kogo jeszcze zabiłeś? Pewnie Helen? Matkę swojej córki.

–To twoja wina – oburzył się. – To ty zatrudniłaś Helen, ty ją tu trzymałaś i przez ciebie Dell i Teenie mieli okazję się zejść.

–Taak, i pewnie wepchnęłam cię także w ramiona Helen – skwitowała zjadliwie. – Kogo jeszcze zabiłeś, Paul?

–Sally Boxleitner? – zasugerowałam. Edwards popatrzył, jakby wyrosła mi druga głowa.

–Dlaczego...? – zaczął i urwał w rozterce.

–Domyśliła się, prawda? – spytałam. – Zadzwoiła do ciebie?

–Tak – przyznał. – Zadzwoiła. Powiedziała, że... że...

–Co moja żona ci powiedziała? – zapytał stojący w progu Hollis.

Zastanawiałam się, czy mnie i Tolliverowi nie udałoby się wymknąć się przez kuchnię i uciec. Zahaczylibyśmy o motel, porwali rzeczy i opuścili to miasteczko na zawsze. Podchwyciłam spojrzenie Tollivera, wskazując nieznacznie na drzwi. Pokręcił głową. Co prawda byliśmy tylko obserwatorami ostatniego aktu dramatu w OK Corral* [*Odnosi się to do słynnej strzelaniny w mieście Tombstone, w której brał udział Wyatt Earp i Doc Holliday, znane postacie w historii Dzikiego Zachodu. (przyp.

tłum.)], ale wystarczyłby jeden nieostrożny ruch, a mogliśmy zginąć podczas wymiany ognia.

Hollis nie przypominał opanowanego policjanta, którego spotkałam po przyjeździe do Sarne, ani też kochanka, z którym sypiałam w jednym łóżku. Miał na sobie długi błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy, z którego ściekała woda, na czapce plastikową osłonę, a na ciężkich butach kalosze. Szeroko rozwarte powieki ukazywały dużo białka, na bladej twarzy perliły się krople deszczu. Lewą rękę skrywała mu skórzana rękawiczka, w prawej, nagiej, bardzo fachowo trzymał broń.

Ciekawe czy Mary Nell także miała swoją w kieszeni.

–Nie zabiłem Sally – zaprzeczył Paul. – Zadzwoiła i powiedziała, że ma kilka pytań odnośnie grup krwi. Zgodziłem się na spotkanie, chociaż nie wiedziałem wtedy jeszcze, o co jej chodzi.

–Zabiłeś Della – odezwała się Mary Nell. – Zabiłeś Teenie, dziecko i panią Helen. Kto ci uwierzy, że nie zabiłeś także Sally?

–Sybil – wyszeptałam.

Usłyszał mnie tylko Tolliver. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

–Nie obciążysz mnie tym morderstwem – oświadczył Edwards, dźwigając się na kolana. Dziwne, że po tym wszystkim, do czego się przyznał, ten zarzut tak go oburzył i skłonił do gwałtownego protestu. – To chyba zrozumiałe, dlaczego nie chciałem, żeby Teenie urodziła dziecko swojego brata. – Jego uśmiezek był

parodią rozsądnej miny. – Ale nie tknąłem Sally. Sally była dobrą dziewczyną. I absolutnie nie moją córką.

–Na szczęście – warknął Hollis.

–Ale gdy dowiedziałem się, że koroner stwierdził przypadkowe utonięcie w wannie, zacząłem się zastanawiać. Powiedziałem ci, Sybil, że Sally do mnie dzwoniła i wspominała, że wie coś, co wiąże się ze śmiercią Dicka. Wtedy przyszło mi do głowy, że może usiłuje wybadać grunt, aby później mnie szantażować. Ale gdy i ona zginęła, przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Poszłaś porozmawiać z Sally, Sybil?

Z ust Mary Nell wyrwał się zdławiony śmiech.

–Nie próbuj zwalić winy na mamę, ty morderco! Mamo, powiedz mu... – Urwała na widok miny matki. – Mamo? – powtórzyła zdezorientowana.

–Powiedziała, że sprawdziła dziedziczenie grup krwi i że wie, iż Dell nie jest Teague'em – rzekła Sybil tępo. – Chciała, żebym namówiła Harveya na wcześniejszą rezygnację ze stanowiska. Chciała, żeby Hollis zajął jego miejsce. Bała się, że Hollis zacznie się niecierpliwić, żałować, że skazał się na życie w takim małym miasteczku, że nie jest tu szczęśliwy.

Hollis wyglądał, jakby dostał obuchem w głowę. Ręka mu drżała, jakby nie mógł zdecydować, kogo najbardziej chciałby zastrzelić. Rozumiałam go bardzo dobrze.

Sybil głośno przełknęła ślinę, opuszczając lufę.

–Nie mogłam tego zrobić. I nie mogłam znieść jej kłamstw. Bo wmówiłam sobie, że to kłamstwa.

Poszłam do niej. Nie zamknęła drzwi na klucz, tak jak przypuszczałam. Weszłam do domu. Była w wannie. Śpiewała sobie.

Hollis pobladł, jakby go zemdlilo.

–Weszłam do łazienki, chwyciłam ją za kostki i pociągnęłam. Po chwili przestała się miotać, przestała walczyć. – Sybil stała bez ruchu, z ręką bezwładnie opuszczoną wzdłuż ciała.

Mary Nell krzyknęła przerażona. Paul Edwards rzucił się na broń Sybil, a Tolliver przyskoczył, obalając mnie na podłogę za kanapą i przykrywając sobą. Oczywiście kula przeszłaby przez mebel jak przez masło, ale przynajmniej zniknęliśmy z widoku, z ich świadomości.

Rozległ się odgłos wystrzału, krzyki – z całą pewnością krzyczała też Mary Nell – a potem zapadła krótka cisza. Wytknęliśmy ostrożnie głowy zza osłony.

–Możecie wyjść – powiedział Hollis głosem człowieka starego jak świat. Tolliver podniósł się, pomagając mi wstać. Noga odmówiła mi posłuszeństwa, dopiero po chwili przestałam się chwiać i stanęłam pewniej.

Paul Edwards klęczał, trzymając się za obojczyk. W ścianie za jego plecami widniało wgłębienie, a dywan pokrywały odłamki szkła. Mary Nell stała jak skamieniała, wpatrując się w niego gniewnie. Sybil patrzyła na córkę.

–Wybiłaś mi bark, ty mała dziwko – wychrypiał Paul.

–Trafiłam go – oznajmiła Mary Nell zaskakująco dziecinnym głosem.

–Rzuciłam szklanym jabłkiem i trafiłam go.

–Celowałaś w głowę? – zainteresował się Hollis. – Trzeba było mierzyć wyżej.

Dziewczyna zaśmiała się upiornie.

–Czemu mnie nie zastrzelisz, Hollis? – spytała Sybil cicho, zacinając się. – No dalej, wiem, że tego chcesz. Wolę umrzeć, niż przechodzić przez proces i iść do więzienia.

–Ty samolubna suko! – wściekł się Hollis. – Pewnie. Mam cię zabić na oczach twojej córki? Doskonały sposób na załatwienie dziecku kolejnego cudownego wspomnienia, prawda? Choć na chwilę przestań myśleć wyłącznie o sobie!

Zaraz opanował się jednak i rzekł już spokojniej:

–Tolliver, zadzwoń proszę do szeryfa.

Mój brat poklepał kieszenie, ale w żadnej nie znalazł komórki, więc przemknął się obok zebranych do kuchni. Usłyszałam, jak wystukuje numer i wzywa pomoc. Burza minęła; pozostał po niej jedynie monotony odgłos kapiących z dachu kropli.

Miałam wrażenie, że patrzę na małą grupkę przez odwrotnie trzymaną lunetę. Jakby ta czwórka nieszczęśliwych, złamanych ludzi stała w oddali – małe figurki, o twarzach wyraźnie naznaczonych cierpieniem.

–To koniec – zwróciłam się do Edwardsa. – Wszystko straciłeś. – Wlepił we mnie oczy. – Nie żal mi ciebie. Poza wszystkimi ohydnyimi rzeczami, które zrobiłeś, wsadziłeś do więzienia mojego brata, choć akurat w tym pomagali ci inni. Strzelałeś do mnie na cmentarzu, bo to ty, prawda? A teraz twoje życie się skończyło.

–Kogo teraz zgrywasz, wieszczkę? – prychnęła Sybil z goryczą. – Żałuję, że cię tu sprowadziłam, żałuję, że próbowałam dowiedzieć się, co stało się z tą dziewczyną.

–W takim razie cieszę się, że mi już zapłaciłaś. – Tylko to przyszło mi do głowy. Zaśmiała się, choć było jasne, że nie znajdowała w tym nic zabawnego. Mary Nell przenosiła wzrok z Sybil na Edwardsa, z matki na jej kochanka. Na jej pobladłej twarzy malowało się obrzydzenie. Wydawała się taka młodziutka i bezbronna.

–Wyrośniesz na wspaniałą kobietę – rzekłam do niej. Nie spojrzała na mnie; przypuszczam, że w tym momencie nienawidziła mnie tak samo jak matki czy Edwardsa. Nie drgnęła nawet, gdy do pokoju wrócił Tolliver. Usłyszeliśmy wycie syren; na mokrej podmiejskiej uliczce zamigotały światła kogutów.

–Nie rozumiem, dlaczego mnie tak prześladowałeś. Po co to wszystko? – spytałam Edwardsa.

–Dziecko – odparł. – Nie wierzyłem, że odnajdziesz Teenie. Kiedy ci się udało, byłem przekonany, że wiesz o dziecku. Chciałem cię zastraszyć, żebyś nie odkryła prawdy.

Ale po dziecku nie pozostał żaden ślad. Jeśli Paul Edwards zostawiłby nas w spokoju, wyjechalibyśmy z Sarne bezzwłocznie.

Musieliśmy zostać na miejscu aż do trzeciej; wiele wyjaśnić, odpowiedzieć na setki pytań wielu osób. Po powrocie do motelu jeszcze przez godzinę nie mogliśmy zasnąć, zanim poziom adrenaliny opadł i zmorzył nas sen.

Obudziliśmy się dopiero w południe. Godzinę później spakowani i gotowi do drogi przystanęliśmy przy recepcji. Na wieść, że wyjeżdżamy na dobre, Vernon dosłownie odtańczył makarenę. Czułam się pusta, śmiertelnie znużona. Jednak tak bardzo chciałam już opuścić Sarne, że zmusiłam się do jeszcze jednego wysiłku, żeby zakończyć tu wszystkie sprawy raz na zawsze. Po zatankowaniu pojechaliśmy na posterunek, tak jak nam kazano.

Hollis był już w pracy albo może jeszcze. Biuro Harveya Branscoma wiało pustką, a drzwi stały otworem. Szeryf miał pewnie ciężką noc, dowiedziawszy się, że jego siostra została aresztowana pod zarzutem morderstwa. Przez chwilę przyglądałam się badawczo Hollisowi. Wyglądał młodziej, jakby wyjaśnienie śmierci żony odjęło mu kilka lat, zmazując z twarzy bruzdy przygnębienia i napięcia.

–Uciekacie? – zagaił.

–Tak – odparł Tolliver.

–Zostawiliście telefon i namiary na waszego prawnika, jakby co?

–Tak – potwierdziłam, wiedząc, że Hollis nigdy do mnie nie zadzwoni.

–Dobrze. Jesteśmy wam wdzięczni za pomoc. – Starał się mówić rześkim oficjalnym tonem, ale widziałam, że Tolliver się zjeżył. Ujęłam brata pod ramię.

–Nie ma za co – powiedziałam.

–No, to do widzenia.

Kiwnęliśmy mu na pożegnanie i po chwili wychodziliśmy przez szklane drzwi wahadłowe – daj Boże, po raz ostatni.

Tolliver siadł za kierownicą, zapięliśmy pasy, włączyliśmy radio i ruszyliśmy drogą prowadzącą na autostradę.

–Dojedziemy do Memphis przed nocą? – spytałam.

–Jasne. Jesteś pewna, że... Że wystarczy ci takie pożegnanie?

–Tak. Nie lubię melodramatycznych rozstań. Skinął lekko głową.

–Odniosłem wrażenie, że go lubisz?

–Tak. Ale wiesz, nie było nam pisane.

–Kiedyś... – zaczął, ale zrezygnował i zamilkł.

–Wiesz co, Tolliver? Pamiętasz jak wystawialiśmy w szkole Romea i Julię?

Była między nami różnica wieku, ale w naszym liceum program traktowano jak biblię.

–No?

–Jest tam taka kwestia Merkucja, kiedy ten ginie z powodu waśni Montecchich i Cappulettich. Ostatnie słowa przed śmiercią, kojarzysz?

–Nie? Jakie?

–Mówi: „Bierz lichy oba wasze domy!”* [*Tłum. J. Paszkowski (przyp. tłum.)].
Potem umiera.

–„Bierz lichy oba wasze domy!” – powtórzył Tolliver. – Idealne podsumowanie.

Coś mi się przypomniało.

–Tyle, że Paul Edwards grał na oba domy.

–Tak czy inaczej, cytat wydaje się trafiony. Milczeliśmy, zostawiając za sobą Sarne i góry, kierując się na rozległe, otwarte tereny delty.

–Wiesz? – odezwałam się, obserwując rozpościerającą się przed nami równinę. – Cały czas myślę o Teenie, leżącej w lesie, samotnej. Pomimo wszystko, zrobiłam coś dobrego.

–Nigdy w to nie wątp. Spełniłaś dobry uczynek. – Zawahał się. – Myślisz, że oni wiedzą? O tym, że ktoś ich odnalazł?

–Oczywiście. Zawsze wiedzą – odpowiedziałam zapatrzona na drogę, wiodącą nas ku Memphis.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-09

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/